Na polsko-rosyjskiej granicy • Miłość i rachunki • Gadżety szpiegowskie
Rotacja marszałków • Biedna bogata Iga • Radziwiłowicz o „Glinie”

POLITYKA.PL

POLITYKA

SONDAŻ POLITYKI
100 dni Karola Nawrockiego

TYGODNIK, nr 46 (3540), 12.11–18.11.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



Dzieci na wege diecie

Jak spór dietetyczny stał się polityczny

ISSN 0032-3500
4 6
9 770032 350503
Wydanie w sprzedaży do 18.11.2025

prasa.pl 796dd59b18

7. Międzynarodowy Festiwal — Muzyki
Europy — Środkowo — Wschodniej

eufonie

Poświaty i powidoki

13 listopada — 7 grudnia 2025
Warszawa • Katowice • Opole • Olsztyn • Kraków
Łódź • Gdańsk • Lusławice • Dębica • Bukareszt

Program

Bilety

W repertuarze między innymi:

Pokrewieństwa:
Chopin / Moniuszko / Elsner / Lessel / Kurpiński



14/11/2025, 18:00
Zamek Królewski
w Warszawie

Przeżycia:
Mendelssohn / Mahler



17/11/2025, 19:00
Teatr Wielki —
Opera Narodowa

Porywy: Enescu / Wajnberg / Kodály



29/11/2025, 18:00
Filharmonia Narodowa

Natura Świata / Karolina Mikołajczyk i Iwo Jedynecki



29/11/2025, 19:30
Butelkownia, Centrum
Praskie Koneser

ORGANIZATORZY

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

MECENAS

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

TOTALIZATOR SPORTOWY

LAT

FESTIWAL JEST CZŁONKIEM

IPEA World

BILETY

Bilety24

PATRONAT HONOROWY

Prezydent miasta stołecznego Warszawy

PARTNERZY

Filharmonia Narodowa

Opera Narodowa

Sinfonia Varsovia

Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego Małopolska

Filharmonia Śląska im. H.M. Górzeckiego

Filharmonia Opolska im. Jasińskiego

Warmińsko-Mazurska Filharmonia im. Feliksa Nowowiejskiego w Olsztynie

Instytucja Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

George Enescu Philharmonic Bucharest

Europejskie Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha

Muzeum Kinematografii w Łodzi

Instytut Adama Mickiewicza

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena

Ministry of Culture

Rumuński Instytut Kultury

Ambasada Republiki Francuskiej w Rzeczypospolitej Polskiej

Ars Cameralis Silesiae Superioris

Miasto Dębica

Dębickie Korzenie

kbf:

sacrum profanum

Warszawska Jesień

PKP Intercity

Kinoteka

80 lat PWM Edition

PATRONI MEDIALNI

TVP

TVP Kultura

dwójka Polskie Radio

Rzeczpospolita

rp.pl

wysokieobcasy.pl

Portal Presto

Glissando

pap Polska Agencja Prasowa

naszemiasto.

eprasa.pl 796dd59b18



© ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

10
Pierwsze razy Nawrockiego

Tematy tygodnia

10 Mariusz Janicki SONDAŻ **100 dni Karola Nawrockiego: jak Polacy oceniają tę prezydenturę**
14 Paweł Walewski **Dzieci wege – dieta i polityka**

Polityka

18 Rafał Kalukin **Rotacja marszałków**
21 Ewa Siedlecka **Bój o Sąd Najwyższy**

Społeczeństwo

24 Ryszarda Socha **Na granicy Polski z Rosją: stan zawieszenia**
28 Zbigniew Borek **Małżeńskie finanse**
32 Rozmowa z **Tulią Topą** o tym, jak się odchodzi ze społeczności świadków Jehowy
35 Ewa Wilk **Walka psychoterapeutów i psychologów: o co tu tak naprawdę chodzi**

Rynek

38 Joanna Solska **Miliardy z KPO: jak ich nie przepalić**
42 Cezary Kowanda **Podatkiem w banki**

Świat

44 Agnieszka Zagner IZRAEL **Rozliczenia w armii**
48 Jakub Medek CZECHY **Filip Turek: rasista i przemocowiec szefem MSZ?**
50 Tomasz Zalewski USA **Russell Vought: człowiek od shutdownu**
52 Katarzyna Tubylewicz SZWECJA **Zadeklarowani bezdzietni**

Nauka/projektpulsar.pl

54 Andrzej Hołdys **Arktyczna zieleń**
58 Rozmowa z **Ellą Al-Shamahi**, przewodniczką w serialu BBC „Człowiek. Historia ewolucji", o dziejach naszego gatunku
60 Wojciech Piasecki, Tomasz Heese **Spór o nazwy zwierząt**

Historia

62 Tomasz Targański **Szpiegowskie gadżety**
66 Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski **Wilno 1925: pierwsza w Europie masakra szkolna**
70 Adam Krzemiński ESEJ **Polska–Niemcy: co zostało po słynnym liście biskupów**

Kultura

76 Rozmowa z **Jerzym Radziwiłowiczem** o kontynuacji serialu „Glina", aktorstwie i teatrze
80 Bartek Chaciński **Polski Unsound w Ameryce**
82 **Serhij Żadan** o artystach w armii i twórczości z wojną w tle
85 Aleksandra Żelazińska SPORT **Trudny sezon Igi Świątek**

Ludzie i style

94–97 • **Podróże czytelnicze** • **Moda na skyr** • **Sprawy high- i lowkey** • **Kolor tej jesieni** • **Kult Foradori**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz • **88** Orliński • **89** Hartman • **90** Agata Passent • **91** Chutnik i Plebanek • **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 796dd59b18



Kebab narodowy

Jerzy Baczyński

Pierwsze sto dni swojego urzędowania prezydent zaznaczył kilkoma kolejnymi wetami i jedną znamienną odmową. Odmowa dotyczyła wręczenia nominacji oficerskich funkcjonariuszom służb specjalnych. Karol Nawrocki „pokazał Tuskowi", że nawet swoje ceremonialne uprawnienia będzie traktował jako władcze, bo jeśli prezydent „wręcza, powołuje, nadaje, desygnuje", to może też jednoosobowo tego nie zrobić. Konstytucja co prawda nie przewiduje w Polsce ustroju prezydenckiego (i jak wynika z naszego sondażu na s. 10, większość obywateli również tego nie chce), ale nie przewidziała też paraliżujących państwo skutków wrogiej relacji rządu i prezydenta ani sposobów wyjścia z takiego zwarcia. Szczególnie dotyka to wymiaru sprawiedliwości, zdewastowanego organizacyjnie i moralnie przez byłego ministra Zbigniewa Ziobrę. To wina większa niż wszystkie 26 przestępstw, za które ściga go teraz prokuratura. Minister Żurek (co opisujemy na s. 21) próbuje przekonać prezydenta, żeby wspólnie „coś z tym zrobić", ale widoki są marne. Z kancelarii Nawrockiego słychać, że prezydent prędzej podpisze in blanco ułaskawienie dla Ziobry niż ustawy Żurka.

Z nowych wet Karola Nawrockiego szczególnie godne uwagi jest odrzucenie ustawy powołującej Park Narodowy Doliny Dolnej Odry. Park na nieużytkach Międzyodrza ani nie blokował żeglugi rzecznej – jak twierdził PiS – ani rozbudowy portu w Świnoujściu, ani nie był dyktatem niemieckim. Przeciwnie, miał poparcie ogromnej większości lokalnych gmin i ogółu Narodu. Co Nawrockiemu szkodził park? To kwestia ideologii: parki narodowe i w ogóle „czułość dla przyrody", dla ptactwa, zwierząt dzikich i hodowlanych, troska o klimat itp. w swej naturze są „lewackie", ograniczają wolność, władzę i wygodę człowieka-Polaka. Antyparkowym bojownikiem był, oskarżany razem z Ziobrą, szczeciński poseł Dariusz Matecki, ale taki też jest pogląd obu Konfederacji: Mentzena/Bosaka i Brauna. A o elektorat Konfederacji toczy się najważniejsza dziś w Polsce rozgrywka polityczna. Młoda polska altprawica ma według ostatnich sondaży nawet 20 proc. poparcia i zbliża się morderczo do PiS. Więc podział pracy jest chyba taki: Kaczyński ma atakować Mentzena, Nawrocki przyciągać cały „młodopolski" elektorat.

To specyficzna, nie dość jeszcze opisana grupa – głównie młodzieży męskiej – która ujawniła się w wyborach prezydenckich, a teraz nabiera tożsamości, w opozycji zarówno do „lewactwa" (czyli równo całej koalicji 15 października), jak i „złodziei z PiS". Te bardzo różne grupki łączą zasadniczo trzy rzeczy: „patriotyzm", rozumiany tak jak na Marszu Niepodległości, internet – zwłaszcza media społecznościowe jako środowisko życia; i „antysystemowość" – jako ideologia. Mimo prawicowego sztafażu, rytualnych odwołań do rodziny i wiary, przypomina to – bardziej niż „rewolucję konserwatywną" – lewicową, komunizującą anarchię 1968 r. z jej hasłami: „Nie ufaj nikomu po trzydziestce", „Bądźmy realistami, żądajmy niemożliwego" czy słynnym „Zabrania się zabraniać".

Polityczny spór dietetyczny (nasz okładkowy temat) jest tego przejawem: nikt nie będzie nam narzucał wegaństwa (patrz: demonstracyjne „patriotyczne" spożywanie kebaba przez Karola Nawrockiego), zmuszał do jazdy elektrykami, kazał segregować śmieci, płacić podatki, być miłym dla kolorowych czy Ukraińców. Uogólniony bunt przeciw państwu, „które niczego nie daje", przeciw Unii, „która stale coś narzuca", przeciw służących systemowi „elitom i autorytetom" produkuje własne antysystemowe autorytety, własne alternatywne fakty – sprzyja szerzeniu się teorii spiskowych, antynaukowych, „foliarskich".

Te środowiska mają już swoje wpływowe media, a właściwie, zgodnie z definicją, antymedia. Opisywaliśmy niedawno (POLITYKA 40) fenomen Kanału Zero Krzysztofa Stanowskiego, głównego miejsca spotkań młodej altprawicy. Zasadą jest tu brak zasad, zacieranie granic między błazenadą, misją, bluzgiem, biznesem, „dojeżdżanie" oponentów, szydera z władzy. Ważne są zasięgi. To kliki, internetowe komentarze, aktywności – wspomagane przez sieciowe algorytmy – decydują o tym, co jest tutaj społeczną prawdą. Ostatnia sieciowa afera (rozpoczęta artykułem w „Newsweeku") o podkaście Bogdana Rymanowskiego, szerzącym żywieniowe teorie spiskowe, zamiast (jak mówił w naszym podkaście analityk internetu Michał Fedorowicz) zaszkodzić Rymanowskiemu, przyniosła mu, jako „ofierze systemu", nową masową widownię i przytłaczającą aprobatę sieci.

Ta anarchistyczna internetowa społeczność staje się punktem odniesienia dla polityków wszystkich opcji, nie tylko prawicy; wystarczy popatrzeć, jak KO, premier i ministrowie przymilają się jej na X czy TikToku. Wiadomo, że bez obu Konfederacji trudno będzie w Polsce stworzyć przyszły rząd. Kłopot w tym, że poza przestrzenią sociali – rządzących się swoimi algorytmami – jest jeszcze niewirtualna rzeczywistość: budżet, gospodarka, wojsko, wojna, sądy, szkoły, nauka, ocieplenie klimatu – i sto innych nudnych, analogowych problemów. A internetowe emocje i radykalizm, choć dają upust napięciom i budują zasięgi, nie dają rozwiązań. Konfederacja psuje i tak już marną u nas tzw. debatę publiczną. Ale zwłaszcza demokratyczni politycy powinni pamiętać, że oprócz kilkunastu procent konfederatów jest jeszcze milcząca, w każdym razie mniej głośna w internecie, większość. Filmiki i rolki są super, ale dobrze, aby polityka częściej jednak wychodziła z TikToka.

eprasa.pl 796dd59b18

Albatros travel



Z Kapsztadu do Windhoek

przez Kalahari i pustynne piaski Namibii

NOWOŚĆ

Od pingwinów w Kapsztadzie po cichą pustynię Namibii, od głębokich wąwozów po rozległe krajobrazy Kalahari – odkryj przyrodę, kulturę i dzikie życie południowej Afryki w jej najbardziej spektakularnej odsłonie.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Polski do Kapsztadu w RPA. **Dz. 2** Przylot do Kapsztadu i czas wolny na odpoczynek. **Dz. 3** Przylądek Dobrej Nadziei. Pingwiny w Simon's Town i Góra Stołowa. **Dz. 4** Kapsztad na własną rękę. **Dz. 5** Namaqualand: łąki kwiatowe, degustacja wina i bezkresne przestrzenie. **Dz. 6** Wodospady Augrabies i zielone doliny rzeki Oranje. **Dz. 7** W głąb pustyni Kalahari i Park Transgraniczny Kgalagadi. **Dz. 8** Safari w parku Kgalagadi. **Dz. 9** Wjazd do Namibii i Fish River Kanion. **Dz. 10** W stronę pustyni Namib i Sesriem. **Dz. 11** Wydmy Sossusvlei w tym słynna Dune 45, dramatyczne pejzaże Deadvlei i kanion Sesriem. **Dz. 12** Walvis Bay i Sandwich Harbour. Flamingi i wybrzeże Parku Narodowego Namib-Naukluft. **Dz. 13** Swakopmund i przejazd do Windhoek. Kolacja pożegnalna. **Dz. 14** Wylot do Polski z Windhoek. **Dz. 15** Powrót do domu.

Śniadania i 8 kolacji w cenie

15 dni
Wylot z Warszawy
01/11 2026

19.998,-





Pełne wyżywienie na statku

Rejs po Renie i kwitnące tulipany w Holandii

Podziwiaj kwitnące tulipany w parku Keukenhof oraz zobacz najpiękniejsze holenderskie miasta podczas 6 wiosennych dni w Holandii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Przejazd do Kolonii. Katedra w Kolonii i zaokrętowanie. **Dz. 2** Rotterdam. Zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Enkhuizen. Rejs po Markermeer i Ijsselmeer. Zwiedzanie Enkhuizen na własną rękę lub wizyta w Zuiderzeemuseum (dodatkowo płatne). **Dz. 4** Amsterdam. Wycieczka do parku tulipanów Keukenhof i zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Spacer po Amsterdamie i rejs po kanałach (wycieczki dodatkowo płatne). Dz. 5 Nijmegen. Spacer po hanzeatyckim mieście Nijmegen. Dz. 6 Powrót do Kolonii. Wylot z Frankfurtu do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 12/04 2026 | 6.398,-



2 posiłki dziennie

W cieniu Wezuwiusza – Neapol, Pompeje i Amalfi

Historyczne bogactwa Neapolu, tragedia Pompejów, niespokojny i majestatyczny Wezuwiusz, malownicze wybrzeże Amalfi i wiele innych skarbów regionu Kampanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu i przejazd do hotelu. **Dz. 2** Wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, po południu opcjonalna wycieczka do krateru Wezuwiusza. **Dz. 3** Wizyta w Pompejach. Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 4** Wybrzeże Amalfi oraz greckie świątynie w Paestum. **Dz. 5** Wycieczka do Sorrento. **Dz. 6** Wycieczka na wyspę Capri. **Dz. 7** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Herkulanum. **Dz. 8** Transfer na lotnisko i wylot do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy 06/05, 13/05 2026 | od 5.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL43**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 796dd59b18

Zrób sobie schron



Opublikowane rozporządzenie o warunkach technicznych budowy schronów domyka rządowy pakiet aktów prawnych dotyczących infrastruktury krytycznej i odbudowy Obrony Cywilnej, po tym jak w 2022 r. zlikwidował ją PiS. Prace nad rozporządzeniem trwały długo, bo dokument konsultowany był nie tylko ze specjalistami z różnych dziedzin, lecz musiał również dostać zielone światło z Unii.

Pojawienie się nowych przepisów zbiega się w czasie z największą rewolucją budowlaną od lat – czyli z obowiązkiem zapewnienia przez deweloperów Miejsc Doraźnego Schronienia (MDS) w każdym budynku, który będzie miał wydane pozwolenie na budowę po 1 stycznia 2026 r. Deweloperzy już od kilku miesięcy ostrzegali, że nowe przepisy obrócą się przeciw klientom, bo podniosą koszty zakupu mieszkań. Szukając kompromisu, rząd zdecydował się zatem na złagodzenie obowiązków nałożonych na budowlańców.

– Zmieniamy ustawę o ochronie ludności, bo doszliśmy do wniosku, że rzeczywiście w pewnych kwestiach można wykazać więcej elastyczności. W nowelizacji ustawy przyjmujemy zasadę, że Miejsce Doraźnego Schronienia musi być przede wszystkim zapewnione dla mieszkańców konkretnego budynku – tłumaczy Wiesław Bogdan Leśniakiewicz, wiceminister spraw wewnętrznych. Chodzi o to, że podstawą do wyliczenia powierzchni, która będzie budowana w podwyższonym standardzie ochronnym, będzie faktyczna liczba mieszkańców razy współczynnik miejsca na jedną osobę. Pierwotnie zakładano, że właściwie całe podpiwniczenie budynku musiałoby spełniać wyśrubowane kryteria ochronne. Jest jednak haczyk.

– Przed rozpoczęciem inwestycji inwestor będzie musiał zapytać organy ochrony ludności, jakie potrzeby w zakresie bezpieczeństwa mieszkańców są na danym terenie. I jeżeli organ ten dojdzie do wniosku, że w danym miejscu powinien być schron lub ukrycie, to może narzucić inwestorowi zwiększenie standardu, a nawet podwyższenie wymagań poprzez np. budowę schronu – dodaje wiceminister.

Deweloperzy również takie rozwiązanie krytykowali. Do momentu, kiedy się okazało, że wraz z decyzją o powiększeniu zakresu ochrony będą mogli ubiegać się o refundację kosztów. *– Inwestor będzie miał możliwość dofinansowania tego zadania do 100 proc. z pieniędzy pochodzących z budżetu państwa. Podobnie będzie z MDS, które będą powstawały niejako ponad potrzeby danego budynku. Wówczas również można będzie ubiegać się o dofinansowanie do 100 proc.* – tłumaczy nasz rozmówca.

Odofinansowanie nie będą mogły starać się jednak osoby prywatne, które przy swoich domach jednorodzinnych postanowią zbudować schron albo MDS. Za to schrony można będzie budować w procedurze uproszczonej na tzw. oświadczenie. Trudno powiedzieć, czy Polacy masowo będą poszukiwać bezpieczeństwa na własną rękę. W pierwszych dwóch latach po wybuchu wojny w Ukrainie zainteresowanie tego typu ofertami było znikome. Choć na rynku pojawiło się kilka firm, które oferowały schrony z prefabrykatów, a nawet – projektowane pod indywidualne potrzeby klienta.

Rząd obiecał również, że w pierwszych tygodniach 2026 r. każdy Polak będzie mógł ściągnąć na swój smartfon aplikację, która w sposób prosty i intuicyjny wskaże użytkownikowi drogę do najbliższego schronu, miejsca ukrycia, ewentualnie – miejsca schronienia. Teraz tylko trzeba je wybudować, bo zdecydowana większość tych, które dotychczas były oznaczane jako schrony, nie spełnia już żadnych standardów. (JULL)

Co ile lat szczepić psy?

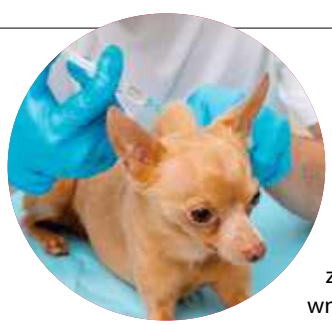

Dlaczego musimy szczepić psy przeciwko wściekliźnie co roku, skoro szczepionki dostępne w Polsce zapewniają odporność dłuższą niż 12 miesięcy, a większość z nich chroni przez trzy lata? Fundacja Vet-Alert zebrała kilka tysięcy podpisów i złożyła do Sejmu petycję o wydłużenie do trzech lat odstępu między szczepieniami, korzystając z tego, że Sejm proceduje właśnie ustawę o zdrowiu zwierząt, która ma dostosować polskie prawo do wymogów unijnych. Kancelaria Sejmu jednak odmówiła rozpatrzenia petycji, ponieważ Sejm zakończył już prace legislacyjne nad ustawą. Projekt utrzymuje dotychczasowy schemat szczepień.

Fundacja skierowała zatem do marszałka Senatu wniosek o wprowadzenie poprawek do ustawy. W tym: wydłużenia okresu ważności szczepienia, uznania badania poziomu przeciwciał za równoważne ze szczepieniem w przypadkach potwierdzonych przeciwwskazań zdrowotnych oraz przywrócenia mechanizmu kontroli cen obowiązkowych szczepień. Bo przy okazji prac nad ustawą o zdrowiu zwierząt ten przepis zniknął, a uwolnienie cen niechybnie spowoduje ich wzrost.

Fundacja ma mocne argumenty. Światowe Stowarzyszenie Lekarzy Weterynarii Małych Zwierząt (WSAVA) zaleca szczepienia zgodnie z okresem działania preparatu, zwykle co dwa–trzy lata. Częstsze szczepienie nie zwiększa ochrony. Do tego szczepionka przeciwko wściekliźnie obarczona jest dużym ryzykiem niepożądanego odczynu poszczepiennego. Na początku roku liczne zgłoszenia NOP po podaniu preparatu spowodowały wycofanie z obrotu na obszarze całego kraju czterech serii szczepionki Rabisin.

Pomysł, by kalendarz szczepień dostosować do okresu rzeczywistej ochrony, dwa lata temu forsowała grupa senatorów reprezentowana przez Krzysztofa Kwiatkowskiego. Może tym razem się uda? (AS)

eprasa.pl 796dd59b18

Pluszowy męczennik



Nikt Rejtanem się nie rzucał, koszuli nie rozdzierał, rzewnymi łzami się nie zalewał: Sejm w zadziwiająco spokojnej atmosferze **zdjął immunitet** Zbigniewowi Ziobrze i wyraził zgodę na jego zatrzymanie oraz ewentualny areszt. Przeciwko konsekwentnie głosowali jedynie posłowie PiS-u, Republikanów i Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Ziobro obserwował wszystko z perspektywy Budapesztu, skąd wydawał ogniste odezwy przeciwko Donaldowi Tuskowi i jego „siepaczom".

Na powrót byłego ministra sprawiedliwości do ojczyzny raczej się nie zanosi, co stanowi kolejny kłopot dla borykającego się z sondażowymi spadkami PiS-u. Nowogrodzkiej trudno będzie wytłumaczyć opinii publicznej, że za granicą musi się chować ktoś, kto nie ma nic na sumieniu. W końcu, parafrazując samego Ziobrę, niewinni nie muszą uciekać. Także granie kartą zdrowotną jest mocno utrudnione, gdy pacjent bawi na Węgrzech. O ile ciężka choroba powinna być z całą powagą potraktowana przez sąd, o tyle Ziobro nie daje mu na to szansy, ukrywając się pod biurkiem Orbána. Zresztą w PiS wielkiej determinacji do bronienia Ziobry nie widać. Cały narracyjny trud wziął na siebie prezes Kaczyński i druhowie ministra z dawnej Suwerennej Polski. Brakowi entuzjazmu pozostałych trudno się dziwić, bo też defraudacja środków z Funduszu Sprawiedliwości miała polegać również na finansowaniu walki wyborczej ziobrystów z kolegami z tej samej wyborczej listy.

Pytanie też, czy w ogóle da się znaleźć jakiekolwiek racjonalne argumenty do obrony Ziobry. To jedna z powszechnie nielubianych figur na scenie politycznej (nieufność do niego deklarowało regularnie prawie 70 proc. badanych), a sama sprawa Funduszu jest jedną z najlepiej udokumentowanych, opisanych przez media i najprostszych do zrozumienia afer z czasów rządów PiS. Gdyby 26 zarzutów prokuratury wobec Ziobry skrócić do wielkości notki, większość polega na prostym schemacie wykorzystania publicznych funduszy przeznaczonych dla ofiar przestępstw na cele Ziobry i jego środowiska. A wszystko to przez ustawione konkursy albo zupełnie poza obowiązującymi procedurami.

Że grupa polityków pod wodzą wysoko postawionego herszta zrobiła sobie z pieniędzy podatników skarbonkę dla krewnych i znajomych królika, to mechanizm, który potrafi zrozumieć każdy. I dlatego sprawa jest dla PiS tak niewygodna. Byłoby łatwiej, gdyby Ziobro wziął na siebie rolę męczennika i wrócił do kraju, ale były minister najwyraźniej wybrał cierpienie od szykan reżimu Tuska w pluszowych wnętrzach luksusowego apartamentu nad Dunajem.

MICHAŁ DANIELEWSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

Bezkarność+



Karolina Lewicka
Dziennikarka Radia TOK FM,
wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Władza daje poczucie mocy, a nieodstępujący rządzących – w każdym systemie i każdej epoce – klakierzy umacniają sprawującego rządy w poczuciu wyjątkowości. Nieuchronnie pojawia się wtedy brak dystansu, który Max Weber w słynnym eseju „Polityka jako zawód i powołanie" z 1919 r. nazywał jednym ze śmiertelnych grzechów każdego polityka. Stąd brać się musi ta emocja, którą opinii publicznej prezentują pociągani za swe rządy do odpowiedzialności: oni są po prostu ciężko obrażeni. Jakże to tak? Ze świecznika przed oblicze Temidy? To się, w ich mniemaniu, zupełnie nie godzi. Towarzyszy temu niezrozumienie całej sytuacji i pogubienie, co można było dostrzec w ostatnich medialnych występach Zbigniewa Ziobry. Były minister sprawiedliwości argumentował na swoją rzecz bez ładu i składu, a jedyne, co mu dobrze wyszło, to mnożenie określeń na swoich „prześladowców", nazywanych raz juntą, potem szajką, grupą przestępczą, a nawet – to urocze – „reżimem liberalno-lewicowym".

W tym kontekście niezwykle interesujące były wprowadzenie Bronisława Wildsteina do panelu poświęconego wyzwaniom prezydentury Karola Nawrockiego na katowickiej konwencji PiS. Bowiem redaktor, po wygłoszeniu frapującej tezy, że „te wybory uratowały demokrację", gładko ruszył w stronę, by tak rzec, afirmacji bezkarności. Usłyszeliśmy, że decyzje polityczne nie podlegają penalizacji. Że gdyby tak było, to unicestwiłoby to demokrację, której istotą jest konkurencja różnych propozycji rozwiązywania tych samych problemów. Tymczasem – grzmiał Wildstein – obecna władza próbuje przedstawiać decyzje poprzedników jako nielegalne, a ci je podejmujący mają być usunięci z życia politycznego. Przypuszczać należy, że to pomieszanie z poplątaniem nie jest wynikiem roztargnienia mówcy, ale zabiegiem celowym. Obrazek miał pozostać w głowach słuchaczy taki: ekipa PiS miała pomysł na Polskę, który dzięki mandatowi uzyskanemu od narodu realizowała, a teraz, za sprawą siepaczy Tuska, dzielni wykonawcy tego planu będą gnili w więzieniach nazywanych „stalinowskimi" lub „białoruskimi".

Otóż nikt nie chce nikogo rozliczać i karać za polityczne koncepty, choćby i te chybione czy szkodliwe, np. uznanie, że lepszy prąd z elektrowni węglowej niż z wiatraków i konsekwencje tegoż: blokowanie rozwoju farm wiatrowych i dotowanie wydobycia węgla. Chodzi wyłącznie o art. 7 konstytucji mówiący, że: „Organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa". A to oznacza, że nie można sobie poza nawias przepisów wyjąć wybranych decyzji, potem nazwać je dla niepoznaki „politycznymi" i tym sposobem uwolnić się od ciężaru odpowiedzialności za nie.

Wrócę jeszcze do przeszłości – kiedy wiosną 2016 r. ruszył program 500+, politycy PiS przybrali triumfalną pozę, będąc przekonani, że odkryli właśnie wzór na wieczną władzę. Stawali się coraz bardziej aroganccy, jako pierwsi w historii III RP atakowali i wyrzucali poza nawias narodowej wspólnoty nie tylko politycznych przeciwników, ale też ich wyborców. Temu musiało towarzyszyć poczucie bezkarności prowokujące do przekraczania kolejnych granic w poczuciu, że wszystko wolno i że wszystko ujdzie na sucho. Stąd teraz ta obraza boska i nerwy.

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 796dd59b18

Ameryka niedostępna



Po dziewięciu miesiącach bezradnego przyglądania się wyczynom Donalda Trumpa Demokraci mają wreszcie powody do radości. Zwycięstwa w wyborach gubernatorów Wirginii i New Jersey, burmistrza w Nowym Jorku i zatwierdzenie korzystnych dla nich zmian mapy okręgów wyborczych Kalifornii dobrze rokują przed przyszłorocznymi wyborami połówkowymi do Kongresu. Partia Demokratyczna wydobywa się z depresji i zaczyna z nadzieją oczekiwać wyborów do Białego Domu w 2028 r.

Nie chodzi o same wygrane w dwóch stanach liberalnego Wschodniego Wybrzeża, które od dawna głosują na kandydatów demokratycznych. Sygnałem zmiany partyjnych preferencji jest skala tych zwycięstw. W zeszłorocznych wyborach prezydenckich Kamala Harris wygrała tam z Trumpem różnicą ok. 6 proc. **Abigail Spanberger**, zwyciężczyni wyborów gubernatora w Wirginii, zdobyła 15 proc. głosów więcej niż Republikanka Winsome Earle-Sears, a w New Jersey **Mikkie Sherill** z podobną przewagą pokonała Jacka Ciattarellego z Partii Republikańskiej (GOP). Co więcej, w obu stanach wiele okręgów wyborczych w przeszłości „niebieskich" (demokratycznych), zamieszkanych głównie przez wyborców z klas pracujących, przeważnie Latynosów, które w 2024 r. padły łupem Trumpa, teraz głosowało na kandydatki demokratyczne.



Najczęściej do głosowania na Demokratów skłaniała wyborców frustracja z powodu wzrostu kosztów utrzymania. Mimo obietnic Trumpa, że zdusi inflację, zwyżkują ceny podstawowych towarów i usług oraz domów i mieszkań, co sprawia, że coraz więcej Amerykanów, zwłaszcza młodych, nie stać na założenie rodziny lub osiągnięcie standardów życia ich rodziców. Wątek drożyzny, „dostępności cenowej" (affordability), dominował szczególnie w Nowym Jorku, gdzie niemal wszystko jest droższe niż gdzie indziej i gdzie był motywem przewodnim kampanii demokratycznego socjalisty **Zohrana Mamdaniego**. Jak się okazało, skutecznym, bo Mamdani wygrał z byłym gubernatorem stanu Nowy Jork, niezależnym kandydatem Andrew Cuomo różnicą 10 pkt proc. W Wirginii i New Jersey Spanberger i Sherill, choć w odróżnieniu od niego umiarkowane, też używały drożyzny jako głównego argumentu w kampanii, co zapewniło im sukces.

Na prawicy zapanował popłoch. Konserwatywne media, z „Wall Street Journal" na czele, przyznały, że wybory są dzwonkiem alarmowym dla GOP. Trump wzywał do poparcia przeciwników demokratycznych kandydatów, ale go nie słuchano. Przywódcy Republikanów w Kongresie próbowali bagatelizować porażkę, ale prawicowi komentatorzy ich upomnieli, by zainteresowali się bytowymi troskami rodaków. Trump udaje, że nic się nie stało. Drożyzna, mówi, nie mogła być przyczyną porażek GOP, bo jej nie ma. Powtarza, że wszystko tanieje, tylko wredne media nie chcą o tym informować. Żyje w swej alternatywnej rzeczywistości, nie godząc się z faktami, które są bezdyskusyjne – jego Departament Pracy podał, że ceny konsumenckie wzrosły we wrześniu o 3 proc., w najszybszym tempie od stycznia.

Demokraci triumfują, przewidując, że problem nie zniknie, bo inflacja będzie rosnąć w następstwie prezydenckich podwyżek taryf celnych. Przekonują, że gospodarka USA, choć bardziej dynamiczna niż europejska i notująca przyzwoity wzrost, przynosi poprawę sytuacji materialnej tylko wąskiej warstwie najbogatszych Amerykanów. Mówią o astronomicznie rosnących kosztach leczenia, które stały się pretekstem do najdłuższego w historii shutdownu (więcej na s. 50). Będą to naczelne wątki kampanii przed wyborami połówkowymi w 2026 r. Demokraci liczą, że kwestia cen usług i zdrowotnych, której nagłośnienie dało im zwycięstwo w wyborach do Kongresu w 2018 r., przyniesie powtórzenie tego sukcesu za rok. Tym bardziej że nierówności w USA się zwiększają, oligarchizacja postępuje, a kiedy w czasie zamknięcia rządu biedni nie dostają kartek na żywność, Trump urządza w Mar-a-Lago przyjęcie w stylu Wielkiego Gatsby'ego.



Trumpiści będą teraz straszyć wyborców Mamdanim, muzułmańskim „komunistą", którego fenomen ma jakoby zwiastować przekształcenie Partii Demokratycznej w „socjalistyczną". Po swym zwycięstwie burmistrz elekt cytował przywódcę amerykańskich socjalistów sprzed stulecia, Eugene'a Debsa, i sugerował wstąpienie na barykady walki klas. Mamdani stał się inspiracją i idolem radykalnej lewicy w całej Ameryce i według sondaży więcej Demokratów woli socjalizm – choć zapewne różnie go rozumie – niż kapitalizm.

Progresywiści są rzeczywiście źródłem energii Demokratów. Byłoby jednak niefortunne, gdyby przejęli kierownictwo partii i nominowali swego faworyta w wyborach prezydenckich w 2028 r. Ktoś w rodzaju Mamdaniego nie ma bowiem szans na Biały Dom. Ale w Partii Demokratycznej wciąż dominują raczej politycy centrowi, umiarkowani, jak Spanberger i Sherill, i liberalni pragmatycy, jak gubernator Kalifornii Gavin Newsom, więc można mieć nadzieję, że w 2028 r., inaczej niż cztery lata wcześniej, nie dojdzie do pomyłki przy nominacji prezydenckiego kandydata.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

eprasa.pl 796dd59b18

Kleszcze wokół Pokrowska



Ukraińskie dowództwo wciąż zaprzecza, że Pokrowsk został okrążony, ale gdy czytają państwo ten numer POLITYKI, sztab w Kijowie może być zmuszony do ewakuacji żołnierzy zagrożonych śmiercią lub niewolą. Rosjanie wolno, lecz nieubłaganie zamykają kleszcze, a ten ich ulubiony manewr zadziałał już w przypadku wielu ukraińskich twierdz, jakimi stawały się nawet niewielkie miasteczka. Taktyczna rozgrywka jest zawsze podobna: załogi broniące się w gęstszej i odporniejszej miejskiej zabudowie są z wolna obchodzone poza terenem zurbanizowanym, a gdy uda się odciąć zaopatrzenie, opanowując drogi i linie kolejowe, załamanie obrony to kwestia czasu.

Na mapach amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną widać, że kleszcze wokół Pokrowska niemal się zamknęły, a kontrola nad ostatnimi drogowymi liniami zaopatrzenia jest co najmniej płynna. Mało tego, Rosjanie umocnili kontrolę nad północnymi i zachodnimi przedmieściami, są też w stanie swobodnie przerzucać zaopatrzenie w południowe regiony miasta. W rękach Ukraińców jest nadal Myrnohrad, 3 km na wschód, ale jego obrona straci sens, gdy rosyjskie kleszcze zamkną się na zachód od Pokrowska. Ślimacza ofensywa w tym rejonie dobrze pokazuje, jak wolno Rosjanie posuwają się naprzód, czyli jak dobrze Ukraińcy się bronią.

Dalej na wschód, 90 km za Donieckiem, leży Debalcewe, czyli rejon najbardziej zażartych walk ze stycznia 2015 r., gdy Rosjanie po raz pierwszy najechali Ukrainę w przebraniu lokalnych separatystów. Ukraińska armia broniła się dzielnie, ale będąc w nieporównanie gorszym stanie niż teraz, została zamknięta w kotle i zmuszona do odwrotu. Dziesięć lat później Rosjanie posunęli się stamtąd na zachód ledwie o kilka większych czy wojskowo znaczniejszych punktów. Bachmut, Awdijiwka, Oczeretyne, Czasiw Jar, Toreńk, Konstantyniwka – te nazwy znaczą kolejne lata i miesiące walk w Donbasie.

Front nigdy nie przesuwał się liniowo, kluczowe były drogi i węzły kolejowe oraz rozmieszczone przy nich osady, wsie i miasteczka. W erze dominacji dronów, czyli od dwóch lat, otwarty teren to niemal pewna śmierć, a zabudowania dają ochronę i szansę. Tym bardziej, że Pokrowsk to jakby bastion, wysunięty przed regionalne twierdze Słowiańsk i Kramatorsk, tworzące centra tej części Donbasu, która wciąż jest w rękach Ukrainy. Niestety, na północ od nich Rosjanie też napierają, a na mapie widać, że po upadku Pokrowska duży kęs Donbasu będzie wystawiony nie na kleszcze, lecz na szczęki.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Jak wrócić na kurs?



W brazylijskim Belém trwa COP30, doroczny szczyt klimatyczny. W portowym mieście, na skraju amazońskiego lasu deszczowego, przedstawiciele blisko 200 państw powinni przyjąć nowe i przede wszystkim bardziej skuteczne sposoby na wyhamowanie globalnego ocieplenia. Wymagają tego okoliczności. Przybywa ekstremalnych zdarzeń pogodowych. Równolegle rośnie zapotrzebowanie na energię. A poważna część przywódców politycznych wciąż się upiera, że można ją nadal czerpać z paliw kopalnych. Gwiazdą tej populistycznej cofki jest amerykański prezydent Donald Trump, który naukowe dowody w sprawach klimatu nazywa „prognozami głupców" i „największym oszustwem w historii".

Tym razem powinny zapaść najważniejsze ustalenia od dekady. W 2015 r. w ramach porozumienia paryskiego prawie wszystkie kraje przyjęły własne ograniczenia emisji gazów cieplarnianych. Wówczas celowano w zatrzymanie wzrostu temperatury na poziomie 1,5 st. C w porównaniu z epoką przedprzemysłową. Wysiłki okazały się niewystarczające i wyraźnie zeszliśmy z kursu – utrzymanie obecnych przyrzeczeń pozwoliłoby osiągnąć góra 2-3 st. C.

Organizacja Narodów Zjednoczonych w przedszczytowym raporcie przestrzega jednak, że wdrażane obecnie działania i istniejące możliwości techniczne pchają nas raczej ku 2-8 st. C. Ten rozdźwięk objawi się jeszcze wyższym ryzykiem susz, huraganów, fal upałów, pożarów lasów, zamierania raf koralowych i przyspieszonego wymierania gatunków. W rezultacie miliony ludzi straci miejsca utrzymania i zamieszkania.

Państwa do lutego powinny zgłosić nowe zobowiązania emisyjne na okres po 2030 r., ale przed szczytem zrobiła to raptem niecała dziewięćdziesiątka. Zabrakło Indii (nr 3 na liście emitentów) i Stanów Zjednoczonych (nr 2). Odpowiedzialne za jedną trzecią emisji Chiny i będąca czwartą emitentką Unia Europejska zasygnalizowały jedynie swoje zamiary. Program spotkania obejmuje 145 pkt. Wiele z nich będzie wymagać negocjacji, na rozstrzygnięcia czekają m.in. zasady finansowania ochrony lasów tropikalnych i skala funduszy przekazanych krajom na dorobku, by mogły się dostosować do zmian klimatu i przejść na odnawialne źródła energii.

Uczestników powinny dopingować – oprócz odpowiedzialności – oczekiwania społeczne. Z globalnych sondaży bowiem wynika, że nawet 89 proc. ludzi szczerze przejętych jest stanem klimatu i domaga się zdecydowanych działań na jego rzecz. Sęk tylko w tym, że ta „milcząca większość" jeszcze się nie policzyła i nie zdaje sobie sprawy z własnej przewagi. Szczyt zaś zaczynał się w minorowych nastrojach, pogłębionych widokami zaśmieconego Belém i kryzysu ekologicznego Amazonii, do czego rękę przykłada goszcząca delegatów Brazylia. Z goszczeniem też jest problem, bo wobec skromnej oferty hotelowej wielu uczestników musiało zamieszkać na dwóch wielkich ropożernych wycieczkowcach zacumowanych w porcie.

© ANDREW LICHTENSTEIN/CORBIS/GETTY IMAGES, STEPHANIE SCARBROUGH/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, MIKE SEGAR/REUTERS/FORUM, VIACHESLAV RATYNSKYI/NEWS LICENSING/FORUM, ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 796dd59b18

Pierwsze razy Nawrockiego



MARIUSZ JANICKI

Mija 100 dni urzędowania prezydenta Karola Nawrockiego. Jak oceniana jest jego prezydentura, czy spełnia oczekiwania swoich zwolenników, czy widzą w nim nowego lidera prawicy, co sądzą o nim ci, którzy na niego nie głosowali, jaką decyzję podjęliby dzisiaj, gdyby możliwa była powtórka drugiej tury wyborów? O wszystko zapytaliśmy w sondażu.

eprasa.pl 796dd59b18

Pierwsze tygodnie Nawrockiego w roli prezydenta to był przedłużony miesiąc miodowy, czas jego dużej aktywności i zachwytów płynących zresztą z różnych politycznych stron. Nawrocki z wyraźną radością wypróbował swoje narzędzia i przyciski na prezydenckiej konsoli: weta, nominacje, radę gabinetową, odbył kilka średnio znaczących wizyt zagranicznych, jest też wykonawcą najgłośniejszego okrzyku „czołem żołnierze" w historii III RP. Potem sytuacja się nieco uspokoiła, bo pierwsze razy w końcu się wyczerpują i muszą w końcu nastąpić powtórki. Nadszedł więc moment na ocenę tej pierwszej prostej nowego prezydenta, stąd nasz sondaż zrealizowany wspólnie z pracownią Opinia24.

Zaczęliśmy od ogólniejszej kwestii: czy Polacy byliby skłonni przyznać głowie państwa większe kompetencje, niż jest to dotychczas. Oczywiście w tle, jako punkt odniesienia, jest już prezydentura Karola Nawrockiego. Otóż spora grupa, bo 31 proc. respondentów, przyznałaby prezydentowi większe uprawnienia, szczególnie wyborcy PiS, Konfederacji, a najbardziej Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Ale także 22 proc. zwolenników Razem i 19 proc. popierających PSL opowiedziało się za większą władzą prezydenta. Zaskakująco mało natomiast, bo tylko 16 proc., chciałoby zmniejszenia uprawnień głowy państwa, a więc także wielu zdawałoby się przeciwników politycznych Nawrockiego nie opowiada się za pozbawieniem go mocy.

Czy zdaniem Pana|Pani prezydent Polski powinien mieć:
(w proc.)

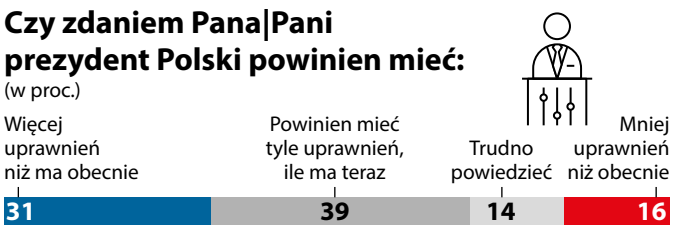

Może to świadczyć tyleż o ocenie samego Nawrockiego, co o postrzeganiu funkcji głowy państwa. Polacy wyraźnie polubili pasjonujący spektakl wybierania prezydenta, może także dlatego nie chcą pomniejszania znaczenia tego najwyższego urzędu, wydaje się im w sam raz. Chociaż eksperci od lat narzekają, że polska prezydentura stoi trochę w poprzek ustroju, bo ani to system prezydencki, ani też porządny parlamentarno-gabinetowy, a ta ustrojowa hybryda często okazuje się prawnie rozmyta i niefunkcjonalna. Jednak blisko 40 proc. zapytanych w naszym sondażu odpowiada, że prezydent ma uprawnień tyle, ile powinien i nic nie potrzeba tu zmieniać.

Zapytaliśmy, na kogo by Polacy zagłosowali, gdyby druga tura wyborów prezydenckich, w tym samym składzie, odbyła się teraz. Otóż nic by się nie zmieniło, a byłoby nawet bardziej. 40 proc. respondentów w tej „trzeciej turze" wybrało Karola Nawrockiego, 30 proc. – Rafała Trzaskowskiego, a 19 proc. nie pofatygowałoby się do urn, reszcie „trudno powiedzieć". I ponownie za Nawrockim opowiedzieli się wyborcy PiS, ale z bardzo bliskimi wynikami także sympatycy Konfederacji i partii Brauna, na Nawrockiego wskazał także co czwarty zwolennik Polski 2050. Widać, że awantury wewnątrz prawicy omijają prezydenta i dopóki on sam nie zaangażuje się w prawicowe rozgrywki, może liczyć na duże poparcie.

Sondaż Opinia24 przeprowadzony metodą CATI/CAVI na reprezentatywnej próbie 1001 dorosłych Polaków w terminie 22–24.10.2025

Gdyby to dzisiaj odbyła się druga tura wyborów prezydenckich, to na kogo by Pan|Pani zagłosował|a:
(w proc.)

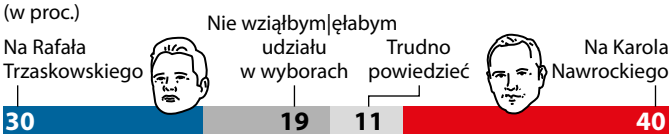

Wyraźnie słabszy wynik Trzaskowskiego w naszym sondażu wynika zapewne z wielkiego rozczarowania, powyborczej traumy, która powoli mija, ale jeszcze daje o sobie znać, także w dość wysokiej absencji. Niemniej, jeśli traktować tę „powtórkę z wyborów" jako wskaźnik oceny 100 dni Nawrockiego, to wypada ona nieźle. Mimo wielu kontrowersji, wet, ostrych wypowiedzi, przepychanek z rządem, utrzymuje przewagę. Jest to także jakiś pośredni komentarz do tezy o sfałszowaniu wyborów; widać, że nawet w ewentualnej powtórce po 100 dniach wynik by się nie zmienił.

A teraz już pytanie wprost o ocenę pierwszych miesięcy prezydenta Nawrockiego. Bardzo dobrze te 100 dni ocenia 21 proc. respondentów (w zdecydowanej przewadze mężczyźni), 32 proc. – dobrze. Źle – 15 proc., a bardzo źle – tylko 11 proc. Sporo się waha, bo aż 21 proc. wybrało odpowiedź „trudno powiedzieć" (tutaj z kolei spora przewaga kobiet). W sumie jest 53 proc. na tak i 26 proc. na nie. To spora przewaga. Zwolennicy Nawrockiego wydają się zadowoleni ze swojego wyboru i podtrzymują pozytywne zdanie o prezydencie.

Jak Pan|Pani ocenia prezydenta Nawrockiego po pierwszych 100 dniach urzędowania:
(w proc.)

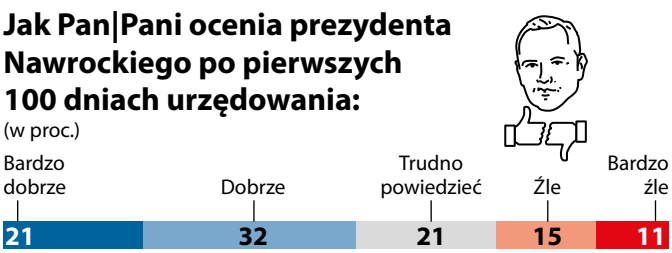

Po drugiej stronie jest większe zamieszanie w postawach. Najtwardszych przeciwników prezydenta jest niewielu, a w połączeniu z bardziej umiarkowanymi nadal nie przekraczają w sondażu nawet notowań Koalicji Obywatelskiej. Aż 38 proc. zwolenników Polski 2050 ocenia Nawrockiego „dobrze", podobnie jak 19 proc. sympatyków PSL. Widać tu zapewne znane zjawisko: wyjmowania głowy państwa ze ścisłego politycznego kontekstu. Tak było z Andrzejem Dudą, i tak jest jeszcze bardziej teraz, kiedy Nawrocki dostaje tę specyficzną nadwyżkę poparcia, a przynajmniej ▶

© FILIP SINGER/EPA/PAP, INFOGRAFIKI LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 796dd59b18

▶ neutralności od zdawałoby się ideologicznych przeciwników, zwłaszcza biorąc pod uwagę radykalizm poglądów obecnego prezydenta. Ale to się wyraźnie pomija, przynajmniej na razie.

Poza tym wszystko bez większych zmian: lepiej oceniają Nawrockiego grupy słabiej wykształcone, ze wsi i mniejszych miast, widać to zwłaszcza w kategorii oceny „bardzo dobrej". Bo już grupa „oceniam dobrze" jest znacznie bardziej egalitarna: w tym przypadku pozytywnie ocenia prezydenta 35 proc. osób z wykształceniem podstawowym i gimnazjalnym, ale także 31 proc. z wyższym, 34 proc. z terenów wiejskich, ale też 36 proc. z miast powyżej 500 tys. mieszkańców. Ta kategoria „dobrych" ocen może być atutem Nawrockiego: część publiczności się nim specjalnie nie zachwyca, ale też nie ma na tyle determinacji, aby oceniać go „źle".

Może więc Nawrocki ulokować się na pozycji zwanej z angielska *good enough*, będzie wystarczająco dobry albo przynajmniej nie dość zły, aby coś z tym robić. Na tym da się długo jechać, jeśli nie zrobi się czegoś bardzo kontrowersyjnego, głupiego albo ośmieszającego. Zapewne na unikaniu takich prostych wpadek koncentruje się teraz uwaga Pawła Szefernakera i jego ekipy.

Warto zauważyć, że w puli oceniających „dobrze" 100 dni Nawrockiego znaleźli się także wyborcy Rafała Trzaskowskiego z drugiej tury (17 proc.), a także z pierwszej tury: Adriana Zandberga (35 proc.) i Magdaleny Biejat (20 proc.). To potwierdza tezę, że Nawrocki podoba się nie tyle z powodu poglądów, ile z uznania dla jego ogólnego wizerunku. Widać tu również stopień przywiązania do Nawrockiego wyborców innych prawicowych kandydatów: najbardziej Marka Jakubiaka (70 proc.), Grzegorza Brauna (62 proc.) i Sławomira Mentzena (52 proc.).

W skali województw są w naszym sondażu pewne niespodzianki: najwyższe wyniki Nawrocki notuje w małopolskim i lubelskim, co nie dziwi, ale niewiele gorzej wypada w wielkopolskim czy mazowieckim. W województwie pomorskim ocen bardzo dobrych i dobrych zbiera w sumie 46 proc., w zachodniopomorskim – tyle samo, w lubuskim – 45 proc., a te regiony uchodzą za ostoje Koalicji Obywatelskiej. Wynika z tego, że wyborczy sukces Nawrockiego wynikał nie tylko z tego, że część elektoratu Trzaskowskiego w zachodniej Polsce się w dniu wyborów zdemobilizowała, bo widać, że kandydat KO nie miał tam widocznie takiej przewagi, jak się zdawało, a Nawrocki na wschodzie dominował bezdyskusyjnie.

Czwarte pytanie naszego badania brzmiało: czy zdaniem respondentów prezydent Nawrocki zakończy konflikt polityczny w Polsce? Co ciekawe w świetle dość wysokich ocen jego prezydentury mało kto – bo tylko 7 proc. zapytanych – spodziewa się tu końca „wojny polsko-polskiej", a tylko 14 proc. liczy na łagodzący wpływ obecnego prezydenta na sytuację polityczną.

Co ciekawe, bardziej na tę koncyliacyjność Nawrockiego liczą wyborcy Polski 2050 niż zwolennicy PiS, którzy zapewne nawet nie chcą żadnego łagodzenia, tylko walki. Z kolei 25 proc. sądzi, że Nawrocki zaostrzy polityczny konflikt (stosunkowo najczęściej tak uważają osoby 60 plus). Za to aż 31 proc. zachowuje stoicki spokój i uważa, że nic się tu nie zmieni; w dodatku 23 proc. mówi „trudno powiedzieć". Wydaje się zatem, że o ile Nawrocki jest nieźle oceniany, o tyle nie stawia mu się jakichś wygórowanych oczekiwań, wyraźnie nie został wybrany akurat do misji godzenia Polaków albo też po prostu ludzie w tę zgodę nie wierzą.

Zapytaliśmy też o wewnętrzne sprawy prawicy, czyli o to, jak są oceniane szanse Karola Nawrockiego na zastąpienie Jarosława Kaczyńskiego w roli lidera całej prawicowej formacji. I tutaj okazuje się, że jest duży sceptycyzm: zdecydowanie „tak" na to pytanie odpowiedziało tylko 5 proc., „raczej tak" – 16 proc. Na „nie" było w sumie 50 proc. respondentów. Jak można było przypuszczać, w liczeniu na taką rolę Nawrockiego ponad przeciętną wybili się zwolennicy Konfederacji i Brauna, a dopiero w trzeciej kolejności sympatycy PiS, jednak o żadnym entuzjazmie nie ma tu mowy.

Może więc nawet wyborcy Nawrockiego nie wierzą w jego aż takie talenty polityczne, aby pozwoliły mu na wejście

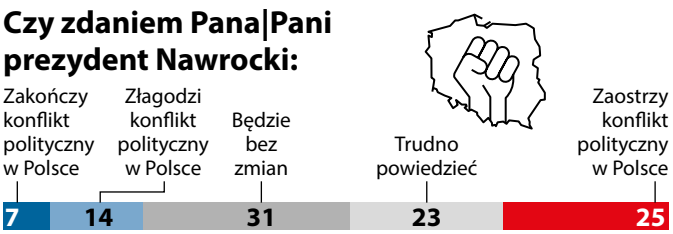

do partyjnej rozgrywki, bo to wymaga specjalnych umiejętności, doświadczenia i po prostu długiego stażu w tej „robocie". Albo też nie wymagają od niego takiego zaangażowania, wolą go jako patrona prawicy, a nie czynnego uczestnika. W każdym razie może to jakoś uspokajać Jarosława Kaczyńskiego, że bezpośredniego zagrożenia na razie nie ma. Ale jest jednak nowy człowiek, punkt odniesienia także dla działaczy PiS.

I ostatnia kwestia, systemowo bardzo istotna: zapytaliśmy, czy rząd Donalda Tuska powinien konsultować z prezydentem projekty ustaw, zanim trafią one do Sejmu. Nawrocki zasugerował taką metodę, co wzbudziło ostry sprzeciw ze strony obozu władzy. A co na to respondenci naszego badania? Otóż jak najbardziej: 27 proc. uważa, że „zdecydowanie tak", a 31 proc., że „raczej tak", w sumie 58 proc. sądzi, że rząd powinien wysyłać projekty do Pałacu Prezydenckiego przed procedowaniem, a tylko 25 proc. jest innego zdania. Oczywiście za taką praktyką opowiadają się wyraźnie częściej sympatycy PiS i obu Konfederacji, ale także niemała część wyborców ugrupowań Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Można to odczytywać jako po prostu sprzyjanie Nawrockiemu, ale też możliwe, że wiele osób chciałoby, aby pewne – potrzebne ich zdaniem – projekty miały większe szanse na uchwalenie.

Oznacza to jednak cichą zgodę na nieformalną „trzecią izbę ustawodawczą" mieszczącą się w Pałacu – w praktyce zatem na cichą zmianę ustroju. Jeśli projekty ustaw mają wychodzić z Pałacu i tam trafiać do konsultacji ustawy rządowe, to rola parlamentu gwałtownie zmaleje. Będzie tu się odbywać próba sił, zwłaszcza w przypadku projektu Nawrockiego „Godna emerytura", z coroczną rewaloryzacją świadczeń ponad dzisiejsze regulacje. Odrzucenie go przez rząd da prawicy pretekst do ataków, że Tusk nie chce polepszyć losu emerytów, a ugięcie się z kolei utrwali proces przesuwania władzy ustawodawczej w kierunku prezydenta.

eprasa.pl 796dd59b18

To będzie istotny moment, a wygra tę rozgrywkę strona, która lepiej skomunikuje się z wyborcami i bardziej przekonująco przedstawi swoje motywacje. Z drugiej strony podpisał właśnie 10 kolejnych ustaw, więc spory będą dotyczyć węzłowych, szczególnie ważnych politycznie i społecznie projektów. Albo spraw kompetencyjnych i personalnych, jak ostatnio, kiedy Nawrocki odmówił podpisania nominacji oficerskich.

Ogólnie z ocen 100 dni Nawrockiego, jakie ujawnia nasz sondaż, wynika, że wyborcy Nawrockiego na pewno nie są rozczarowani. Zwłaszcza że nie stawiają nowemu prezydentowi szczególnie wysokich wymagań, nie spodziewają się z jego strony cudów czy działań „ponad podziałami". Ponownie nie wybraliby dzisiaj Trzaskowskiego, ale też w sumie tylko nieco ponad połowa Polaków ocenia dzisiaj Nawrockiego pozytywnie. Zdaje się, że pierwszy szał minął, choć Nawrocki zachowuje dobre pozycje przed dalszym wyścigiem o popularność. Teraz może jednak przyjść polityczna proza, więcej momentów, kiedy prezydent będzie musiał podejmować kontrowersyjne dla wielu grup społecznych i zawodowych decyzje, występować także przeciwko większościowej opinii publicznej. Lawirowanie i zbieranie punktów może być zatem trudniejsze niż na pierwszej setce.

Mimo że na razie nie daje Nawrockiemu większych szans na istotną pozycję w środowisku prawicy, to nasz sondaż pokazuje, że w jakiś sposób tę prawicę łączy, bo w przypadku wszystkich pytań zwolennicy trzech prawicowych ugrupowań odpowiadali podobnie i diametralnie odmiennie od sympatyków partii z obozu rządzącego, zwłaszcza Koalicji Obywatelskiej. To też jakaś wskazówka co do przyszłych sojuszy rządowych: nawet jeśli kierownictwa partii są skłócone, wyborcy są dość zjednoczeni i mogą swoich przywódców przywołać do porządku. To też przestroga dla liberałów, aby za bardzo nie liczyć na egzotyczną koalicję z Mentzenem, bo mu wyborcy i ogólna prawicowa opinia na to nie pozwolą, a wezwanie Nawrockiego do jedności stanie się alibi dla prawicowego porozumienia, nawet wbrew Kaczyńskiemu, który nie będzie miał innego wyjścia.

Nawrocki jawi się zatem jako nie tyle lider, ile odwód, strategiczna rezerwa prawicy. Z drugiej strony widać, że nowy prezydent, chociaż na razie nie zrobił niczego przeciwko PiS i Kaczyńskiemu, nie dodaje temu ugrupowaniu punktów, że w sumie

Czy Pan|Pani uważa, że Karol Nawrocki zastąpi Jarosława Kaczyńskiego w roli lidera całej polskiej prawicy?



(w proc.)



bardziej gra na nową prawicę jako bardziej przyszłościową i tam upatruje szans na reelekcję. Zapewne sądzi, że poparcie elektoratu PiS ma i tak zapewnione, bo ci wyborcy nie mają dokąd pójść, a o młodszych wyborców trzeba bardziej zabiegać, ponieważ łatwiej zmieniają zdanie. Na razie ich trzyma: z naszego sondażu wynika, że właśnie w grupie 18–29 lat ma relatywnie największe poparcie, a Trzaskowski – przy pytaniu o ponowne głosowanie – w najstarszej grupie wyborców.

Widać tu jakieś zasadnicze, od początku, przestrzelenie w oczekiwaniach wobec kandydata, który dzięki Campusom i luzackiemu wizerunkowi miał być faworytem właśnie młodych. Ale „wrogiego przejęcia" dokonał pretendent z prawicy, bo okazało się, że od protestów w sprawie aborcji w 2020 r. zmieniło się jeśli nie wszystko, to wiele. Tym razem młodzi postawili na antyaborcyjnego radykała.

Ciekawe, czy i na ile może dotknąć Karola Nawrockiego pewien kryzys, jaki przydarzył się ostatnio PiS. Kaczyński miał dobre przeczucie, wybierając Nawrockiego na prezydenckiego kandydata, ale sam ze swoją partią nie poszedł za tą intuicją, postanowił niczego nie zmieniać i zagrać jeszcze raz jak w 2015 r., z tym samym zestawem idei i ludzi. I tak został starą prawicą, brutalną jak dawniej, ale mało już atrakcyjną. Nawrocki na razie unika pisowskiego dołka, bo dokłada do radykalnej prawicy

Czy zdaniem Pana|Pani rząd Donalda Tuska powinien konsultować z prezydentem projekty ustaw, zanim zostaną skierowane do Sejmu?

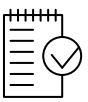

(w proc.)

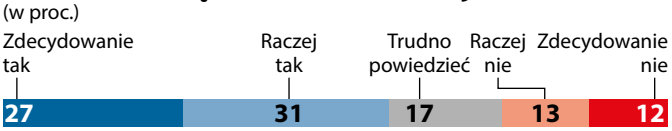

tężyznę fizyczną, skórzaną kurtkę, kebab, kibicowskie klimaty itp. – chwyty tak proste, że aż dziw, że skuteczne.

Pomaga Nawrockiemu także fakt, że najlepsi marketingowcy PiS poszli z nim do Pałacu i dbają przede wszystkim o jego wizerunkowe interesy. Jeśli spadkowa tendencja PiS w sondażach się utrzyma, to proces przesuwania się co bardziej zapobiegliwych polityków prawicy w kierunku Nawrockiego może się nasilać. Ale na prezydencką ekipę czyhają też rafy. Niełatwo jest utrzymać publiczną uwagę. Potrzebna jest stała „dostawa towaru", pokazywanie swojej władzy i sprawczości. A w tej kwestii Nawrocki, próbujący naśladować Donalda Trumpa, ma nieporównanie mniejsze możliwości od globalnego przywódcy, który działa na niezliczonych frontach i codziennie wymyśla nowe atrakcje.

Nawrocki też ustawił się w roli dostarczyciela kontentu, pytanie, czy będzie w stanie to skutecznie robić. Tak jak dla pisarzy podobno najtrudniejsza jest druga książka po udanym debiucie, Nawrocki musi wymyślić kolejny etap tak, żeby nie znudzić publiczności powtarzalnymi grepsami. Bo wtedy okazjonalni sympatycy prezydenta wreszcie bardziej się przyjrzą jego poglądom, ideologii, jaką forsuje, zdadzą sobie sprawę, jakie ustawy podpisuje, a jakich nigdy nie podpisze i co z tego wynika.

Dostrzegą w końcu, że Nawrocki to jednak prosta, jednoznaczna prawica, trochę stadionowa, trochę marszowa, w każdym razie mocno odległa od idei liberalno-demokratycznego państwa. A polityczne nastroje w Polsce zmieniają się coraz częściej i bez specjalnie widocznego powodu. Przez pierwsze 100 dni Nawrocki nie popełnił – w swojej strategii i dla swojej publiczności – znaczącego błędu. Wszystko przed nim.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl 796dd59b18

Sojowe dzieci



Sposób odżywiania stał się polem ideologicznego konfliktu. Kotlet schabowy jest traktowany jako symbol konserwatywnej tożsamości, wegan zaś oskarża się o lewactwo. Jak to jest zatem z dzisiejszymi normami żywienia?

PAWEŁ WALEWSKI

W Polsce nawet jedzenie jest wykorzystywane w sporach politycznych. To, co niedawno wydawało się kwestią gustu, zdrowia albo sumienia, dziś służy do wyznaczania linii frontu. Kiedyś wystarczyło powiedzieć, że nie jesz mięsa, by usłyszeć pytanie: „A dlaczego?". Dziś coraz częściej: „Za kim jesteś?". Kotlet schabowy, niedzielny symbol rodzinnego kompromisu, stał się znakiem sprzeciwu wobec lewackiej ideologii, a tofu manifestem tożsamościowym. W polskim wydaniu wojny kulturowej nawet talerz jest deklaracją polityczną. Prawica z PiS-em i Konfederacją na czele oskarża wegetarian o importowaną lewacką ideologię, progresywizm i dyktat Brukseli. W mięsie odnalazła ostatni bastion tradycji.

Podobnie zresztą jak niektórzy tzw. eksperci, przywiązani do tradycyjnego talerza z lat powojennych, uznający przemysł spożywczy za trucicieli i spiskowców, którzy pod płaszczykiem

eprasa.pl 796dd59b18

zdrowych zamienników wciskają nam genetycznie modyfikowaną soję (tę samą, co rzekomo sieje depresję, autyzm i Hashimoto); bo czemuż by nie, skoro nawet margaryna to ich rakotwórczy majstersztyk, a nie po prostu tanie smarowidło do pieczywa? Taki pogląd wyraziła niedawno prof. Grażyna Cichosz na kanale YouTube Bogdana Rymanowskiego i słusznie oboje doczekali się publicznego potępienia.

W tym narracyjnym worku wszystko się mieści: Unia, rowerzyści, odnawialne źródła energii – choć zaczęło się od prostego pytania: co na obiad? Dariusz Matecki, Patryk Jaki czy Łukasz Mejza obnoszą się z mięsożernością jak z orderem za odwagę, z dumą pozując do zdjęć ze stekami, kotletami i kiełbasą, jakby to były insygnia patriotyzmu. Gdy Rafał Trzaskowski podpisał proekologiczne postulaty C40 Cities, w sieci rozpętała się mięsna krucjata: selfie z golonką, hasła o „robakach na talerzu" i zapewnienia, że nikt w Polsce nie da sobie odebrać schabu. Całość wyglądała groteskowo – jakby obrona białka zwierzęcego stała się nową formą walki z Brukselą.

Ale politycznie działała: w świadomości wyborców prawej strony utrwaliło się przekonanie, że liberałowie i lewica zamierzają karmić naród świerszczami. Trop jest prosty: wszystko, co zielone i eko, pachnie elitą. Stąd kolejne linie podziału – nie tylko ideowe, ale też klasowe. Bo wegetarianizm to „lajfstajl dla bogatych", forma pogardy wobec „zwykłych ludzi", którzy nie mają czasu ani pieniędzy na humus. W tym schemacie marchewka stała się symbolem oderwania od rzeczywistości, a karkówka – twardego, prawdziwego życia.

Ale po drugiej stronie też nie brak tożsamościowych uniesień. W środowiskach lewicowych weganizm bywa przedstawiany jako moralny imperatyw i element szerszej walki o równość. W efekcie obie strony sporu – mięsożerni obrońcy tradycji i roślinni reformatorzy – utknęły w ideologicznym sporze. Każdy gest przy stole staje się znakiem plemiennym, każda decyzja kulinarna – politycznym komunikatem.

Podczas gdy dorośli toczą mięsne krucjaty i obrzucają się kotletami w mediach społecznościowych, ich spory nie pozostają bez echa w szkolnych stołówkach. Bo tej talerzowej batalii przysłuchują się także najmłodsi, dla których wybór między parówką a sałatką stał się nie tylko kwestią smaku, lecz także manifestem światopoglądowym – i to właśnie młodym wegetarianizmem, dzielącym rodziny oraz nauczycieli, zajmiemy się teraz. Modna dzisiaj asceza stołówkowa nie wynika z kulinarnych gustów, lecz wartości: ekologii, ochrony zwierząt oraz dbałości o harmonię.

Tylko czy pokolenie TikToka faktycznie wie lepiej, co jest dla niego zdrowe – a zwłaszcza co jest etyczne? Do niedawna wegetarianizm wśród dzieci był egzotyką. Dietetycy przestrzegali przed anemią, szkoły odmawiały serwowania bezmięsnych obiadów, a babcie w najlepszej wierze przemycały mięso w pierogach. Dziś nawet weganie w podstawówce nikogo już nie szokują. Według różnych sondaży nawet 10–12 proc. nastolatków w Polsce deklaruje, że nie je mięsa ani ryb, a na diecie wegańskiej (która obok produktów pochodzenia zwierzęcego wyklucza również nabiał i jajka) może być 5–6 proc. Małe rewolucjonistki i rewolucjoniści w domowych pieleszach gotowi są zadeklarować moralną wyższość nad obiadem babci i, co najgorsze, w tym starciu mięsożerni muszą ustąpić.

W kraju wciąż głęboko zanurzonym w tradycji kotleta ten trend jest niczym nagły powiew mody na jogę. Przestańmy się oszukiwać: to nie są już tylko dzieci wychowane w „eko" domach. To coraz częściej nastolatkowie (a czasem i dziewięciolatkowie!), którzy postanowili ocalić planetę, zaczynając od talerza. Ta decyzja, z reguły szlachetna i podszyta młodzieńczym idealizmem niezabijania zwierząt, zmusza dziadków, którzy przeżyli PRL na smalcu, do wysłuchiwania tyrad swoich wnucząt, że jedzenie mięsa to moralny błąd i w ogóle „barbarzyństwo". Rodzice, którzy ledwo ogarniają logistykę rozwożenia dzieci na karate i angielski, muszą nagle zagłębiać się w tajniki suplementacji witaminą B_{12}, żelazem i kwasami omega-3.

Stajemy przed nowym dylematem wychowawczym, który bynajmniej nie dotyczy pory powrotu do domu, lecz prawidłowego rozwoju i kondycji fizycznej (a także, o czym za chwilę, psychicznej). Aby osądzić ten trend, konieczna jest rzetelna analiza, w której ideologia zderzy się z twardą biochemią.

Ideowo czy planowo

Aby zrozumieć skalę zmiany, wystarczy cofnąć się o ćwierć wieku. Kiedy dr Hanna Stolińska, dietetyczka kliniczna i weganka, jako trzynastolatka w 2000 r. postanowiła porzucić mięso, świat wokół niej nie był gotowy na taką rewolucję. – *Nie lubiłam smaku mięsa, więc wykrawałam z kotleta wszystko, co się dało* – wspomina z uśmiechem, jakby opowiadała o nastoletniej rebelii przeciwko schabowemu. Polska przełomu wieków nie była rajem dla wegetarian. W sklepach królowały suche kotlety sojowe i pasztet koperkowy, a napoje sojowe trzeba było przywozić z Berlina. – *Pisałam do firm, pytając, dlaczego nie ma u nas jogurtów dla wegan. Odpisywali, że nie ma popytu* – wspomina. W szkole była ewenementem, obiektem żartów o „króliku jedzącym marchewkę". Na weselach wyśmiewano ją za talerz pełen ziemniaków. A jednak przetrwała – i to bez głodowej śmierci, o którą podejrzewano wegetarian w tamtych czasach.

Takich jak ona traktowano jak ryzykowny eksperyment wychowawczy. Lekarze i dietetycy powtarzali jak mantrę, że dieta bez mięsa to prosta droga do niedoborów białka i witamin, a w skrajnych przypadkach – do poważnych problemów zdrowotnych. Dziś coraz częściej to już świadomy wybór stylu życia. W mediach społecznościowych dominuje nuta otwartości na rośliny, alternatywne źródła białka, burgerów z warzyw i milczącego protestu przeciwko mięsu. Jednak – i to jest pierwsze ostrzeżenie – moda nie równa się wiedzy. Dieta bezmięsna wśród dzieci to nie tylko talerz humusu i kotlet z soczewicy. To konieczność świadomego planowania, suplementacji, właściwej edukacji żywieniowej. W gabinetach dietetyków coraz częściej widać młodych pacjentów z przekonaniem: „Jestem wege, bo tak chcę", ale z niewiedzą: „A co dalej?". Tu rodzi się skok z mody w problem.

– *Bo wegetarianizm z TikToka nie zastąpi planu żywieniowego* – ostrzega dr Stolińska, która widzi w swoim gabinecie dwa typy małych roślinożerców. Pierwszy to ci świadomi: wiedzą, że białko jest w soczewicy, że żelazo z roślin strączkowych i zbóż gorzej się wchłania, więc by temu zaradzić, trzeba je łączyć z produktami bogatymi w witaminę C. A także, że witamina B_{12} nie rośnie na drzewach. Drugi – znacznie liczniejszy – to dzieci, które pod wpływem rówieśników po prostu nie chcą jeść mięsa i kropka, ale jedzą codziennie kajzerkę z parówką sojową, paczkę chipsów i czują się dumne, że są „wege". – *Mówię im wtedy: nie rób mi złej reklamy! Jeśli będziesz szara i zmęczona, nie będziesz rosła, wszyscy powiedzą, że to przez dietę bez mięsa. A to nie dieta winna, tylko brak rozsądku* – opowiada. Dobrze zaplanowana dieta wegetariańska lub wegańska jest bezpieczna. Ale „bez mięsa" nie ▶

© ADOBE AI

eprasa.pl 796dd59b18

▶ znaczy „bez myślenia", bo musi być również urozmaicona. Parówki z soi nie mogą być podstawą tej diety nie dlatego, że wedle fałszywych poglądów soja jest niezdrowa i uszkadza jelita, ale takie proste danie nie dostarczy wielu składników odżywczych, więc nie trzeba go jeść rano, w południe i wieczorem. A mitów na temat soi jest wciąż mnóstwo, czego przykładem był wspomniany wywiad Grażyny Cichosz u Bogdana Rymanowskiego, który odbił się szerokim echem, bo emerytowana technolog żywności oskarżyła w nim soję, wbrew badaniom naukowym, nawet o wywoływanie chorób psychicznych.

Jest jeszcze trzecia grupa w gabinetach dietetyków – nastolatki z niemal uniwersytecką wiedzą (z internetu) na temat norm żywienia, zamienników i „trzymania wagi". – *Zapala mi się czerwona lampka, czy nie mamy tu do czynienia z początkiem zaburzeń odżywiania* – zaznacza dr Stolińska. Sposób, w jaki dziecko rozmawia o jedzeniu, może być kluczowym sygnałem. Jeśli dziecko wykazuje lęk przed jedzeniem określonych produktów, unika całych grup spożywczych, takich jak kasze, makarony czy oleje, i stanowczo odrzuca propozycje włączenia ich do diety, może to wskazywać na początki anoreksji lub bulimii. – *Jeżeli widzę, że ktoś na siłę eliminuje produkty bogate w energię, jak orzechy czy oleje, i mówi: „Ja tego nie chcę", to jest to wyraźny znak ostrzegawczy* – podkreśla dietetyczka.



Zaburzenia odżywiania często manifestują się w postaci nadmiernej koncentracji na „bezpiecznych" produktach, które są niskokaloryczne i pozwalają na utrzymanie lub obniżenie wagi. Dlatego dzieci z zaburzeniami chcą jeść same warzywa, bo to daje im poczucie kontroli nad ciałem. W takich przypadkach otwartość na wprowadzenie zaleceń dietetycznych jest kluczowa. Jeśli będą chętnie przyjmować sugestie, np. dodania do diety kasz lub orzechów, i wdrażać je na kolejnych wizytach, zazwyczaj nie ma powodu do niepokoju. Jednak gdy nastolatek uporczywie odmawia, a rozmowy o jedzeniu budzą w nim lęk lub opór, może to być sygnał, że problem jest poważniejszy.

Powszednia kasza, weekendowy klops

W domu 18-letniej Laury mięsa nie jedzą dwie osoby: ona i starsza o dwa lata siostra. Rodzice pozostali przy mięsie, zwłaszcza tata ma pretensje do córek, że przeszły na wegetarianizm. A zrobiły to już sześć lat temu. Dziś same przygotowują sobie jedzenie, ale wtedy musiała to robić dla nich mama i nierzadko dostawały do szkoły kanapkę z wędliną. Oddawały ją kolegom. Ale już gdy na obiad w szkole było mięso, Laura jadła samą zupę lub tylko ziemniaki. Rodzice uznali, że wizyta u dietetyka jest konieczna, by córki zrozumiały, że nie mogą odżywiać się byle czym – podczas wizyty dostały, jak mówi dziś Laura, „ciekawe przepisy", choć idąc na to spotkanie, dziewczynki zdobyły wcześniej wiedzę z sieci. – *Wyszukałam sama, jakie produkty roślinne miały białko, skąd czerpać żelazo. Dziś to żaden problem wykorzystywać w kuchni soję i inne artykuły pochodzenia roślinnego* – tłumaczy. Nastolatki posiłki w domu przygotowują sobie same. No, chyba że mama zrobi leniwe – taki obiad jest dla wszystkich, bo przecież Laura z siostrą uważają się za wegetarianki, a nie weganki (obie wystrzegają się mięsa z powodów etycznych), więc jajka i nabiał mogą znaleźć się na talerzu.

Czy to powszechny kompromis, żeby nie kłócić się przy stole? Gdy naukowcy i lekarze mówią o bilansie, uzupełnianiu niedoborów białka zwierzęcego alternatywami roślinnymi, a następnie wydają zalecenia, by przynajmniej raz w roku sprawdzać dzieciom wege poziom witaminy B_{12} i żelaza, rodzice na co dzień mierzą się z chaosem, brakiem czasu i, co najgorsze, przyzwyczajeniami najstarszego pokolenia. Joanna Średnicka, wegetarianka i matka siedmioletnich bliźniaków, które prawie nie jedzą mięsa, szczerze przyznaje, że jej rodzinna wersja wegetarianizmu jest kompromisowa. Powód jest prozaiczny: oboje z mężem pracują, a dzieci często spędzają czas z dziadkami, co ogranicza jej przestrzeń do ścisłej kontroli.

W ich przypadku kompromis polega na tym, że dzieci raz na tydzień jedzą rybę z rodzicami oraz mięso podawane przez babcię. I tu dochodzimy do sedna konfliktu pokoleń. Mama Joanny, z wykształcenia farmaceutka, stawiała na pierwszym miejscu wartości odżywcze i robiła wykłady o braku białka. Joanna wynegocjowała *modus vivendi*: „Jak chcesz, żeby dzieci jadły mięso, to musisz im robić te kotlety, bo ja tego nie będę gotować".

Joanna traktuje pulpety babci – które zresztą są *fusion* klopsikami w stylu włoskim – trochę jak lekarstwo, by dostarczyć dzieciom białka, którego odmawiają sobie w roślinnych źródłach, takich jak soczewica. To klasyczny polski układ: babcia jako strażniczka białka, mama jako ambasadorka ciecierzycy. Pani Joanna zresztą nie ma złudzeń – przy dwójce pracujących rodziców i dzieciach w wieku szkolnym utrzymanie w pełni roślinnej diety to „heroizm logistyczny". – *Trzeba planować, gotować, przekonywać, że tofu też ma smak. Ja nie zawsze mam na to siłę. Więc mamy ryby i jajka, trochę dla świętego spokoju, ale też by nie paść z wyczerpania* – żartuje.

Ta codzienność to nie wyjątek, lecz reguła. Większość rodzin, które deklarują wegetarianizm dzieci, stosuje wersję kompromisową – coś między ideałem a praktyką. W tygodniu kasza, w weekend mięsne gołąbki u babci. Bo nie każdy ma czas namaczać strączki przez noc, a w wiejskim sklepie najbliższe tofu leży trzy powiaty dalej.

Od anemii do depresji

Szkoła też nie ułatwia. O ile w Warszawie lub Krakowie w menu pojawiają się dania roślinne, o tyle w mniejszych miejscowościach wegetariański obiad oznacza po prostu „bez kotleta". Często kończy się na makaronie z sosem pomidorowym – bez białka, bez sensu. – *Tu wciąż dominuje myślenie, że mięso to norma, a reszta to fanaberia* – podsumowuje dr Stolińska.

Ale coś się zmienia. Coraz więcej szkół zamawia konsultacje dietetyczne, pojawiają się jadłospisy roślinne, a rodzice przestają się bać, że bez schabowego dziecko nie wyrośnie.

Tylko co na to ci, którzy zamiast o etyce zwierząt uczą o zapotrzebowaniu na mikroelementy? Czy pediatrzy klaszczą z entuzjazmem na widok małych wegan, czy może kręcą głowami, przeliczając w myślach dawki witaminy B_{12}? Dr Anna Liber, kierownik Zakładu Żywienia w Instytucie Matki i Dziecka, przyznaje,

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 796dd59b18

że eksperci stali się mniej kategoryczni w osądach niż w czasach, gdy mięso uchodziło za Świętego Graala diety. Ale nie rozdaje młodocianym wegetarianom orderów. – *Zdrowa, zbilansowana dieta, która zapewnia prawidłowe wzrastanie i rozwój, powinna opierać się na produktach pochodzenia zwierzęcego i roślinnego. Obie grupy mają unikatowe wartości odżywcze* – podkreśla.

Mięso dostarcza pełnowartościowego białka, łatwo przyswajalnego żelaza oraz witamin, w tym bardzo ważnej B_{12}, której niedobory na wczesnym etapie są często niewyczuwalne. A żelazo i witamina B_{12} są kluczowe nie tylko dla tworzenia prawidłowo funkcjonujących krwinek czerwonych, ale także niezbędne w rozwoju układu nerwowego. Ich brak w diecie może prowadzić do niedokrwistości (anemii), osłabienia, zaburzeń koncentracji i pamięci, w niektórych przypadkach nawet do objawów depresji – na którą w dzisiejszych czasach trzeba być szczególnie wyczulonym w młodym pokoleniu. Za to warzywa, w tym rośliny strączkowe, oraz owoce i pełnoziarniste zboża, są bogate w błonnik, mikroelementy oraz przeciwutleniacze (antyoksydanty). – *Możemy zbilansować białko roślinne, łącząc rośliny strączkowe z ziarnami, ale to wymaga umiejętności. A dzieci, cóż, nie są fanami fasoli i ciemnego pełnoziarnistego pieczywa* – dodaje dr Liber, wskazując na praktyczne wyzwania, które zamieniają teorię w rodzicielski trud, bo zastąpienie mięsa roślinami strączkowymi jest w dobrze zbilansowanych potrawach po prostu bardziej pracochłonne.



Pułapki wege

Młodzi wegetarianie, pełni idealistycznych pobudek, a nierzadko również ich rodzice, często nie zdają sobie sprawy, jak precyzyjnie trzeba skomponować dietę, by dziecko prawidłowo się rozwijało. – *Towarzystwa naukowe zajmujące się żywieniem dzieci zalecają, by decydując się na diety wegańskie, były pod opieką zarówno lekarza, jak i dietetyka* – podkreśla dr Liber, akcentując potrzebę regularnego monitorowania gospodarki żelaza, witamin D oraz B_{12}, ale też jej metabolitów, jak homocysteiny i kwasu metylomalonowego.

Problem w tym, że porada dietetyczna nie jest finansowana przez NFZ, więc lekarz rodzinny wystawi skierowanie na morfologię i sprawdzi inne parametry, ale kompetencji do układania zdrowego jadłospisu zazwyczaj nie ma i na konsultację dietetyczną trzeba pójść prywatnie.

Wegańskie diety, choć teoretycznie możliwe do zbilansowania, w praktyce często zawodzą, bo dzieci wybrzydzają, a rodzice nie zawsze mają wiedzę, jak zastąpić mięso pełnowartościowymi alternatywami. To ma nie być tylko zabawa w gotowanie, nawet z najlepszą książką kucharską dla wegan w ręku! – *Możemy zaproponować posiłki, które dostarczą wszystkie składniki odżywcze, ale co z tego, skoro potem jest problem z przekonaniem dziecka do ich spożywania?* – pyta retorycznie nasza ekspertka.

Nie tylko witaminy spędzają sen z powiek specjalistom. Cztery lata temu w renomowanym czasopiśmie „American Journal of Clinical Nutrition" opublikowano wyniki bardzo ważnych badań prowadzonych w Klinice Pediatrii Instytutu Centrum Zdrowia Dziecka przy współpracy z University College w Londynie, które po raz pierwszy – i jak dotąd jedyny – rzuciły szerszy snop światła na zdrowie wegańskich i wegetariańskich dzieci. Okazało się, że te wegańskie były średnio o 3 cm niższe (średnia nie oznacza, że każdy weganin jest niższy!) oraz miały mniejszą gęstość mineralną kości. Nie, nie wyglądały jak anemiczni ascetyczni mnisi – po prostu ich szkielet miał nieco mniej minerałów (o 4–6 proc.), co zdaniem specjalistów może za jakiś czas wyrównać się z wiekiem.

Pierwsza autorka tych badań, dr Małgorzata Desmond (specjalistka medycyny żywienia, sama zresztą zdeklarowana weganka), nie ukrywała jednak: „To czerwona flaga w kontekście ryzyka złamań w dorosłym życiu, choć długoterminowe skutki nie są jeszcze jasne". Z drugiej strony mali weganie mieli niższą zawartość tkanki tłuszczowej, lepszy profil lipidowy i mniej markerów stanu zapalnego, a to dobrze rokuje w kontekście współczesnej epidemii otyłości i chorób układu krążenia.

Zaskoczenie przyszło z innej strony. Dzieci wegetariańskie – nie wegańskie – miały często gorsze wyniki metaboliczne niż te jedzące wszystko. Winny był chaos na talerzu: frytki, bułka, trochę surówki i brak białka. Badania pokazały też, że dzieci wychowane od małego na dietach roślinnych zwykle jedzą znacznie zdrowiej niż ich rówieśnicy. Dla nich ciecierzyca to nie kara, tylko obiad. Gorzej z nastolatkami, którzy z dnia na dzień porzucają mięso z pobudek ideowych, a potem przez pół dnia żywią się chipsami.

Przy jednym stole

Czy mięso jest więc niezbędne w wieku rozwojowym? Polscy eksperci, wsparci stanowiskiem Europejskiego Towarzystwa Gastroenterologii, Hepatologii i Żywienia Dzieci, odpowiadają z naukowym spokojem: nie jest. Ale jego eliminacja wymaga dyscypliny. W przeciwnym razie moda może skończyć się niedożywieniem w wersji ekologicznej. – *Wzrost i rozwój muszą być monitorowane, a niedobory wykluczone* – cytuje dr Liber europejskie wytyczne z tego roku. To nie jest czerwone ani zielone światło dla rodziców z wegańską misją, lecz raczej żółte, migające ostrzegawczo.

Do tego dochodzi problem wegetariańskiej żywności przetworzonej, jak wegekabanosy lub burgery. – *Często mają wydłużony skład tylko po to, aby upodobnić się pod względem smaku i konsystencji do mięsnego wzorca, bez istotnych wartości odżywczych* – zauważa dr Liber, wskazując na pułapkę pozornego zdrowia w ładnym opakowaniu z logo wege. Z tymi fast foodami jest więc ten sam problem co z żywnością wysokoprzetworzoną dla mięsożerców – bez czytania etykiet i wybierania rzeczywiście wartościowych produktów można łatwo nasycić się samą chemią.

W ostatnich latach w Polsce zdarzały się też przypadki rodziców, którzy zbyt rygorystycznie wprowadzali dzieci w dietę wegańską, a nawet tylko frutariańską (opartą wyłącznie na owocach i surowiznach) bez suplementacji i wiedzy, za co odpowiadali przed sądem. To przestroga, że ideologia bez rozsądku może być równie niebezpieczna jak nadmiar mięsa. Bo w końcu nie chodzi o to, co dziecko ma na talerzu, tylko czy rozumie dlaczego. Jeśli wegetarianizm staje się formą rozmowy o świecie, empatii, ekologii – to pięknie. I że kompromis też może być zdrowy – zwłaszcza ten, kiedy przy jednym stole spotykają się babcia z klopsikiem i wnuczka z tofu.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 796dd59b18

W blasku laski

RAFAŁ KALUKIN





Czas na marszałkowską rotację. Zgodnie z umową Szymon Hołownia ustępuje ze stanowiska marszałka Sejmu, żeby zrobić miejsce Włodzimierzowi Czarzastemu. Do jakich tradycji nawiąże lewicowy polityk i czego się po nim należy spodziewać?

Niby to tylko przesunięcie w obrębie rządzącej koalicji, bez istotnych skutków politycznych. Ale dla kultury parlamentarnej może to być zmiana znacząca, gdyż obaj politycy różnią się stylem, temperamentami, życiowymi doświadczeniami, osobistymi aspiracjami, a przede wszystkim podejściem do polityki. Po miękkim indywidualiście przychodzi fachowiec od twardej gry zespołowej.

Czarzasty będzie osiemnastym marszałkiem w III RP. I zarazem czwartym wywodzącym się z eseldowskiej lewicy, po Józefie Oleksym, Marku Borowskim i Włodzimierzu Cimoszewiczu. Tyle że tamci byli wielkimi figurami w swoim obozie, a Czarzasty to ledwie epigon formacji postkomunistycznej, dzisiaj będącej już zjawiskiem głównie historycznym. Nawet jeśli to jej kadry nadal decydują o możliwościach dzisiejszej Lewicy.

Skądinąd ograniczonych, co jest kolejnym ewenementem towarzyszącym przekazaniu laski marszałkowskiej. Do tej pory dzierżyli ją politycy reprezentujący najsilniejszą sejmową frakcję, czasem drugą w kolejności. Ale żeby na czele Sejmu stanął polityk z ugrupowania, które nie przekroczyło 10 proc. poparcia? Tak było jedynie w skrajnie rozdrobnionym Sejmie pierwszej kadencji (1991–93).

A do tego sam Czarzasty z najwyższym trudem zdobył poselski mandat. Jego biografię trudno uznać za spiżową, przez lata był nawet szwarccharakterem polskiej polityki. W schyłkowym PRL działacz aparatu młodzieżowego, potem uwłaszczony na majątku PZPR biznesmen, wreszcie partyjny macher od mediów. Cała Polska poznała go w aferze Rywina, której był jednym z bohaterów. I chociaż nikt go nie złapał za rękę, jego buta i cynizm demonstrowane w trakcie przesłuchań przed komisją śledczą szokowały opinię publiczną i przyłożyły się do klęski SLD. Ale po dwóch dekadach mozolnego zacierania przewin w jakimś sensie dostępuje teraz oczyszczenia.

„Jestem marszałkiem z przypadku, ale człowiekiem dialogu z wyboru” – mówił o sobie Mikołaj Kozakiewicz, którego w 1989 r. historia uczyniła ojcem parlamentaryzmu w odrodzonej Polsce. Chociaż sam pochodził z międzyepoki. Był nobliwym profesorem od spraw rodziny i wychowania, który nie zajmował państwowych stanowisk w PRL, ale trochę się politycznie udzielał w oficjalnych instytucjach po stanie wojennym. Nie po to jednak, żeby klaskać, bo głównie krytykował. Oczywiście w wyznaczonych przez system granicach.

Ale to wystarczyło, żeby przeżyć jatkę, jaką tzw. liście krajowej urządzili Polacy w wyborach 4 czerwca 1989 r. Znaleźli się tam głównie partyjni kacykowie, których powszechnie skreślano.

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 796dd59b18

Wciśnięty pomiędzy nich Kozakiewicz jakimś cudem ocalał, stając się naturalnym kandydatem na marszałka. Bo stary reżim ciągle jeszcze miał większość w Sejmie kontraktowym, chociaż dziejowe wiatry wiały już w przeciwną stronę. Jako kandydat satelickiego ZSL tym bardziej był do strawienia, a przy okazji tradycji stało się zadość, bo przez większość PRL to właśnie ludowcy mieli nieoficjalny parytet na to stanowisko.

Chociaż prawdę mówiąc, Kozakiewiczowi trochę brakowało kwalifikacji. Był roztargniony, gubił się w procedurach. Tyle że wtedy bardziej liczyła się jego ogólna postawa. „Chcę być marszałkiem całego Sejmu, a nie jakiejkolwiek jego części" – oświadczył w inauguracyjnej mowie, rozwijając dalej credo: „Marszałek Sejmu musi być arbitrem, a nie zawodnikiem; ma pilnować, aby walka była fair, zgodna z regułami, ale sam nie powinien walczyć, a w żadnym wypadku nie ma prawa korzystać z przyznanej mu władzy dla forsowania jednych, a blokowania innych rozwiązań".

I trzymał się tego. Jego bezstronność była radykalna: nie zajmował politycznego stanowiska, nie brał udziału w dyskusjach. Jego koncyliacyjna postawa była na wagę złota, sprzyjając przeprowadzaniu zasadniczych zmian ustrojowych i gospodarczych. Zdystansowany i zawsze pogodny Kozakiewicz umiał rozbroić każdy konflikt.

Marszałka dialogu zastąpił marszałek procedur. Wybrany w 1991 r. Wiesław Chrzanowski był rówieśnikiem Kozakiewicza, ale biografię miał zupełnie inną. Przedwojenny działacz ruchu narodowego, żołnierz AK i powstaniec warszawski, więzień stalinizmu. Większość PRL spędził na emigracji wewnętrznej, nie zawierając kompromisów. Co uczyniło go po latach jednym z patriarchów solidarnościowej Polski. Jego autorytet był potężny nawet w oczach ideowych przeciwników profesora, który odmówił udziału w rozmowach Okrągłego Stołu i jesienią 1989 r. powołał do życia mocno prawicowe ZChN.

Ale przede wszystkim Chrzanowski był prawnikiem, co miało kluczowe znaczenie, bo skupił się na procedurach, których empatyczny poprzednik za bardzo nie czuł. To był pierwszy w pełni demokratyczny Sejm. Podzielony na kilkanaście zwalczających się stronnictw i chaotyczny jak żaden kolejny. I trzeba było kogoś takiego jak Chrzanowski, żeby nad bałaganem zapanować. Marszałek gwarantował niezwykłą w tak rozwichrzonych realiach kulturę obrad. Trzymał się paragrafów, zachowując idealną bezstronność. Do tego stopnia, że na koniec kadencji udała się do niego delegacja postkomunistycznej SdRP, żeby złożyć hołd staremu endekowi.

Ironią losu Chrzanowski padł ofiarą swoich. W końcu to jego podwładny Antoni Macierewicz umieścił nazwisko marszałka na liście domniemanych agentów SB, tuż obok Lecha Wałęsy. Za podpis wymuszony torturami w stalinowskim śledztwie...

To były złote czasy polskiego parlamentaryzmu. Aż do połowy kolejnej dekady Sejm stanowił centrum życia politycznego, w którym odbywały się autentyczne i przykuwające powszechną uwagę debaty. Jeszcze bez odciągającej uwagę medialnej gorączki, presji tabloidów, ogłupiających partyjnych narracji i powielających je internetowych plemion. Nad standardem debaty czuwali kolejni marszałkowie.

Najpierw Józef Oleksy, który zresztą jako jedyny pełnił tę funkcję dwukrotnie (1993–95 i 2004–05). Nad wyraz sprawny, ogarniał procedury. Co bardzo się przydawało, kiedy przychodziło mu odpowiadać na łamigłówki prawne Lecha Falandysza, za pomocą których Wałęsa próbował zdominować parlament. Zarazem nie brakowało Oleksemu swady, w swoim ironicznym podejściu bywał wręcz ujmujący.

Uwielbiał swoją funkcję, towarzyszącą jej celebrę, monstrualny gabinet. Do tego stopnia, że z trudem dał się w 1995 r. przekonać do przesiadki na dające realną władzę stanowisko premiera. Czego zresztą zapewne żałował, kiedy znalazł się na widelcu jako ofiara sprawy Olina. Ale to właśnie w czasach Oleksego partie zorientowały się, jak można wykorzystać marszałkowanie do zbudowania pozycji politycznej. Bo laska jest źródłem powagi i dostojeństwa, a do tego trudno się na tym stanowisku skompromitować.

A jeszcze lepiej potwierdziło się w przypadku Józefa Zycha. Kostycznego radcy prawnego, który okazał się całkowicie bezobjawowy w swoich poglądach. Przypisywano to rzekomej wierności etosowi marszałka, windując ludowca o dostojnym obliczu na szczyt rankingów zaufania. Chociaż tak naprawdę tylko sprawiał wrażenie męża stanu, bo kiedy zrzucił już gorset, okazało się, że po prostu jest politykiem z natury bezpłciowym.

Podobnie było z Maciejem Płażyńskim, który dzierżył marszałkowską laskę w kadencji 1997–2001. Obejmując stanowisko, nie miał jeszcze czterdziestki, ale wyglądał na starszego. Posiadał dobry solidarnościowy życiorys, chociaż bardziej nadawał się na urzędnika, niż był rasowym politykiem. Co gorsza, debiutował na Wiejskiej i na rozbiegu co rusz się gubił w procedurach. Swoją bezradność tuszując zarządzaniem ciągłych przerw, przez co nabawił się przydomku Maciej Przerwa-Płażyński. Ale nabrał doświadczenia i okazał się sprawnym marszałkiem.

W trudnych realiach, bo reprezentował wyjątkowo niespójny obóz AWS, z niebywałymi jak na dzisiejsze standardy reformatorskimi ambicjami. Płażyński nie ulegał jednak pokusom dopychania ich kolanem, chociaż za jego kadencji pozycja marszałka uległa formalnemu wzmocnieniu. Ale wzorzec bezstronności nadal się utrzymywał i ogólnie mało wyrazisty polityk stopniowo nabierał formatu. Bez zbudowanego wtedy autorytetu pewnie nie byłoby sukcesu Platformy Obywatelskiej, której Płażyński był jednym z „tenorów".

A potem nadeszła epoka populizmów, krok po kroku niwecząc pierwotne standardy. Najpierw był to populizm plebejski w wydaniu Samoobrony. „Wersal się skończył" – oświadczył w 2001 r. Andrzej Lepper, dając sygnał do anarchizacji Sejmu. Nastał czas igrzysk, awantur, blokad mównicy. Z takim wyzwaniem przyszło się zmierzyć marszałkowi Markowi Borowskiemu z SLD. I stanął na wysokości zadania, okazując w kluczowych momentach zdecydowanie i odwagę.

Potrafił utrzymać kulturę dialogu ponad zaostrzającym się podziałem. Po aferze Rywina nie blokował powołania komisji śledczej, chociaż miał taką możliwość. Inna sprawa, że na kryzysie własnego obozu sam też próbował się politycznie zbudować, prowokując rozłam w SLD, co kosztowało go utratę laski marszałkowskiej. Potem przechodziła ona w ręce Oleksego oraz Włodzimierza Cimoszewicza. Ten ostatni był pierwszym marszałkiem, który chciał wykorzystać stanowisko drugiej osoby w państwie do wspięcia się o szczebel wyżej. Chociaż na razie bez powodzenia.

Kolejną zmianę przyniosła zrodzona po wyborach 2005 r. polaryzacja PO-PiS. To właśnie wtedy już na całego nastąpiło ▶

eprasa.pl 796dd59b18

▶ przejście od modelu konsensualnego do antagonistycznego. Partie zaczęły się zbroić, siłę argumentu zastępował argument siły, drapieżna egzekutywa zdominowała legislację. Odtąd marszałkowie przestali być strażnikami dialogu, wchodząc w buty partyjnych namiestników.

Pierwszym z nich był Marek Jurek z PiS, który na rozkaz Jarosława Kaczyńskiego ostentacyjnie manipulował konstytucyjnymi terminami przy uchwalaniu budżetu, żeby otworzyć pole do skrócenia parlamentu. Z czego bracia Kaczyńscy ostatecznie nie skorzystali, niemniej precedens został stworzony. Tym samym Jurek wyrzucił na śmietnik tradycję swojego dawnego mentora Wiesława Chrzanowskiego. I nie był też marszałkiem bezstronnym, bo nieco później stanął na czele nieudanej inicjatywy wpisania do konstytucji całkowitego zakazu aborcji. Za co zresztą zapłacił stanowiskiem.

A zastąpił go Ludwik Dorn, który przesunął kolejną granicę, wykorzystując laskę do zablokowania komisji śledczej w sprawie afery gruntowej. Kiedy opozycja odpowiedziała wnioskiem o odwołanie samego Dorna, nie pozwolił głosować nawet w swojej sprawie. I jeszcze po latach z właściwym sobie tupetem podkreślał: „Taka postawa jest kamyczkiem do pomnika mojej chwały nie tylko jako stróża interesów PiS (choć byłem czujnym stróżem), ale także demokracji i Rzeczpospolitej".

Chociaż trzeba Dornowi oddać sprawiedliwość, że znakomicie prowadził obrady. Pacyfikując coraz liczniejszych sejmowych pyskaczy, ale zarazem umiał znaleźć granicę pomiędzy wolnością wypowiedzi i anarchią. Sam bywał zresztą cięty i złośliwy. Był marszałkiem epizodycznym, ale do czasów Hołowni niewątpliwie najbarwniejszym.

Z marszałka na prezydenta, czyli wielki lot Bronisława Komorowskiego. Stanął na czele izby po zwycięstwie PO w 2007 r. Był już marszałkiem czasów polaryzacji, który sam prowokował niekiedy konflikty. Zaczął od próby usunięcia kilku posłów PiS na podstawie naciąganych argumentów, m.in. dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego Jana Ołdakowskiego za łączenie tej funkcji z mandatem poselskim. Chociaż akurat jako prowadzący obrady umiał zachować bezstronność.

Po katastrofie smoleńskiej historia postawiła Komorowskiego w trzech rolach jednocześnie: marszałka Sejmu, p.o. prezydenta RP oraz kandydata na prezydenta. I sprostał wyzwaniu, zarządzając sukcesją władzy, chociaż już wtedy wyszły na jaw jego emocjonalne deficyty. W specjalnym orędziu do narodu nie potrafił znaleźć dostatecznie empatycznych tonów, co na razie jeszcze nie przeszkodziło mu jednak wygrać wyborów prezydenckich. Katastrofa nadeszła dopiero pięć lat później.

Po Komorowskim Platforma miała jeszcze czworo marszałków: Grzegorza Schetynę, Ewę Kopacz, Radosława Sikorskiego i Małgorzatę Kidawę-Błońską. Najlepiej zaprezentował się pierwszy z nich; może niezbyt dystyngowany, ale sprawny administrator. Schetyna był zarazem drugim w III RP marszałkiem, któremu przyszło pełnić obowiązki prezydenta. Miało to miejsce latem 2010 r. pomiędzy wyborem Komorowskiego i jego zaprzysiężeniem.

Mrok nastał po wygranej PiS w 2015 r. Kiedy marszałkiem został Marek Kuchciński, dawne zagrywki Jurka i Dorna mogły się wydawać igraszką. Oficjalnie marszałek, ale tak naprawdę brutalny ekonom. Kierował legislacyjnym ekspresem, dopychając najbardziej wątpliwe ustawy. Często w trakcie nagle zwoływanych nocnych posiedzeń, z absurdalnie ograniczonym czasem na debatę, a niekiedy i bez tego. Rekord Kuchcińskiego to przepchnięta w dwie godziny ustawa o IPN. Tyle zajęło wpisanie jej do porządku obrad, trzy czytania oraz głosowanie. Normalnie takie procedury zajmują wiele tygodni.

A przy okazji fundował opozycji swoiste ścieżki zdrowia. Wyłączał mikrofon, wlepiał kary finansowe, ciął po delegacjach, zabraniał zwoływać komisje. No i jeszcze otoczył Sejm barierkami, kazał Straży Marszałkowskiej dręczyć protestujących niepełnosprawnych, wreszcie zamknął przestrzeń dziennikarzom. Prowokując tym sławetny „pucz", kiedy posłowie opozycji zablokowali mównicę. Na koniec odszedł w niesławie, kiedy wyszło na jaw, że na koszt podatnika fundował sobie prywatne loty.

W drugiej pisowskiej kadencji zastąpiła go niewiele lepsza Elżbieta Witek, która pokazała, jak sobie radzić z przegranym głosowaniem. To było przy okazji „lex TVN": skoro nie wyszło za pierwszym razem, to zarządzamy reasumpcję i głosujemy aż do skutku. I co nam zrobicie?

Po demokratycznym poście zaczął się karnawał „sejmflixa". Jako sejmowy debiutant Szymon Hołownia nie był oczywistym kandydatem na marszałka. Ale świetnie obkuł się w procedurach i miał talent wodzireja. Okazując się najlepszą w tamtym czasie odtrutką na autorytaryzm. Za jego sprawą powróciły na Wiejską luz, swada i cięty dowcip. Nieodzowne jako narzędzie promocji demokratycznych wzorców.

Ale Hołownia miał też ambicję przywrócenia standardów z epoki Kozakiewicza i Chrzanowskiego. Tylko że w czasach skrajnej polaryzacji i rozchwiania ładu prawnego to nie było wykonalne. Bo jak tu stawać ponad podziałem i restrykcyjnie trzymać się legalizmu? Dzisiaj wszystko jest polityczne i służy mobilizacji. To nie przypadek, że w kampanii prezydenckiej 1990 r. Kozakiewicz mógł wstrzymać prace nad projektami aborcyjnymi, żeby nie rozniecać toksycznych emocji, a opinia publiczna mu przyklasnęła. Parę dekad później to samo zrobił Hołownia, zbierając baty ze wszystkich stron.

Skok do wielkiego pałacu mu nie wyszedł i ogólnie politykiem okazał się kiepskim. Ale roli marszałka sprostał. Bo również otworzył wrota dla ekspertów, udrożnił kanały konsultacyjne, wykorzystał narzędzia cyfrowej komunikacji. Wysoko stawiając poprzeczkę następcy. Chociaż niezależnie od tego marszałka Czarzastego czeka sporo trudniejsze wyzwanie. W drugiej połowie kadencji walka polityczna będzie się już tylko zaostrzać, więc nawet jeśli wzorzec marszałka ponadpartyjnego pozostaje atrakcyjny, konieczności polityczne będą spychać Czarzastego w stronę jednoznacznego zaangażowania.

W obecnych realiach bezstronność to jednak głównie narzędzie osobistej kreacji, na czym akurat Czarzastemu najmniej zależy. Dawno przywykł do roli zakapiora i nie aspiruje do kolejnych stanowisk. Jego celem jest uratowanie demokratycznych rządów z możliwie najszerszym udziałem Lewicy. A to oznacza, że pewnie nieraz użyje przeciwko „totalnej opozycji" jakiejś regulaminowej sztuczki. Rzadziej będzie się droczył z harcownikami, a częściej wyłączał im mikrofony. No i pewnie powróci sejmowa zamrażarka dla co bardziej populistycznych projektów prezydenta. Oby bez przesadnego okrucieństwa, ale tyle dzisiaj dialogu i poszanowania procedur, ile przestrzeni ograniczanej wymogami politycznej skuteczności. Sorry, takie mamy czasy.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 796dd59b18



Ziobro ścigany za sprzeniewierzenie pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości powinien odpowiadać za to, co zrobił z wymiarem sprawiedliwości

Izba nieodpowiedzialności

Neosędziowie trzymają się mocno. Gorzej, że ten ustrojowy pat dotyczy także sędziów, którzy czynnie demolowali wymiar sprawiedliwości i prześladowali tych upominających się o poszanowanie trójpodziału władzy. Czy da się coś z tym zrobić?

EWA SIEDLECKA

Zbigniew Ziobro ma zarzuty dotyczące Funduszu Sprawiedliwości i ta sprawa skupia teraz uwagę; przede wszystkim jednak Ziobro jako minister sprawiedliwości był głównym destruktorem sądownictwa i prokuratury. Jego „reformy" zatwierdzane przez PiS są przyczyną wszystkich dzisiejszych problemów wymiaru sprawiedliwości, z których kwestia neosędziów ma kluczowe znaczenie, bo z tego biorą się inne kłopoty. Ziobro zdemolował praworządnościową strukturę, a jej naprawa okazuje się bardzo trudna.

W systemie – przynajmniej do końca kadencji prezydenta Karola Nawrockiego – zostaną nie tylko sędziowie wadliwie powołani, ale też potencjalnie niebezpieczni dla jego politycznej niezależności. Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN od początku swojego istnienia (2022 r.) nie uchyliła żadnego immunitetu sędziowskiego w sprawie dotyczącej rozliczeń za współdziałanie przy politycznym przejmowaniu sądów. A niedługo grozi jej paraliż także w sprawach dyscyplinarnych. Toczą ją spory: „starych" sędziów z neosędziami, spór o to, którzy rzecznicy dyscyplinarni są prawowici: Ziobrowi czy Bodnarowi i Żurkowi. I którzy prokuratorzy są legalni. A do tego Izba wyludnia się jak Trybunał nieKonstytucyjny,

Izba Odpowiedzialności Zawodowej (IOZ) powstała w miejsce Izby Dyscyplinarnej zdyskwalifikowanej wyrokiem TSUE. Jej utworzenie ośmieszyła – raczej niechcący – pierwsza prezeska SN Małgorzata Manowska, losując spośród sędziów SN kandydatów do sądzenia jak w totolotku: z bębna z kulami. Potem prezydent Andrzej Duda, według swojego gustu, wybrał z nich jedenastu członków IOZ: sześciu „neo" i pięciu „starych" sędziów (trzech z nich głosowało w styczniu 2020 r. przeciwko uchwale, że Izba Dyscyplinarna SN nie jest sądem).

IOZ zaczęła z przytupem: uchylając represje dyscyplinarne wobec sędziów za stosowanie orzeczeń europejskich trybunałów w sprawie statusu neosędziów. Było to (przypadek?) w czasie, gdy rząd PiS zabiegał o uchylenie przez Komisję Europejską sankcji wobec Polski w postaci wstrzymania dotacji z Krajowego Planu Odbudowy.

Teraz wnioski prokuratury o uchylenie immunitetu sędziom za prześladowania innych sędziów czekają miesiącami. W pierwszej instancji osądzono dwa odmownie. Dotyczą Macieja Nawackiego – byłego członka neoKRS, który sam ▶

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 796dd59b18

▶ sobie podpisał listę poparcia w wyborach do tego organu, i sędziego Jakuba Iwańca, któremu prokuratura chce postawić zarzut znieważania sędziego Waldemara Żurka w internecie. W sprawie Nawackiego „stary" sędzia Zbigniew Korzeniowski uznał, że orzeczenia TSUE i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie Izby Dyscyplinarnej są nieważne, bo tak orzekł Trybunał nieKonstytucyjny. Nawackiego w tej sprawie reprezentował Jakub Iwaniec. Z kolei Nawacki reprezentuje Iwańca w innej sprawie: dotyczącej uchylenia mu immunitetu za udział w aferze hejterskiej. Obie sprawy czekają na rozpatrzenie w drugiej instancji.

Tydzień temu wniosek prokuratury o uchylenie immunitetu Małgorzacie Manowskiej (m.in. za niewykonywanie orzeczenia sądu w sprawie sędziego Juszczyszyna) miała rozpatrywać Izba Odpowiedzialności Zawodowej w składzie: dwóch neosędziów i jeden sędzia. Ale sprawa spadła z wokandy bezterminowo. Powodów nie podano.

W tym samym czasie sędzia Wiesław Kozielewicz przywrócił do orzekania odsuniętego od sądzenia – za spowodowanie wypadku po pijanemu – Jakuba Iwańca.

W toczącej się w prokuraturze od 2019 r. sprawie afery hejterskiej w Ministerstwie Sprawiedliwości za czasów wiceministra Łukasza Piebiaka na wyznaczenie terminu od miesięcy czekają wnioski o uchylenie immunitetu sędziów: Piebiaka, Jakuba Iwańca, Arkadiusza Cichockiego, Przemysława Radzika, Rafała Puchalskiego.

Tak jest też ze sprawami o uchylenie immunitetów byłym rzecznikom dyscyplinarnym ustanowionym przez ministra Zbigniewa Ziobrę za nadużywanie władzy i prześladowania sędziów: Piotrowi Schabowi, Przemysławowi Radzikowi i Michałowi Lasocie.

Na niedawnym posiedzeniu w sprawie Iwańca (sędzia Kozielewicz sprawę prowadzi już rok) jego pełnomocnik Maciej Nawacki groził prokuratorom odwetem, gdy PiS wróci do władzy. Mogą mu za to grozić sprawa i wniosek o uchylenie immunitetu, którego dalsze losy w IOZ można przewidzieć.

Ostatnio sędzia Kozielewicz odroczył sprawę sędziego Iwańca, by rozstrzygnąć, czy odwołani przez ministra sprawiedliwości Piotr Schab, Przemysław Radzik i Michał Lasota nadal są rzecznikami dyscyplinarnymi ministra sprawiedliwości. Na posiedzenie stawił się bowiem nowy zastępca głównego rzecznika, sędzia Tomasz Ładny. Na posiedzenia przychodzą też odwołani rzecznicy, a część sędziów i neosędziów IOZ dopuszcza ich do udziału w rozprawie i przyjmuje od nich pisma procesowe.

Więcej: kilka dni temu prezes IOZ Wiesław Kozielewicz rozesłał sędziom „do wiadomości" pismo, jak określił „zastępcy rzecznika", Przemysława Radzika. Radzik informuje w nim, że wszczyna postępowanie dyscyplinarne przeciwko Joannie Raczkowskiej za uzurpowanie sobie prawa bycia generalnym rzecznikiem dyscyplinarnym ministra sprawiedliwości.

Tak więc spór: czy ministrowie sprawiedliwości Bodnar i Żurek mieli prawo odwołać rzeczników ministra Ziobry, przeniósł się do IKO i dodatkowo będzie paraliżował jej prace. Przypomnijmy: ustawa nie zawiera trybu odwoływania rzeczników ministra, więc ministrowie Bodnar i Żurek przyjęli, że skoro nie ma zakazu odwołania, to można odwoływać, gdy działalność rzeczników jest materiałem na postępowanie dyscyplinarne czy karne.

Do IOZ przeniósł się też pisowski spór o to, kto jest prokuratorem krajowym, który owocuje kwestionowaniem mandatu każdego prokuratora powołanego na swoje miejsce służbowe przez Dariusza Korneluka. Dla PiS jest on uzurpatorem, a prokuratorem krajowym nadal jest Dariusz Barski, którego powołanie przez ministra Ziobrę minister Bodnar uznał za nieskuteczne. Ziobro bowiem przed powołaniem przywrócił Barskiego do służby czynnej ze stanu spoczynku na podstawie przepisu, który w tej dacie już nie obowiązywał. Bodnar uznał, że Barski nadal „spoczywa".

To nie koniec plag, które dotknęły Izbę Odpowiedzialności Zawodowej. Dochodzi do tego problem sędziów i neosędziów. I ci, i ci są kwestionowani. Praktycznie w każdej konfiguracji strona lub strony (stroną jest obwiniony, prokurator, rzecznik dyscyplinarny) wnoszą o wyłączenie: a to neosędziego – bo nie jest sędzią w świetle orzecznictwa międzynarodowych trybunałów, SN i NSA, a to „starego" sędziego (zostało dwoje: Barbara Skoczkowska i Zbigniew Korzeniowski) – bo stronniczy, upolityczniony, albo „komunistyczny", bo powołany w czasach PRL.

Kolejna plaga: braki kadrowe. Już na początku z orzekania w IOZ wyprocesowali się dwaj „starzy" sędziowie: Paweł Grzegorczyk i Krzysztof Staryk. Uznali, że zmuszanie ich do orzekania jest wbrew prawu. Nie orzekają, ale blokują miejsca w IOZ, więc nieomal od powstania do teraz w Izbie orzekało nie jedenastu, a dziewięciu sędziów.

Wkrótce będzie ich siedmioro (dwoje przechodzi w stan spoczynku). Ale z uzupełnieniem składu może być problem. Prezeska Manowska już wylosowała trzech kandydatów na miejsce po sędzim Staryku. Ale wybór prezydenta Nawrockiego wymaga kontrasygnaty premiera Donalda Tuska, a sądząc po tym, że koalicja rządząca nie wybiera sędziów na wakujące miejsca w Trybunale nieKonstytucyjnym, i tu premier może zastosować metodę zagładzania kadrowego. Tym bardziej że z zapowiedzi prezydenta Nawrockiego wynika, iż mianowań dla sędziów, których orzecznictwo może mu się nie spodobać, nie będzie. Więc prawdopodobne, że pozostanie w IOZ siedem osób, które będą musiały załatwić 700–800 spraw wpływających rocznie do Izby.

A IOZ sądzi nie tylko w sprawach immunitetowych i dyscyplinarnych sędziów, ale też – jako instancja kasacyjna w sprawach dyscyplinarnych – członków innych zawodów prawniczych. A także innych zawodów zaufania publicznego, w tym lekarzy, pielęgniarek i położnych, architektów, inżynierów budowlanych, doradców podatkowych, weterynarzy – w sumie kilkunastu zawodów. Sprawa wydaje się bez wyjścia, bo – w przeciwieństwie do innych Izb SN – do IOZ nie można czasowo dokooptować sędziów z innych izb lub przekazać części spraw z IOZ do innej izby. Zadbał o to PiS, bo chciał kontrolować, kto sądzi te sprawy.

PiS zabetonował więc Izbę Odpowiedzialności Zawodowej, a Izba – rozliczanie sędziów-wspólników rządu PiS w przejęciu politycznej władzy nad sądami.

W lutym 2024 r. sędzia Barbara Skoczkowska, zawieszając jedną ze spraw „do czasu ustąpienia przeszkody uniemożliwiającej prowadzenie

eprasa.pl 796dd59b18



Pierwsza Prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska podczas losowania sędziów do nowej Izby Odpowiedzialności Zawodowej

postępowania", orzekła, że Izba jest organem wadliwym strukturalnie i ustrojowo. Wypunktowała powody tej wadliwości: wybór sędziów do IOZ przez polityków – bez kryteriów; bez uzasadnienia; brak możliwości doboru do składów sądzących sędziów z innych Izb SN itd. Sędzia Skoczkowska stwierdziła, że nie ma obecnie możliwości utworzenia spośród sędziów IOZ niezależnego i niezawisłego sądu.

Podobna sytuacja była z Izbą Dyscyplinarną. Wtedy w sukurs przyszedł TSUE, który najpierw nakazał zawieszenie jej działalności, a potem uznała ją za niespełniającą kryterium bezstronnego sądu. IOZ powstała zamiast Izby Dyscyplinarnej, ale powiela jej wady. Jednak w dzisiejszych warunkach politycznych można skutecznie użyć tego argumentu do jej rozwiązania dopiero, gdyby orzekł to TSUE, bo jego wyroki stosuje się bezpośrednio. Do TSUE trafiły skargi na IOZ: sędziego Pawła Juszczyszyna i sędziego IOZ Pawła Grzegorczyka. Na razie nic nie wiadomo o terminie ich rozpatrzenia.

Sytuację w Izbie naprawiłoby zapowiadane przez rządzącą koalicję uregulowanie statusu neosędziów. Ustawa przedstawiona w kwietniu przez ministra Adama Bodnara, a teraz przez ministra Waldemara Żurka, szumnie nazywana „o przywróceniu praworządności", uznaje, że nominacje sędziowskie neoKRS tracą moc prawną z dniem wejścia w życie ustawy. Likwiduje też Izbę Odpowiedzialności Zawodowej i Izbę Kontroli Nadzwyczajnej SN oraz usuwa neosędziów z Sądu Najwyższego. Tyle że ten projekt nie może liczyć na podpis prezydenta Nawrockiego, a tym samym jest bez szans na realizację.

Jego uchwalenie miałoby sens jedynie dla pokazania Komisji Europejskiej, że polski rząd stara się przywracać praworządność. Tyle że ustawę ostatnio fundamentalnie skrytykował Rzecznik Praw Obywatelskich Marcin Wiącek. Choć można krytycznie oceniać projekt ministerstwa, to jednak opinia RPO wydaje się zbyt radykalna. „Projekt opiera się na nieprawidłowym założeniu, jakoby osoby powołane na urzędy sędziowskie po 6 marca 2018 r. w ogóle nie były sędziami w rozumieniu prawa" – pisze RPO. Takiego założenia trudno się jednak w ustawie dopatrzyć, skoro neosędziowie mający wcześniejsze poprawne nominacje wybranej zgodnie z konstytucją KRS nadal mogą orzekać, ale na poprzednich stanowiskach, w sądach niższych instancji.

Dalej prof. Wiącek uznaje projekt za sprzeczny z opinią Komisji Weneckiej, w której komisja wykluczyła pozbawianie sędziów stanowisk z mocy ustawy, bez wyroków sądów. Byłoby to bowiem „sprzeczne z zasadą nieusuwalności i nieprzenaszalności sędziów", która jest gwarancją prawa do niezawisłego i bezstronnego sądu.

Ale część prawników (m.in. była RPO prof. Ewa Łętowska) uważa, że zgodne z opinią Komisji Weneckiej mogłoby być uznanie, że sędziowie powołani wprawdzie zgodnie z ustawą, ale niezgodnie z konstytucją, nie korzystaliby z pełnej konstytucyjnej ochrony. Wobec postawy prezydenta Nawrockiego ten spór jest jednak jałowy: żadnej ustawy „praworządnościowej" nie będzie, a wszelkie zmiany ustawowe – także reformujące KRS – możliwe będą ewentualnie po 2030 r., gdy neosędziowie będą w wymiarze sprawiedliwości od 10 lat i zmiana ich statusu wywołałaby poważny kryzys w całym systemie.

A zatem Izba Odpowiedzialności Zawodowej w składzie: dwoje sędziów i pięcioro neosędziów nadal będzie decydowała o możliwości osądzenia sędziów, którzy razem z PiS i ministrem Zbigniewem Ziobrą doprowadzili do chaosu wymiaru sprawiedliwości i demoralizacji części sędziów.

EWA SIEDLECKA

© MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl 796dd59b18

Wojna z tyłu głowy



O tej granicy prawie się nie słyszy, chociaż to tutaj Polska ma 210 km bezpośredniego sąsiedztwa z wrogiem.

RYSZARDA SOCHA

Stefan Sycz, sołtys Ostrego Barda, granicę między Polską a przynależnym do Federacji Rosyjskiej obwodem królewieckim widzi z okna. Ma do niej w prostej linii 300 m. Gdy jedzie do powiatowych Bartoszyc, to droga zbliża się na odległość 20 m. Kiepska. Ale komu

eprasa.pl 796dd59b18

mają tę drogę robić? – rozważa. Kiedyś w Ostrym Bardzie było 500 mieszkańców, a teraz 35.

– *Po naszej stronie dużo ludzi się kręci nieznanych, nieciekawych* – opowiada Sycz. – *Przyjeżdżają, wypytują, jak to jest. Idą do granicy. Raz dwóch 30-latków z Warszawy wypytywało żonę o mieszkania na sprzedaż. Zadzwoniła do Straży Granicznej. Inny gość mówił, że chce pooglądać cerkiew. Mam klucz, prowadzę, ale on bardziej niż cerkwią był zainteresowany granicą.*

Ciekawość obcych uruchamia tu czujność.

Granica paradoksów

Stefan Sycz (brat Mirona, samorządowca i posła zmarłego w 2024 r.) ma ukraińskie korzenie. Gdy Rosja zaatakowała Ukrainę, Syczowie chcieli przyjąć do swego domu uchodźców, ale nikt nie chciał przyjść. Mówili, że nie po to uciekali, by być tak blisko Ruskich.

W obwodzie królewieckim są Iskandery, rakiety krótkiego zasięgu, głowice atomowe. To rejon silnie zmilitaryzowany za czasów Związku Radzieckiego, a potem dozbrojony przez Putina. Według ustaleń międzynarodowego dziennikarskiego śledztwa „Eyes on Russia" upublicznionych przez frontstory.pl jest tam też „gniazdo sabotażu". We wsi Parusnoje nieopodal Bałtijska specjalna jednostka wywiadu rosyjskiego przygotowuje kadry do aktów dywersji. Wyposażona jest m.in. w lądowisko dla helikopterów i basen do treningu podwodnego. „Sabotażyści (...) są szkoleni do misji przeciwko NATO na wybrzeżu Bałtyku. Trenują ataki na strategiczne cele m.in. w Litwie i Polsce. (...) Grupa GRU ze wsi Parusnoje jest uważana dziś przez ekspertów za jedną z najbardziej niebezpiecznych jednostek Rosji w pobliżu granic NATO".

Z obwodem wiążą się też często notowane w północnej Polsce i w innych państwach nadbałtyckich zakłócenia sygnału GPS. Ma tu działać tzw. Baltic Jammer (Bałtycki Zagłuszacz).

Po agresji na Ukrainę Polska wzdłuż granicy zbudowała zaporę. Przeciw migrantom, na wypadek powtórki scenariusza białoruskiego. Trzy szeregi zasieków z drutu ostrzowego (2,5 m wysokości). Do tego bariera elektroniczna – system kabli detekcyjnych, kamer, czujników ruchu i ciepła. Centrum nadzoru znajduje się w Kętrzynie. Dr hab. Krzysztof Żęgota, profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie (Katedra Nauk o Polityce i Nauk o Bezpieczeństwie) wraz z dr Dominiką Studzińską z Uniwersytetu Gdańskiego badali w 2023 r. nastawienie mieszkańców do tej infrastruktury. Doceniali oni barierę elektroniczną, sceptycznie odnosili się do płotów. Może dlatego, że na razie presji migracyjnej nie ma – przypuszcza prof. Żęgota.

W 2024 r. operatorzy z centrum w Kętrzynie namierzyli 148 przypadków wejścia ludzi na – jak się to formalnie nazywa – pas drogi granicznej. (Grozi za to mandat do 500 zł). Najczęściej naruszają ją turyści. Z niewiedzy albo ciekawości. Z ich relacji można odnieść wrażenie, że testują czujność państwa.

– *To granica pełna paradoksów, interesujących zjawisk socjologicznych* – konstatuje Żęgota. Ma na myśli choćby to, że w rejonie nadgranicznym polityka kształtowana w Moskwie i Warszawie nakłada się na relacje, kontakty międzyludzkie, często dobre i bliskie. Mieszkańcom powiatów nadgranicznych trudno uwierzyć we wrogość tych, którzy mieszkają po drugiej stronie. Jednocześnie blisko połowa uczestników badania uznała, że po napaści na Ukrainę ich opinia o Rosjanach zamieszkujących sąsiedni region uległa pogorszeniu.

Elżbieta Zabłocka, starosta powiatu bartoszyckiego, opowiada o osobach, które mają dobrych znajomych, przyjaciół po tamtej stronie. Czasami zastanawiają się, co by było, gdyby musieli stanąć naprzeciwko siebie i walczyć. – *To ciężkie tematy* – konstatuje.

Siedem autobusów dziennie

Po agresji, mimo rozlicznych sankcji, ruch na przejściach granicznych nie zamarł. Choć jest radykalnie mniejszy. Liczba wagonów odprawianych na przejściach kolejowych (Braniewo i Korsze) zmalała 16-krotnie. Mniejszy jest ruch samochodów osobowych i ciężarowych. Czynne są tylko dwa z czterech przejść drogowych w Grzechotkach (k. Braniewa) oraz Bezledach (k. Bartoszyc). Jednak codziennie z Gdańska do Królewca odjeżdża siedem autobusów. Tyle samo kursów odprawia się z Królewca do Gdańska. Obsługują je zarówno polscy, jak i rosyjscy przewoźnicy. Ceny biletów 150–180 zł. Podróżują głównie Rosjanie z kartą pobytu w Polsce albo innym kraju UE, obywatele Niemiec pochodzenia rosyjskiego, a także rosyjscy małżonkowie obywateli UE. W Gdańsku najczęściej przesiadają się na samolot lub pociąg, by kontynuować podróż.

Od listopada będą mogli dwa razy w tygodniu jeździć z Królewca do Warszawy. Część polskich mediów do tego nowego połączenia odniosła się krytycznie. Bo rosyjskie działania hybrydowe, podpalenia, aktywność szpiegowska, rządowe apele o czujność... Padły pytania o ryzyko dla bezpieczeństwa państwa. Wiadomo jednak, w jaki sposób Rosja rekrutuje szeregowych wykonawców zleceń. Oni już tu są. A wykwalifikowani szpiedzy i agenci nie musieli czekać na dodatkowy autobus.

W 2024 r. granicę między Polską a obwodem przekroczyło, licząc łącznie wjazdy i wyjazdy, 769 tys. osób, w tym 127 tys. Polaków i 212 tys. Rosjan. (W szczytowym 2014 r. odprawiono tu ponad 6 mln ludzi).

– *Na wizę turystyczną już się nie wjedzie* – podkreśla mjr Mirosława Aleksandrowicz, rzeczniczka Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Straży Granicznej. – *Trzeba mieć kartę pobytu w Polsce albo innym kraju UE, albo małżonka z kraju unijnego.*

Zdarza się, że polscy pogranicznicy zatrzymują Rosjan z fałszywymi kartami pobytu, kupionymi za 1,5–1,8 tys. euro. W obrocie są też sfałszowane dowody krajów unijnych. W sierpniu elbląski portal portel.pl informował, że w królewieckich mediach roi się od anonsów z ofertami pośrednictwa w załatwieniu paszportu kraju unijnego czy Karty Polaka mimo braku polskich korzeni.

Rosja wizy wydaje, ale mało Polaków do Królewca jeździ. Ze względu na zły klimat i ryzyko aresztu z błahego powodu. – *Skończyły się nie tylko wyjazdy, także dyskusje w grupach na portalach społecznościowych* – relacjonuje starosta braniewski Leszek Dziąg, który podyskutować lubił. – *Z dawnych znajomych nikt się nie wypisał, ale też nikt się nie odzywa. Zostały tylko rosyjskie trolle.*

Udaremnione próby przemytu (głównie papierosów) nie imponują skalą. Na przykład 10 września na przejściu w Grzechotkach dzięki psom odkryto 5 tys. sztuk papierosów schowanych tak głęboko, że celnicy potrzebowali 5,5 godz., by je wydobyć. Dzień wcześniej w Bezledach wpadł mieszkaniec powiatu bartoszyckiego – 4,2 tys. sztuk papierosów ukrył w poduszce powietrznej i zbiorniku paliwa. W lipcu 18 tys. sztuk papierosów znaleziono w autobusie wjeżdżającym do Polski. Kierowca ▶

© STR/NURPHOTO/GETTY IMAGES, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 796dd59b18



Rozstawianie zasieków w Żerdzinach koło Gołdapi



Wojsko cały czas monitoruje granicę. Na fot. żołnierze w Ostrym Bardzie.

Polak przyznał się, że to jego towar. Ostatnią prawdziwie dużą kontrabandę celnicy namierzyli w 2021 r. na przejściu w Grzechotkach – blisko 13 mln sztuk papierosów zadeklarowanych jako chusteczki higieniczne.

Z portu w Elblągu do rosyjskiej eksklawy średnio wypływa jedna barka miesięcznie. Wiezie ładunki nieobjęte sankcjami, głównie kamień hydrotechniczny, a do Polski płody rolne, np. grykę. Przewozy w 2024 r. to 12 tys. ton. (Dla porównania w 2014 r. – 360 tys. ton – materiały budowlane, zboża, pasze, węgiel). Niedawno po rosyjskiej stronie barka została poddana kontroli. I to jakiej. Nurkowie zeszli pod wodę obejrzeć kadłub. Czego szukali? – *Trochę mnie to zmroziło, bo to raczej my powinniśmy mieć powody do obaw* – mówi Arkadiusz Zgliński, dyrektor zarządu Portu Elbląg.

Obecne wartości największe wrażenie robią, gdy się je zestawi z okresem tzw. małego ruchu granicznego. Ułatwienia z nim związane obejmowały nie tylko mieszkańców powiatów sąsiadujących z granicą, ale także Olsztyna i powiatu olsztyńskiego, Elbląga i powiatu elbląskiego, Trójmiasta i powiatów nad Zatoką Gdańską. Wszyscy oni mogli jeździć do obwodu królewieckiego bez wiz. To samo dotyczyło drugiej strony. Trwało od lipca 2012 r. do lipca 2016 r., gdy rząd PiS zawiesił ułatwienia w związku ze szczytem NATO i Światowymi Dniami Młodzieży. – *Większość samorządowców była oburzona nie na to zawieszenie, ale na brak odwieszenia. Uważali, że to prztyczek w Rosję wymierzony kosztem lokalnych społeczności* – wspomina Krzysztof Żęgota.

Wielki żal po małym ruchu

Czas, gdy granica bardziej łączyła, niż dzieliła, prof. Żęgota postrzega jako rekompensatę dla mieszkańców za peryferyjność miejsca, w którym żyją. Naukowcy z uczelni w Olsztynie i Gdańsku (politolodzy, socjologowie, ekonomiści) zyskali wtedy ciekawe tematy do badań. Kwitła współpraca naukowa, samorządowa, kulturalna, sportowa. A przede wszystkim – handel.

Ruch z nazwy mały był ogromny. W fazie szczytowej granicę przekraczało średnio po 18 tys. osób na dobę (dziś 2,1 tys.). – *Też wtedy tam jeździłem* – opowiada Stefan Sycz. – *Nie po papierosy i wódkę, tylko po paliwo. Ruskich w naszych Lidlach i Biedronkach było pełno. Nawet po 2 tys. zł płacili jednorazowo za zakupy. Bartoszyce na nogi stanęły. Ludzie się dorabiali na tej granicy, nowe budynki postawiali. Kolejki na przejściach były długaśne. Nawet dwa dni trzeba było siedzieć po ruskiej stronie. Aż się odechciewało jeździć. Najpierw po 50 rubli się dawało, żeby na granicy nie stać. Potem po 100 rubli.*

Goście z obwodu kupowali żywność, odzież, obuwie, kosmetyki, środki higieny osobistej. Wszyscy. Ponad połowa – sprzęt RTV i AGD. Meble, artykuły wyposażenia wnętrz i chemię gospodarczą kupowała jedna czwarta Rosjan. Rosło ich zainteresowanie dobrami luksusowymi (np. zegarki, biżuteria). Początkowo nabywało je 7 proc. odwiedzających, natomiast w 2016 r. – już prawie połowa. Powiększało się też zapotrzebowanie na usługi turystyczne i medyczne (zabiegi poprawiające urodę, operacje chirurgiczne, zabiegi kardiologiczne). Badała to prof. Iwona Batyk z UWM w Olsztynie.

Po wstrzymaniu małego ruchu wielu Rosjan wykupiło wizy Schengen. Według badaczki miejscowości nadgraniczne straciły, bo Rosjanie z wizami chętniej eksplorowali odleglejsze rejony. Ale pani Basia, która prowadzi warzywniak naprzeciwko Starostwa Powiatowego w Braniewie, uważa, że nawet wtedy nie było źle. Kupujących starczało nie tylko dla dyskontów, ale także małych sklepów. – *Mieliśmy stałych klientów. Kupowali skrzynkami. Dzięki Ruskim człowiek wiedział, po co wstaje do pracy. Nasi też tam jeździli. A teraz co? Marazm. Biznesy pozamykane. Młodzi wyjeżdżają.*

Atak na Ukrainę ostatecznie położył kres temu eldorado. Choć nie trwało długo i skończyło się gwałtowną zmianą obrazu Rosji, to jest czas, którego się żałuje i za którym się tęskni. Podobno po drugiej stronie granicy mają tak samo, tylko jeszcze bardziej. Bo dla nich wraz z wojną zamknął się europejski korytarz i okno na świat. – *Obwód to trochę inni Rosjanie* – podkreśla profesor Żęgota. – *Nawet 50 proc. z nich nigdy nie było w Rosji właściwej. Więcej wiedzieli o Polsce, Litwie, byli bardziej odporni na rosyjską propagandę. Mieli inne nastawienie wobec Zachodu. Dziś żyje się im ciężej niż mieszkańcom innych części Rosji. Ze względu na specyficzne położenie (charakter eksklawy) znaczna część dóbr jest tam sprowadzana, co teraz jest w dużej mierze utrudnione. Ceny poszybowały.*

eprasa.pl 796dd59b18



Szkoła w Bezledach



Patrol na granicy koło Dąbrówki, zapory są częścią Tarczy Wschód

Zaopatrzenie Królewca opiera się na transporcie promowym z Petersburga i lądowym przez terytorium Litwy. Promów jest za mało. Dostawy lądowe objęte są opłatą tranzytową. Świeża decyzja Litwy o zamknięciu przejść z Białorusią (z powodu przemytniczych balonów postrzeganych jako forma działań hybrydowych) zwiększy problemy aprowizacyjne. A Litwa rozważa także zawieszenie tranzytu z Rosji.

Posiew niepewności

Mieszkańcom Braniewa (10 km od granicy) o lepszych czasach przypominają witryny po sklepach i punktach usługowych, z zachętami: sprzedam, wynajmę. Burmistrz Tomasz Sielicki ocenia, że zamknęło się 20 proc. małych biznesów. Sieciowych dyskontów jest dużo, a same sklepy za duże jak na populację miasteczka. Wojna uderzyła w terminale przeładunkowe. Ogromne place stoją puste. Wcześniej wszystkie wzdłuż granicy z obwodem dawały pracę blisko tysiącowi osób.

– *Szkoły w Braniewie od lat kształcą spedytorów i logistyków* – mówi starosta Leszek Dziąg. – *Powiat sporo zainwestował w te klasy, w specjalne oprogramowania dla nich. Zastanawiamy się teraz, co dalej. W Zespole Szkół Budowlanych mamy klasy przygotowania wojskowego. Organizujemy im szkolenia dronowe.*

Województwo warmińsko-mazurskie zajmuje drugie miejsce wśród regionów o najwyższym bezrobociu. A najgorzej wypadają powiaty bartoszycki (16,4 proc.) i braniewski (13,9 proc.). Sporo osób, które straciły pracę, a miały jakieś kwalifikacje, wchłonęły służby mundurowe, dziś największy pracodawca na tych terenach. Dużo młodych wyjechało. Ich bliscy boleją, a jednocześnie popierają te decyzje.

Z wierzchu jest spokój, a pod nim wyczulenie. W czasie wyborów prezydenckich w Braniewie pojawiły się grupki śniadych ludzi. Fotografowali szkoły i place zabaw. – *Byli u nas, w Tolkmicku, w Elblągu...* – relacjonuje starosta Dziąg. – *Wjechali przez Grzechotki samochodami na polskich blachach, a rozmawiali po rosyjsku. Sprawiali wrażenie migrantów, którzy coś kombinują. W internecie rozpętała się burza, żeby organizować straże obywatelskie. Takie rzeczy będą się zdarzały. Są obliczone na sianie niepokoju.*

Po nocy, kiedy Polska została poddana testowi dronów, w Braniewie pojawiło się pytanie o schrony. I gniew, gdy starosta powiedział, że schronów nie ma i nie będą budowane, że cały powiat jest w zasięgu ruskiej artylerii, więc będzie ewakuacja. Pojawiły się pytania – a dokąd będzie ta ewakuacja? Może nawet poza granice województwa. – *Rozkręca się planowanie* – opowiada Dziąg. – *Zaczynają się pojawiać pieniądze na rozwiązania przydatne także w czasie pokoju, jak sprzęt do przewożenia wody, do jej oczyszczania.*

Pani Danuta, emerytka, czeka pod mammobusem ustawionym przed braniewską bazyliką św. Katarzyny. W domu ma chorego męża, który nie wychodzi. Na plecy go nie weźmie. Poprosiła syna, żeby jej zamówił powerbank, by w razie braku prądu mogła naładować telefon. Pani Basia z warzywniaka ma spakowaną torbę. W niej dokumenty, akty notarialne. Paszporty porobiła całej rodzinie, gdy tylko Rosja uderzyła w Ukrainę. Dużo znajomych wyemigrowało za młodu, rozproszyli się po Europie. Oferują dach nad głową. Ale ona ma nadzieję, że nie będzie potrzeby. – *Nie myślimy o tym* – powiada – *bo człowiek może sfiksować od tego. Nie chce się pracować, gdy ta wojna z tyłu głowy siedzi. Przestałam już słuchać wiadomości.*

To „niemyślenie" przewija się w rozmowach najczęściej. Ale burmistrz Sielicki się niepokoi. Dostrzega, że ludzie coraz mniej sobie ufają, coraz bardziej zamykają się w domach, coraz mniej jest wydarzeń towarzyskich. Stara się rozładowywać napięcie, które wiąże z atmosferą wojny. Opowiada o zamiarze odbudowy ratusza.

Naprzeciwko bazyliki przez siatkę ogrodzenia, gdzie niedawno był skwer, widać odsłonięte fundamenty budowli, sięgającej czasów średniowiecza, a zniszczonej w 1945 r. Na ogrodzeniu umieszczone wizualizacje, które przygotowali studenci Politechniki Łódzkiej. Pieniądze na odkrywki archeologiczne wyasygnował resort kultury. Włodarz Braniewa szuka teraz środków na dalsze działania. Dziś – podkreśla – byłby to gest symboliczny, budzący nadzieję. Na przekór myśli, że za chwilę cała ta praca może pójść na marne.

RYSZARDA SOCHA

© PAULIUS PELECKIS/GETTY IMAGES, TOMASZ WASZCZUK/PAP, MARTYNA NIEĆKO/AGENCJA WYBORCZA, MAREK ANTONI IWAŃCZUK/GETTY IMAGES

eprasa.pl 796dd59b18

Miłość a konto

Polki i Polacy wierzą we wspólne życie do grobowej deski, ale we wspólne konto już niekoniecznie. Czy fakt, że mamy oddzielne konta, oznacza, że coś z nami jest nie tak?



ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

eprasa.pl 796dd59b18

ZBIGNIEW BOREK

Nauczycielka Agnieszka i przedsiębiorca Paweł są małżeństwem od siedmiu lat i od początku mają osobne konta. Ona opłaca podatek za dom, rachunki za wodę, przedszkole, dodatkowe zajęcia dziecka i abonament w Netfliksie. On z racji większych dochodów płaci za gaz, prąd i samochód (naprawy, przeglądy, benzyna). Każde osobno reguluje rachunki za swój telefon, za codzienne zakupy płaci ten, kto je robi. Wakacje finansuje on, wspólne wyjścia – na zmianę. – *Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej* – twierdzi Agnieszka.

Urszula powadzi fundację dla dzieci, jej mąż Tomasz firmę. Małżeństwem są od 32 lat, od „zawsze" mają osobne konta, codziennymi wydatkami dzielą się „sprawiedliwie, co nie znaczy, że równo". Wyjazdy wypoczynkowe opłaca mąż, żona kupuje nikomu niepotrzebne gadżety z podróży, jak sama żartuje. – *On nie „trwoni" pieniędzy, ja czasem tak, zwłaszcza na dzieci i to nie tylko swoje, ale też te z fundacji* – mówi Urszula.

Marta i Maciej, małżeństwo od 19 lat, każde ma jednoosobową działalność gospodarczą i osobne konto. Mieszkają razem w dwóch połączonych mieszkaniach, jedno jest jej, drugie jego, płacą za swoje. – *Ja robię zakupy i ogarniam dzieci. I niekiedy wysyłam mężowi zdjęcie* – mówi Marta. Na zdjęciu jest para w klimacie tandetno-romantycznym oraz podpis: „Czasami potrzebujesz, żeby ktoś cię mocno przytulił i powiedział: Zrobiłem ci przelew".

To kilka spośród kilkunastu par, które odpowiedziały na pytanie reportera w social mediach o to, czy mają konta osobne, czy też wspólne. W odpowiedziach dominują te pierwsze. Który sposób jest lepszy? – na tak postawione pytanie próbuje odpowiedzieć Ewa Ilczuk, doktorantka socjologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, pracując nad projektem „Ja, ty i nasze pieniądze. Zarządzanie finansami w bliskich relacjach romantycznych w dobie postępującej indywidualizacji". – *Badania sugerują, że posiadanie wspólnego konta pozytywnie oddziałuje na relację, może być też korzystniejsze dla osoby słabszej ekonomicznie. Coraz więcej par decyduje się jednak na osobne trzymanie pieniędzy, a przynajmniej ich części* – mówi.

Razem: tradycyjnie i wygodnie

Gdyby za dobrą monetę przyjąć badania opinii publicznej, to jesteśmy narodem wierzącym w miłość i wiążącym się na długie lata. Miłość nadaje sens życiu – uważa 90 proc. spośród 1016 respondentów badania „Jak kochają Polacy?" (ARC Rynek i Opinia, 2019 r.). 83 proc. badanych wierzy w miłość na całe życie – podaje raport „Anatomia relacji. O związkach twarzą w twarz" (Instytut Badań Pollster, 1082 ankietowanych, kwiecień 2025 r.). Według tego badania średni czas trwania związku to 19 lat. Dwie na trzy osoby żyją razem od ponad dekady, w tym 22 proc. spędziło z jedną osobą przynajmniej 30 lat. 97 proc. par z najdłuższym stażem to małżeństwa. 89 proc. z nich nigdy nie miało innego partnera. 85 proc. badanych za filary udanego związku uważa szacunek, lojalność i wsparcie, ale gdy przychodzi do prozy życia, czyli pieniędzy, wyniki są mniej romantyczne.

Wyłącznie wspólne konto (lub konta) z partnerem/ką życiowym/ą ma zaledwie co trzeci ankietowany w badaniu „Związek a finanse" (Instytut Badań Rynkowych i Społecznych, 2023 r., próba badawcza: 1001 osób prowadzących wspólne gospodarstwo domowe). Z zakrojonego na znacznie szerszą skalę „Krajowego badania stanu zdrowia i czasu par w USA" (lata 2020–21) wynika, że wiele zależy od stanu cywilnego: pieniądze na koncie łączą dwie trzecie par małżeńskich i co czwarty konkubinat. Dzieje się tak niezależnie od wieku, a eksperci traktują to jak spuściznę tradycyjnego modelu rodziny, w którym małżeństwo „uwspólnia" cały majątek, w tym pieniądze, a sprzyja temu posiadanie dzieci.

– *Łatwiej skorelować i kontrolować przepływy pieniężne* – o zaletach wspólnego konta mówi Piotr. Jest specjalistą IT, jego żona Monika to specjalistka HR. Małżeństwem są od 20 lat i od początku mają wspólne konto, a nawet wspólne karty kredytowe. Monika narzeka, że trudniej przez to zrobić mężowi niespodziankę, ale więcej widzi zalet: – *Mam poczucie, że wszystkie nasze pieniądze są rzeczywiście wspólne, choć bywało, że zarabiałam niemal trzy razy mniej niż mąż.* Rodzinne finanse to jego domena: w tabelkach excelowskich zapisuje każdy wydatek, potrafi powiedzieć, ile np. kosztuje wychowanie każdego z trojga ich dzieci. Im z kolei założyli osobne konta, żeby uczyły się, jak gospodarować kieszonkowym.

– *Wspólne konto jest wygodniejsze* – uważa Radosław, ekspert cyberbezpieczeństwa, od 14 lat żonaty z Martą, prawniczką. Mają dwa konta, oba wspólne, tam płyną wszystkie ich dochody, z tych kont finansują wszelkie wydatki. – *Prosto, jasno, przejrzyście. Każde z nas w dowolnej chwili może sprawdzić, na czym stoimy, a jednocześnie nie musimy się przejmować, kto zarobił więcej czy mniej. Zresztą nawet przy osobnych kontach pieniądze obojga małżonków są z mocy prawa wspólne, podobnie jak dom czy samochód* – zauważa Radosław. I dodaje: – *Tak powinno być: wspólne życie, wspólny dach nad głową, wspólne konto.*

Z badań prowadzonych w USA wynika, że wspólne konta sprzyjają sensownym zakupom (bo w razie potrzeby trzeba je umieć uzasadnić partnerowi/partnerce) i cywilizują rozmowy o pieniądzach w związku. Spowalniają także spadek satysfakcji ze wspólnego życia, jak dowiodła przed dwoma laty Jenny G. Olson (z zespołem), psycholożka społeczna z Indiana University. – *Wspólne konto jest namacalnym potwierdzeniem wspólnoty majątkowej, niweluje skutki dysproporcji zarobków, jest też korzystne w sprawach rozwodowych i spadkowych czy o alimenty* – podkreśla Eliza Kuna, prawniczka, mediatorka i autorka książki „Wszystko, czego nie mówią ci przed ślubem. Jak uchronić się przed konfliktami prawnymi w związku". Przy osobnych kontach sąd musi dochodzić, w jakiej instytucji bankowej lub finansowej „druga połowa" ukryła pieniądze. – *Postępowania rozwodowe, które zwykle trwają nie dłużej niż rok, przeciągają się przez to do dwóch, trzech lat, a sprawy o podział majątku nawet do 10 lat* – mówi mec. Kuna. I podsumowuje: – *Unikniemy zachodu, jeśli finanse rodzinne są transparentne, to zaś najłatwiej zrealizować na wspólnym koncie.* ▶

eprasa.pl 796dd59b18



56 proc. polskich par regularnie rozmawia z partnerem lub partnerką o wspólnych finansach. To ważne choćby dlatego, że pieniądze są obok zdrady jedną z najczęstszych przyczyn rozwodów.



▶Jest jedno ważne „ale": wspólne konto się sprawdza, gdy między dwojgiem ludzi panują partnerskie relacje, nikt nikogo nie próbuje zdominować ani pognębić. – *W tradycyjnym modelu rodziny mężczyzna zarabiał, a niepracująca zawodowo kobieta dbała o dom i dzieci. W bogatszych domach zazwyczaj to mężczyzna kontrolował pieniądze, czasami wydzielając żonie „kieszonkowe". Z kolei w rodzinach uboższych częściej pieniądze trzymała kobieta, ale jej władza ograniczała się do codziennych zmagań w wiązaniu końca z końcem* – zauważa Ewa Ilczuk.

Eliza Kuna: – *Jeśli mamy do czynienia z osobą skłonną do nadmiernej kontroli czy tym bardziej przemocy ekonomicznej, korzyści ze wspólnego konta znikają i obracają się przeciwko osobie słabszej. Konto staje się wręcz instrumentem opresji.*

Osobno: indywidualizacja i trauma

Zamiast kierować się tradycyjnymi normami społecznymi, religijnymi czy rodzinnymi, ludzie w coraz większym stopniu sami definiują, kim są, jak chcą żyć i jakie cele uznają za ważne. Skoro dawne struktury społeczne przestały zapewniać gotowe wzorce życia, współczesny człowiek wręcz musi być indywidualistą – pisał urodzony w Słupsku niemiecki filozof i socjolog Ulrich Beck (zmarł w 2015 r. w Monachium). Wspólne konto bankowe może się więc wydawać staromodne, gdy osobne konto wpisuje się w trend współczesnej indywidualizacji. Bywa też przejawem emancypacji zarobkowej, ale i efektem traum.

– *Niechęć do wspólnego konta wyniosłam z domu. W sprawach pieniędzy moja mama nie miała i nadal nie ma nic do powiedzenia. Całe życie widziałam, jak kombinuje, żeby ukryć niektóre wydatki, a tato rozlicza ją z każdego grosza, choć wcale nie byliśmy biedni* – mówi Karolina, urzędniczka, 10 lat po ślubie. Jej mąż Łukasz, przedstawiciel wolnego zawodu, zarabia więcej od niej. Namawiał Karolinę na wspólne konto, ale bez skutku. Mają dom i dwoje dzieci. Na kredyt hipoteczny składają się po równo, koszty utrzymania domu pokrywa Łukasz, on też płaci za większe zakupy, a Karolina za codzienne. – *Nie obawiam się dominacji ze strony męża, on absolutnie nie ma takich skłonności, nie szastam też pieniędzmi na boku. Z osobnym kontem czuję się jednak pewniej i bardziej komfortowo* – mówi Karolina.

Jolanta, z zawodu pielęgniarka, widziała ten problem u koleżanek: – *Musiały rozliczać się przed mężami z każdego paragonu na wspólne zakupy, a sobie bały się kupić nawet sukienkę czy perfumy, choć pracowały i dobrze zarabiały.* Piotr, jej mąż od 40 lat, zawodowy plastyk, wcale taki nie jest, ale konta i tak założyli osobne. – *Mam dzięki temu poczucie niezależności* – mówi Jolanta. Zalety osobnych kont doceniają też Monika (inżynier) i Mirosław (emerytowany wojskowy), Małgorzata (nauczycielka) i Krzysztof (przedstawiciel handlowy), Elżbieta (dziennikarka) i Konrad (mechanik samochodowy), Monika (zatrudniona w pomocy społecznej) i Krzysztof (pracownik hurtowni). To pary, które różni stan cywilny (małżeństwa i związki nieformalne) i staż w związku (od trzech do 25 lat), ale łączy to, że nigdy nie rozmawiały o kontach i nie wspominają o żadnej traumie, a konta mają osobne, bo „tak było zawsze i nikomu to nie przeszkadza", jak to ujęła jedna z nich. Każda z tych par podkreśla, że osobne konto nie służy ukrywaniu pieniędzy i nie oznacza życia na własną rękę, bez odpowiedzialności za drugą osobę, rodzinę i wspólny majątek. Przeciwnie: ze szczegółami opisują, jak dzielą się wydatkami, żeby to „razem trybiło".

Nie mamy wspólnego konta, ale prowadzimy wspólny budżet – tak odpowiedziało 39 proc. Polek i Polaków w badaniu Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych z 2023 r. Niemal identyczny (40 proc.) jest odsetek tych, którzy uważają, że osobne konto jest dla pary lepsze (badanie Quality Watch dla Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor z 2022 r., próba badawcza: 1090 osób). Więcej jest wśród nich przedstawicieli związków nieformalnych (51 proc.) niż małżeństw (35 proc.), mężczyzn (42 proc.) niż kobiet (38 proc.), osób z wykształceniem zawodowym (43 proc.) niż wyższym (36 proc.), a także mieszkańców dużych miast. Zwolenników wspólnego rachunku w tym badaniu jest już tylko 20 proc. Rzeczników rozwiązań hybrydowych (konta osobne plus wspólne) jest 22 proc.

Hybrydowo: na wszelki wypadek

– *Gdy się poznaliśmy 20 lat temu, każde z nas miało oczywiście swoje konto. Cztery lata później się pobraliśmy, ale nie widzieliśmy powodów, żeby to zmieniać. Dopiero kredyt hipoteczny skłonił nas do założenia trzeciego, tym razem wspólnego konta* – opowiada Ewa, menedżer kultury. Dwa osobne konta i trzecie wspólne ma z partnerem również Aleksandra. Razem są od trzech lat, każde z nich prowadzi działalność gospodarczą. – *Działalność i własne wydatki finansujemy*

eprasa.pl 796dd59b18

z osobnych kont. Wspólne służy bieżącym opłatom, na które zrzucamy się po połowie. Tam też składamy się na większe wydatki, jak remont pokoju, naprawa auta czy wyjazd na wakacje.

W badaniu Quality Watch konto hybrydowe częściej popierają kobiety (25 proc.) niż mężczyźni (19 proc.). Kobiety częściej opowiadają się też za kontem wspólnym, ale nie dlatego, że same nie radzą sobie z wydatkami (według bazy informacji kredytowych BIK na trzech niepłacących zobowiązań mężczyzn przypadają dwie kobiety, do mężczyzn należy też aż dwie trzecie z 72 mld zł zaległości). – *Pieniądze są ważnym elementem codzienności w każdym związku, ale w gruncie rzeczy nie chodzi o nie, lecz o zaufanie, autonomię, wspólnotowość i siłę naszego „my". Innymi słowy, to, jak zarządzamy pieniędzmi, bardzo dużo mówi o tym, jak funkcjonujemy jako para* – mówi dr Julita Czernecka, socjolożka z Uniwersytetu Łódzkiego, autorka społecznościowych kanałów „Kody miłości".

Jak podkreśla, trudno z tego punktu widzenia autorytatywnie wskazać, czy lepsze dla związku są konta wspólne, osobne czy mieszane. – *Ważniejsze jest nie to, jakie konto mamy, ale jak je wybraliśmy. Jeśli wybór nastąpił za obopólną akceptacją i bez presji, poprawia to jakość naszej relacji. Istotne jest jeszcze to, żeby zachować prawo do korekty. Ustalenia z początku związku, gdy mąż i żona, partner i partnerka są np. świeżo po studiach i zarabiają podobnie, nie przystają do sytuacji, gdy kobieta rodzi dziecko, schodzi ze ścieżki awansu zawodowego albo całkowicie wypada z rynku pracy* – dodaje dr Czernecka.

Dr hab. Marta Olcoń-Kubicka z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, która analizowała ponad 320 wątków poświęconych tej problematyce na forach internetowych krajowych mediów, zauważa: „Wyraźne są zarówno lęki przed byciem wykorzystywanym finansowo przejawiające się wyliczeniami, ile każdy z partnerów wnosi do gospodarstwa domowego i w jaki sposób z niego korzysta, jak i frustracja związana z odczuwaniem nierówności ekonomicznej w związku". W pracy „Właściwe posługiwanie się pieniędzmi w bliskich relacjach" Marta Olcoń-Kubicka dowodzi, że kierując się emocjami i ukrytymi założeniami dotyczącymi tego, co jest „słuszne" lub „sprawiedliwe", ludzie dążą do kształtowania „moralnego porządku".

„Podział wydatków, wspólne lub osobne konto, stosunek do oszczędzania, inwestycji, ewentualne długi i kredyty to tematy obowiązkowe w każdym związku. Ustalanie satysfakcjonujących obie strony reguł pozwoli stworzyć solidne podstawy związku na każdym jego etapie" – to z kolei komentarz Grzegorza Pietraszkiewicza, radcy prawnego BIG InfoMonitor.

Z badania „Związek a finanse" wynika, że 59 proc. Polek i Polaków nie liczy proporcji podziału wspólnych pieniędzy w związku. 56 proc. regularnie rozmawia z partnerem lub partnerką o wspólnych finansach. To ważne także dlatego, że pieniądze są obok zdrady jedną z najczęstszych przyczyn rozwodów, a w Polsce rozstaje się (statystycznie) więcej niż co trzecie małżeństwo.

ZBIGNIEW BOREK

REKLAMA

GAZETA wyborcza

We wtorek 18 listopada w „Wyborczej" wyjątkowy kalendarz przyrodniczy

Świstak, żubr, foki, bociany, jelenie i wiele innych zwierzaków
z Puszczy Białowieskiej, gór i z ujścia Wisły
na zdjęciach Adama Wajraka



POLECA

SPONSOR
HOYA
FOR THE VISIONARIES

eprasa.pl 796dd59b18



Chrzest podczas kongresu świadków Jehowy na stadionie Legii w Warszawie

Ucieczka ze świata świadków

Rozmowa z Tulią Topą, autorką książki „Jak rozbiłam szkło”, o tym, jak się żyje w społeczności świadków Jehowy i jak się z niej odchodzi.

JOANNA PODGÓRSKA: **– Po lekturze pani wspomnień nasuwa się pytanie, nie dlaczego odeszła pani od świadków Jehowy, ale jak pani tak długo wśród nich wytrzymała?**

TULIA TOPA: – Dziś sporo młodych ludzi odchodzi wcześniej. Kończą 20 lat i wyrywają się z rodzinnego domu. Ja miałam 27. Co mnie trzymało? Wsparcie rodziców i chęć przypodobania się im. Ja i siostra nigdy nie byłyśmy chwalone za jakieś prywatne osiągnięcia, ale za działania w organizacji. Byli z nich dumni, wszystkim dookoła chwalili się naszymi postępami. Indoktrynacja u świadków Jehowy zaczyna się bardzo wcześnie. Na wyobraźnię dziecka mocno działa lęk przed Armagedonem i wizja raju dla wybranych, gdzie będziemy się bawić z miłymi tygrysami.



Trzeba trochę czasu, by się wyzwolić z tej doktryny. Dziś jestem już osobą niereligijną i wydaje mi się, że nigdy sama z siebie bym się takimi tematami nie zainteresowała. Po prostu w domu uczyłam się o tym od małego. Znałam zasady i doktryny, bo szkolili nas z tego kilka razy w tygodniu. Ale nie czułam do tego pasji. Mimo że zaczęłam głosić jako nastoletnia dziewczynka, nigdy nikogo nie pozyskałam dla zboru. Szybko sama zaczęłam mieć wątpliwości, ale je tłumiłam, bo brakowało mi odwagi, by porzucić całe dotychczasowe życie i stać się czarną owcą wytykaną palcami przez wszystkich, których się zna.

Pisze też pani o mechanizmach indoktrynacji polegających na demonizowaniu świata zewnętrznego i gloryfikowaniu świadków Jehowy. Jak to działa?

Z jednej strony wiedziałam, że jako dziecko mam pewne ograniczenia, np. dotyczące różnych szkolnych uroczystości, ale z drugiej – wmawiano mi, że dzięki

© JAN BIELECKI/EAST NEWS, WERONIKA KUŹMA

eprasa.pl 796dd59b18

temu jestem lepsza. Nie obchodzę urodzin czy świąt i w ten sposób nie zasmucam Jehowy. Na ludzi, którzy robią te rzeczy, Bóg patrzy z obrzydzeniem. Świadkowie bardzo często używają tego sformułowania, że pewne rzeczy są dla Boga obrzydliwe. Jestem zatem czystą perełką otoczoną ludźmi, którzy w oczach Boga są „obrzydliwi". Członkowie wspólnoty czują się lepsi; wybrani przez Jehowę.

Jak reagowali na to koledzy i koleżanki ze szkoły?

Dzieci bywają okrutne i zdarzało się, że mnie wyśmiewały, wytykały palcami. Miałam duży problem na przykład z wigilią klasową, bo zawsze było losowanie, komu się wręczy prezent. Mnie nie wolno było brać w tym udziału i wszyscy trochę dziwnie na mnie patrzyli. Bardzo chciałam zrobić komuś prezent i było mi strasznie przykro. Musiałam jednak twardo stać po stronie organizacji i udawać, że jest mi z tym dobrze. Gdy ktoś w klasie obchodził urodziny i śpiewano „Sto lat", zaciskałam usta. W pamięć zapadły mi imprezy andrzejkowe. Nauczycielki organizowały wtedy świetne zajęcia, a ja nie mogłam zostać. Czasem autobus do domu miałam trochę później i tylko patrzyłam przez szybę, jak dzieciaki dobrze się bawią.

Były ograniczenia dotyczące stroju?

Tak. Wiecznie słyszałam, że trzeba się zakrywać, no bo to my, kobiety, jesteśmy dla mężczyzn pokusą i bardzo często, jeżeli do czegoś niestosownego dochodzi, to jest głównie wina kobiety, bo to ona kusi. Niezbyt dokładnie się zakryła, odsłoniła dekolt czy kolana. Wychowywana w ten sposób miałam spory problem z zaakceptowaniem swojego dojrzewającego ciała. Nie lubiłam go, bo słyszałam ciągle, że jest grzeszne. Nosiłam luźne, za duże ubrania, żeby je ukryć. Na zebraniach świadków obowiązywały oczywiście spódnice i sukienki za kolano. Nigdy ich nie lubiłam i wyrzuciłam je wszystkie z szafy, gdy tylko odeszłam.

Wymagania wobec pani były jeszcze bardziej wyśrubowane, bo rodzice byli „na przywileju". Co to właściwie znaczy?

Mój tata był starszym w zborze; przed długi czas jedynym. Miał najwięcej obowiązków: przewodniczył zebraniom, organizował głoszenia, odwiedzał słabszych braci, by wspierać ich w wierze. Mimo że miał rodzinę i pracował na pełen etat, zawsze był do dyspozycji organizacji. I był stawiany jako przykład, bo organizacja chciała, aby wszyscy się tak mocno angażowali. Przykładna i posłuszna miała też być jego rodzina, bo ona o nim świadczy. Nigdy nie sprawiało mi przyjemności wygłaszanie komentarzy na zebraniach. To zresztą nie jest obowiązkowe, ale dla mnie – córki starszego – było. Musiałam publicznie pokazać, że się przygotowałam i mam coś do powiedzenia. No i ja się do tego zmuszałam w każdą niedzielę.

Jako pierwsze poważne pęknięcie opisuje pani historię z „nielegalnym" chłopakiem. Jak to było?

To było moje pierwsze poważne zetknięcie ze światem, o którym świadkowie mówią, że jest gorszy. Ludzi stamtąd nazywają „światusami". Wielokrotnie słyszałam, że lepiej jest wyjść za mąż za najgorszego świadka niż najlepszego światusa. Gdy poznałam swojego światusa, mieliśmy po 16 lat. Okazał się zupełnie inny od tego, co słyszałam na zebraniach. Ostrzegano mnie, że chłopcy z zewnątrz będą mnie zaraz namawiać do seksu, zmuszać do różnych rzeczy. A on był człowiekiem, który chciał mnie słuchać, był ciekawy, co mam do powiedzenia, także na temat mojej religii. Wymienialiśmy się poglądami zawsze z szacunkiem, nawet gdy się nie zgadzaliśmy. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Mieliśmy wspólne pasje, muzykę, filmy. Nigdy wcześniej nie znałam osoby, z którą mogłam tak szczerze i wprost rozmawiać. W znajomościach ze zboru trzeba filtrować informacje. Gdy obejrzałam jakiś film czy słuchałam muzyki, musiałam przemyśleć, czy na pewno mogę powiedzieć o tym koleżance ze zboru, bo może na mnie doniesie. A z nim mogłam po prostu być sobą. To była pierwsza relacja, gdy ktoś szanował mnie za to, kim jestem, a nie za to, co robię dla organizacji.

Zmuszono panią do zerwania z tym chłopcem?

Tak. Spotykaliśmy się przez dwa lata. Najpierw jako przyjaciele, a później przerodziło się to w relację romantyczną. W końcu rodzice nas nakryli i nastąpiła długa seria wieczornych rozmów, często przeciągających się do północy albo dłużej. Ja płakałam, a oni tłumaczyli mi, jak złe jest moje zachowanie i jak bardzo się Bogu nie podoba. W pewnym momencie chyba im po prostu uwierzyłam, bo kiedy zerwałam z tym chłopcem, poczułam, że ciężar spadł mi z serca. Już nie czułam się niewierna, ale znowu czysta. Nie jest łatwo utrzymywać znajomości z ludźmi spoza zboru, bo działa kontrola totalna. Współwyznawcy to rodzaj mobilnego monitoringu. Zbory są niewielkie i wszyscy się znają z zebrań. A na zebraniach zachęca się ludzi, żeby się odwiedzali w domach, spędzali ze sobą jak najwięcej czasu, bo wtedy zostaje go mało na kontakty poza organizacją. Wokół ma się więc sporo znajomych mieszkających w pobliżu. Jak się wychodzi do pracy, na zakupy czy do fryzjerki, to ciągle się kogoś mija. Każdy wie, gdzie kto idzie, co kto robi i z kim. To charakterystyczne, że świadkowie Jehowy bardzo mocno się tłumaczą. Jeżeli umówisz się z kimś do służby na środę i dzwonisz rano, mówiąc: „Sorki, nie mogę iść z tobą, bo coś mi wypadło", to to nie przejdzie. Zawsze trzeba otwarcie, wręcz wylewnie, opowiedzieć, jaki jest powód. Żeby, na wszelki wypadek, było jasne, że nie robię nic złego. To mi trochę zostało do dziś – czasami za bardzo się tłumaczę.

Świadkowie Jehowy to niejedyne wyznanie, które ma obsesję na punkcie seksualności, ale w małej społeczności chyba łatwiej o kontrolę?

Te kwestie są traktowane bardzo restrykcyjnie. Ktoś, kto kontroluje tę najbardziej intymną sferę, zarządza całym życiem człowieka. A świadkowie potrafią kontrolować nawet to, co ktoś robi za zamkniętymi drzwiami w swoim pokoju, kiedy nikogo wokół nie ma.

Jakim cudem?

Bo wyznawcy są tresowani do życia w umysłowej klatce. I to działa lepiej niż kamery. Wmawia się wiernym, że jeżeli ktoś grzeszy, np. oglądając pornografię, i się do tego nie przyzna, to zginie w Armagedonie. Jedyną szansą dla takiego grzesznika, żeby Bóg go ułaskawił i nie pozbawił życia wiecznego, jest przyznanie się starszym do winy. To upokarzające doświadczenie, więc wielu stara się zachować wstrzemięźliwość na wysokim poziomie. Mają to tak mocno wdrukowane, że jak np. w czasie filmu dochodzi do zbliżenia bohaterów, natychmiast wyłączają telewizor. Donosy na niemoralne zachowania współmałżonków to wśród świadków norma. Ale normą są też samodonosy. Ludzi tak przeraża wizja Armagedonu, że już wolą iść do starszych i przyznać się do grzechu.

Czy to właśnie znaczy „mieć komitet"?

Tak. Gdy ktoś chce przyznać się do grzechu lub ktoś inny na niego doniesie, staje przed obliczem komitetu złożonego z trzech starszych mężczyzn. Wypytują ▶

eprasa.pl 796dd59b18

▶ dokładnie o wszystkie, nawet najbardziej intymne i krępujące detale. I starają się zweryfikować, czy taka osoba żałuje, że zgrzeszyła. Jeśli nie, może się to skończyć wykluczeniem ze wspólnoty. Przed taki komitet może być wezwana nawet zgwałcona nastolatka i potraktowana jak winna, bo może znalazła się w nieodpowiednim miejscu albo jakoś sprawcę sprowokowała. Moja koleżanka miała podobną sytuację. Jako 18-latka stała się ofiarą molestowania seksualnego podczas imprezy. A ponieważ była to impreza ze światusami, a ona piła alkohol, została uznana za współwinną i otrzymała karę. Nie wykluczono jej, bo grzecznie odpowiedziała na wszystkie te obleśne pytania, ale została publicznie upomniana.

Pani miała komitet?

Nie, ja się bardzo przed tym broniłam ze względu na mojego tatę. Wiedziałam, że przywilej bycia starszym jest dla niego niezwykle ważny. Gdyby się okazało, że jego córka grzeszy, toby go tego pozbawili. Sama niespecjalnie obawiałam się komitetu, bo co by mi zrobili? Ogłosili z podium, że zostałam upomniana, okazałabym skruchę i pewnie żadnej innej kary by nie było. Ale tata mógł oberwać – stracić stanowisko starszego, a ja się bałam, że on by mi tego nie wybaczył. Wolałam zataić grzech przed komitetem i zginąć w Armagedonie, niż żeby tata stracił przywilej.

Mimo tak restrykcyjnych zasad wstrzemięźliwości świadkowie Jehowy nie uniknęli skandali związanych z molestowaniem dzieci.

Największa afera wybuchła w 2015 r. w Australii, gdy ogłosiła swój raport Królewska Komisja badająca wykorzystywanie seksualne dzieci w instytucjach; nie tylko w Kościele katolickim, ale też kilkudziesięciu innych związkach wyznaniowych. Wśród świadków Jehowy ujawniono 1,8 tys. przypadków molestowania seksualnego dzieci i dowody na systemowe ukrywanie takich praktyk. Ma to związek z zasadą dwóch świadków grzechu. Gdybym np. poszła na panią poskarżyć, to nie będzie pani miała komitetu, dopóki ktoś jeszcze nie potwierdzi, że zrobiła pani coś złego. Gdy dziecko zgłaszało, że ktoś je seksualnie skrzywdził, to nie działo się nic, dopóki nie zgłosiło się drugie dziecko i wskazało na tego samego sprawcę. Chyba że on sam się przyznał, ale który pedofil się przyznaje. W ten sposób zamiatano sprawy pod dywan. O zgłaszaniu ich na policję w ogóle nie było mowy. A pewne praktyki świadków, można powiedzieć, sprzyjają molestowaniu. Małe dziewczynki wysyłane są np. do głoszenia ze starszymi, obcymi mężczyznami. Dobry zwyczaj wymagał, żeby przynajmniej raz w miesiącu pójść ze starszym do służby, żeby się od niego uczyć. Mam wrażenie, że teraz trochę przyhamowali z tymi praktykami, bo australijski raport to jednak był szok. W mediach szeroko opisywane są różne inne przypadki wykorzystywania dzieci przez świadków Jehowy. Jeden z nich, który poruszył mnie najdotkliwiej, dotyczył niepełnosprawnej dziewczynki molestowanej od 7. do 12. roku życia. Organizacja świadków Jehowy płaci ogromne odszkodowania ofiarom w USA, które zdecydowały się zawalczyć i ujawnić te techniki świadków – niestety, wierni nie mają o tym zielonego pojęcia.

Jak to możliwe?

Mamy kolejną pułapkę. Od początku są uczeni, że każda negatywna informacja o świadkach Jehowy to kłamstwo i wymysł szatana. I kropka. Są uczulani, żeby w momencie, gdy na coś takiego trafią, zamknąć stronę, wyłączyć telewizor, nie oglądać, nie czytać. Sama tak robiłam. Ale ta australijska sprawa jakoś się do mnie przebiła i zadziałała jak czynnik spustowy, żeby odejść.

Apostazja w Kościele katolickim to w porównaniu z opuszczeniem zboru, można powiedzieć, wesoła zabawa. Jak pani to przeżyła?

Początek był bardzo ciężki. Jakby walił się cały świat. Człowiek uświadamia sobie, że był nieustannie okłamywany w ważnych sprawach, wykorzystywany. Traci się zaufanie do ludzi, zaczyna wątpić w całe swoje życie. Ja też zastanawiałam się, kim właściwie jestem. Czułam się cała zbudowana z klocków świadków Jehowy i wątpiłam, czy jest we mnie coś, co jest tylko moje. To mnie doprowadziło do dość ciężkich stanów depresyjnych. Potrzebowałam czasu i terapii, by wszystko na nowo poukładać sobie w głowie. Odejście to także utrata kontaktu z rodziną, bo od dziecka, które odeszło, rodzice nie powinni nawet odbierać telefonu. Mnie pomógł kontakt z siostrą. Nie wiedząc o sobie nawzajem, obie niemal w tym samym czasie opuściłyśmy świadków Jehowy. Jak już się dowiedziałyśmy, to bardzo mocno wspierałyśmy się w tym procesie. To bardzo pomogło mi stanąć na nogi. Miałam z kim o tym rozmawiać, miałam bliską osobę, z którą mogłam to wszystko przeżywać. I z dnia na dzień było coraz lepiej. Człowiek zaczyna odkrywać swoją tożsamość, swoje pasje, robi wreszcie coś dla siebie, a nie dla organizacji. Życie zaczyna być bajkowe.

Dla wielu odejście to utrata nie tylko rodziny, ale też pracy.

Często tak bywa. Zbór to mała zżyta społeczność, która wzajemnie się wspiera. I bardzo wiele osób pracuje u innych współbraci. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale chyba w każdym zborze w Polsce jest świadek Jehowy, który ma firmę sprzątającą. Ja też przez pierwsze lata tak pracowałam. Sprzątałam klatki schodowe, biura, myłam okna. Odchodząc, oczywiście traci się tę pracę, bo wspólnota zaleca ostracyzm totalny – zrywa się wszystkie kontakty, nie podaje ręki, udaje, że człowiek nie istnieje. W Norwegii sąd uznał, że taki ostracyzm narusza prawa człowieka, m.in. prawo do swobodnej rezygnacji z przynależności religijnej. Władze zdecydowały o cofnięciu rejestracji prawnej świadków Jehowy i odebrały im wielomilionową dotację. Pod presją nieco złagodzono zasady. Wielka Brytania, Szwecja, Hiszpania – to kolejne kraje, które najpewniej w najbliższych latach zaczną coraz głębiej przyglądać się praktykom świadków Jehowy i wyciągać konsekwencje. Temat robi się coraz głośniejszy. Świadkowie zaczynają być postrzegani jak sekta, której nie należy się status prawny ani państwowe dotacje.

Coś w pani jeszcze zostało po latach życia we wspólnocie?

W moim życiu nastąpiło wiele pozytywnych zmian, już nie obwiniam się za oglądanie horrorów, które są zakazane dla świadków, stawiam swoje życie na pierwszym miejscu i poświęcam wolny czas sobie i najbliższym, a nie wykorzystującej mnie organizacji. Ale w psychice czasami nadal coś tkwi. Bywa, że wraca do mnie głębokie poczucie winy albo poczucie, że jestem niewystarczająca. Gdy mam gorszy dzień albo coś mi nie wyjdzie, bardzo mocno siebie oceniam. Latami, na zebraniach i w domu, powtarzano nam jak mantrę, że jesteśmy niegodni miłości bożej; że ta miłość to niezasłużony prezent. To się wryło w głowę. Cały czas pracuję nad tym na terapii. Mam wsparcie przyjaciół, robię postępy. Od odejścia minęły już cztery lata. Stałam się nowym człowiekiem.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl 796dd59b18

Co trapi psychoterapię

Już prawie rok trwa zawierucha związana z uregulowaniem zawodów psychoterapeuty i psychologa. Ludzie zajmujący się zdrowiem psychicznym prowadzą między sobą zażartą wojnę: apele, wnioski, stanowiska i gorące wystąpienia na forach sejmowych i internetowych. O co chodzi?

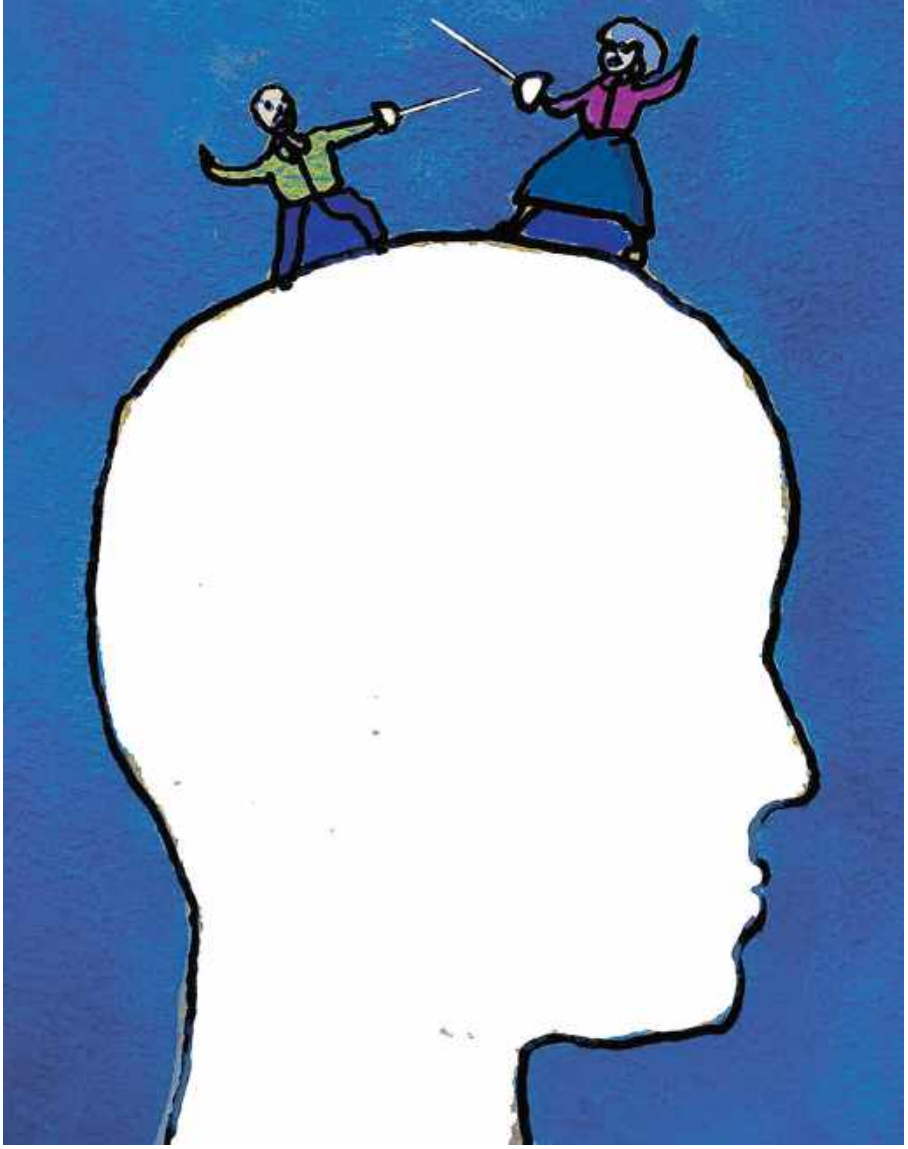

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

EWA WILK

Według deklaracji wszystkim stronom toczącej się od lutego tego roku batalii chodzi o to samo: o dobro pacjentów, którzy coraz pilniej i liczniej poszukują pomocy w gabinetach psychoterapeutów. Wiadomo bowiem powszechnie, że do tej profesji zakradły się osoby bez nijakich certyfikatów albo z wątpliwymi papierami. W branży zapanowała nie tyle wolność, ile swawola rynkowa, a pacjenci padają niekiedy ofiarami błędów i nadużyć, na które nie mają komu się poskarżyć. Więc trzeba, by była to pomoc fachowa, oparta na podstawach naukowych i poparta odpowiednim wykształceniem podyplomowym, o czym musi zaświadczać powszechnie uznawany certyfikat zawodowy. Powinien powstać kodeks etyczny zawodu psychoterapeuty oraz sądownictwo zawodowe na wzór lekarskiego.

Wczesną wiosną tego roku do laski marszałkowskiej wpłynęły dwa projekty ustaw motywowane takimi właśnie intencjami: o zawodzie psychologa i o zawodzie psychoterapeuty. Projekt dotyczący psychologów ma charakter rządowy; wniosła go Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Ten psychoterapeutyczny ma status poselskiego; pracowali nad nim przez dwa lata przedstawiciele 38 stowarzyszeń psychoterapeutycznych przy wsparciu m.in. krajowego konsultanta ds. psychoterapii. Nadzór nad psychoterapeutami sprawowałby resort zdrowia.

W potocznej świadomości psycholog i psychoterapeuta jawią się jako zawody, jeśli nawet nie tożsame, to bardzo do siebie zbliżone. Sprawa nie przedstawia się jednak tak prosto. Dziś teoretycznie jest tak: magister psychologii (z dodatkiem kliniczna) może zdiagnozować problemy pacjenta, udzielić mu porady, pospieszyć z tzw. interwencją kryzysową, przy użyciu odpowiednich testów określić osobowość, jednakże bez podyplomowo zdobytych kwalifikacji terapeuty nie powinien brać się do terapii. Podobnie jest z lekarzami psychiatrami: by prowadzić psychoterapię, też muszą zdobyć odpowiednie kompetencje. ▶

eprasa.pl 796dd59b18

▶Jednocześnie, by terapeutyzować, niekoniecznie trzeba być magistrem psychologii czy medykiem. Liczne szkoły i centra prowadzą – oczywiście płatne – kursy w założeniu, że zawód ten mogą uprawiać np. magistrowie politologii czy etnografii równie dobrze jak psycholodzy, pedagodzy czy lekarze psychiatrzy (zresztą właśnie psycholodzy i lekarze stanowią 70–80 proc. praktykujących psychoterapeutów). Problem w tym, że gabinet z szyldem „Psychoterapia" może otworzyć praktycznie każdy, bez żadnego przygotowania, certyfikatu, doświadczenia. Jak powiadają sami psychoterapeuci, panuje tu wolna amerykanka. Są niezwykle wyczuleni na każdy ślad krytyki ich zawodu, podkreślają, że nie wolno ich wszystkich wrzucać do jednego worka z etykietą „szarlatani". Ale muszą widzieć, jak taka sytuacja obniża rangę i zaufanie do ich zawodu, nie mówiąc już o tym, jak wygląda bezpieczeństwo pacjentów.

O konieczności ujęcia całej sfery z przedrostkiem psycho- w ryzy prawne mówiło się od 30 lat. Wreszcie istotna część środowiska psychoterapeutów (owe 38 stowarzyszeń) zmobilizowała się, stworzyła grupę roboczą i przedstawiła projekt aktu dotyczącego ich fachu. Jednocześnie część psychologów zaangażowała się w projektowanie ustawy o psychologach (ten rządowy). Miały one być kompatybilne. Dziś można mówić o pełnoskalowej wojnie z użyciem bogatego arsenału: wspomnianych stanowisk i apeli, ale też pospolitego internetowego hejtu. Niewykluczone, że niektóre starcia skończą się na salach sądowych z paragrafów o ochronę dóbr osobistych.

Precyzyjne rozrysowanie pola walki nie jest łatwe. Dla jasności wywodu dalej stronę projektodawców ustawy o zawodzie psychoterapeuty nazywać będziemy Grupą 38, a ich oponentów – Kontestatorami. Zaznaczmy wyraźnie – żaden z tych obozów nie skupia ani wszystkich psychoterapeutów, ani wszystkich psychologów. Liczni psychoterapeuci, zwłaszcza z nurtu behawioralno-poznawczego, są Kontestatorami, tak jak liczni spośród nich oraz psycholodzy pozytywnie oceniają wysiłki Grupy 38.

Symetrii w tej wojnie nie ma – to strona G38 czuje się tą agresywnie, niesprawiedliwie atakowaną, również w sensie napaści ad personam. Sytuują się tu niestrudzeni współautorzy i rzecznicy projektu ustawy psychoterapeutycznej, m.in. Anna Grzelka, psychoterapeutka (z pierwszego wykształcenia prawniczka), oraz Łukasz Müldner-Nieckowski, krajowy konsultant do spraw psychoterapii, dr nauk medycznych, psychiatra, psychoterapeuta, seksuolog. Za nimi stoją takie sławy polskiej psychologii, jak prof. Bogdan de Barbaro, prof. Lidia Cierpiałkowska (związana z UAM i Uniwersytetem SWPS) czy dr hab. Joanna Zajenkowska (Centrum Terapii Dialog).

Druga strona – Kontestatorzy – też ma swoich utytułowanych sojuszników; to np. prof. Wojciech Dragan (UJ, przewodniczący Komitetu Psychologii PAN), prof. Przemysław Bąbel (UJ) czy dr hab. Agnieszka Popiel (Uniwersytet SWPS – kieruje tam podyplomowym studium psychoterapii, kształcącym w nurcie behawioralno-poznawczym od 2000 r.). Regularnego wsparcia udzielają tej stronie m.in. zarząd główny Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, zarząd główny najliczniejszego spośród wszystkich branżowych Towarzystwa Psychoterapii Behawioralno-Poznawczej czy Koalicja dla Psychoterapii, złożona z naukowców kilku czołowych uczelni wykładających psychologię.

Poniekąd ten podział nakłada się na prace nad obiema ustawami w podkomisjach sejmowych, przerywane raz po raz rozmaitymi incydentami, których echa docierają do zdezorientowanej opinii publicznej. Oto np. psycholodzy nie chcą wpuścić psychoterapeutów na obrady poselskiej podkomisji do spraw psychologów. Oto zjednoczone siły Kontestatorów wystosowują apel do ministry zdrowia, by natychmiast odwołała konsultanta krajowego psychoterapii, zarzucając mu, że zbyt solidaryzuje się z... psychoterapeutami. Na to odpowiada kontrapelem G38, by nie odwoływać, gdyż wniosek Kontestatorów to „bezprzykładna dewaluacja" zasług konsultanta i wysiłków grupy roboczej oraz dyskredytacja wszystkich – poza behawioralno-poznawczym – podejść psychoterapeutycznych. (Projekt 38 uznaje jeszcze humanistyczno-doświadczalne, integracyjne, wielomodalnościowe, psychoanalityczne i psychodynamiczne oraz systemowe).

Oto w projekcie ustawy o psychologach pojawia się art. 23, wedle którego magister psychologii może prowadzić działalność psychoterapeutyczną po uzyskaniu uprawnień regulowanych odrębnymi przepisami. Tyle że żadnych takich przepisów nie ma i nie będzie, dopóki nie powstanie ustawa o zawodzie psychoterapeuty. Psychoterapeuci z G38 podnoszą alarm, że psycholodzy tylnymi drzwiami wprowadzają sobie wyłączne prawo do uprawiania zawodu.

Choć forma dyskusji nad całą tą sferą niekiedy żenuje – wszak toczą ją specjaliści od poprawnej komunikacji i relacji międzyludzkich – to problem nie jest niepoważny. Rzecz w fundamentalnej kwestii: dostępu do tego wyjątkowego zawodu. Wymaga on – to jasne – kwalifikacji nie tylko merytorycznych, lecz także osobowościowych, etycznych, swego rodzaju powołania.

Strony konfliktu różnią się zasadniczo w odpowiedzi na pytanie, czy psychoterapia jest leczeniem, czy też bywa „działaniem niemedycznym", czyli wsparciem w życiowych problemach, pomocą w takim zbudowaniu sobie życia przez pacjenta (klienta?), by było ono znośne w dzisiejszym zwariowanym świecie, rodzajem duchowej profilaktyki. Kontestatorzy stoją na stanowisku, że terapia to terapia w sensie ścisłym, G38 – że nie zawsze jest ona leczeniem ewidentnych zaburzeń zdrowia psychicznego.

W konsekwencji Kontestatorzy twierdzą, że nikt bez akademickiego dyplomu psychologa, medyka lub pedagoga nie ma właściwej bazy do uprawiania zawodu psychoterapeuty. G38 – że w toku proponowanych przez nich długotrwałych szkoleń i staży pod okiem doświadczonego mistrza, w akredytowanym przez któreś ze stowarzyszeń ośrodku, również absolwenci innych kierunków mogą z powodzeniem zdobyć odpowiednie kompetencje i po kilku latach certyfikat do terapeutyzowania, ważne – zawsze pod okiem superwizora.

Za psychoterapeutami z grupy G38 stoi poważny argument: społeczny popyt. W samych tylko 1070 placówkach zakontraktowanych przez NFZ leczono w 2024 r. 880 tys. osób (dwa lata wcześniej niewiele ponad 300 tys.). Prywatnych gabinetów jest kilkanaście razy więcej. Według badań SW Research (na zlecenie kliniki.pl) w ciągu ostatnich pięciu lat kontakt z terapeutą miało 6,5 mln Polaków – co piąta osoba spośród nas. Ok. 2 mln chciałoby się zgłosić po pomoc, ale prywatna wizyta nie jest na ich kieszeń.

Psychologów kształci się co prawda na potęgę: dziś studiuje ten kierunek

eprasa.pl 796dd59b18

82 tys. osób, podczas gdy w 2019 r. – 34 tys.; sześć lat temu oferowano dyplomy w 144 szkołach wyższych, dziś – w 252. Ale zdaniem G38 to i tak za mało, by odpowiedzieć na wszystkie potrzeby społeczne, wszak nie wszyscy absolwenci zabiorą się do terapii. Jednocześnie jednak w ich mniemaniu uczelnie kształcące psychologów obawiają się odpływu chętnych, a gwarancja, że tylko magister psychologii może być terapeutą, dawałaby im pewną przyszłość.

Kontestatorzy odrzucają te spekulacje, twierdząc, że ich jedyną intencją jest oparcie psychoterapii na nowoczesnej wiedzy psychologicznej; na badaniach, które weryfikują skuteczność rozmaitych metod (szkół) w odniesieniu do rozmaitych problemów psychicznych ludzi. Chcą wyeliminować z tej działalności metody zdezaktualizowane, bliższe wiedzy poppsychologicznej niż tej akademickiej.

Psychoterapeuci skupieni wokół G38 zamierzają stworzyć swój własny zawodowy samorząd, sądownictwo, powszechnie dostępną listę certyfikowanych specjalistów. Mówią, że trwająca od miesięcy batalia upuszcza im krwi: osoby, które zgłaszały gotowość do pracy nad tymi projektami, tracą zapał. Ich zdaniem Kontestatorzy są pod ogromnym wpływem behawiorystów, którzy chcieliby, żeby tylko ich szkoła była uznawana, i dążą do monopolizacji całej profesji.

Z kolei Kontestatorzy zarzucają psychoterapeutom z G38, że tak naprawdę zamierzają oni zakonserwować obecny chaos, lekko go tylko pudrując ustawą.

Spór, którego areną są Sejm i sieć, osiągnął taką temperaturę, że niektórzy jego uczestnicy kwestionują w ogóle istnienie zawodu psychoterapeuty. (Wykonuje go obecnie co najmniej 15 tys., według niektórych szacunków – nawet 22 tys. osób; ile dokładnie, nie wie nawet GUS, bo działalność tę można rejestrować pod rozmaitymi kodami – od lecznictwa po edukację). Pogubili się w tym liczni szeregowi psychoterapeuci, którzy np. należą do Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, a w nim – do sekcji psychoterapii nie bardzo zgodnej z zarządem głównym. Podobnie ma się rzecz z behawiorystami – niektórzy popierają projekt G38 wbrew stanowisku zarządu swego stowarzyszenia.

Cóż dopiero z tego wszystkiego mają zrozumieć pacjenci? Naturalnie nasuwa się tu na myśl bon mot, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Kiedy rozmawia się z rzecznikami obu stanowisk, trudno odnieść wrażenie, by byli to cyniczni lobbyści usiłujący zarezerwować sobie i swoim zwolennikom dostęp do zysków z tej już intratnej, a jakże przyszłościowej branży. Przeciwnie, to osoby zrównoważone, logiczne, ponadprzeciętnie zaangażowane w działalność pro bono. Kiedy jednak rozmowa schodzi na zachowania i intencje oponentów, pojawiają się emocje. Krótko: jedni drugich oskarżają o bezwzględną walkę o kasę.

Bo w grę wchodzą tu poważne zyski. To oczywiście opłaty pacjentów za wizyty: 150–300 zł za 50 min; im większe miasto – tym drożej; im bardziej wzięty specjalista – tym jeszcze drożej, nawet



500 zł. Od pary bierze się góra 400 zł, tyle samo od rodziny. Jeden pacjent odbywa 10–20 sesji. Ile zatem zarabia psychoterapeuta „na swoim"? Zależy od jego „wydajności": cztery, sześć sesji dziennie – tu przebiega, jak powiadają praktycy, granica jego własnej wytrzymałości psychicznej. Ponadto w tej arytmetyce trzeba uwzględnić koszty, lecz w nich z kolei – wielość przysługujących ulg podatkowych. Można np. tak: założyć gabinet bez żadnych certyfikatów, zacząć je dopiero zdobywać, a czesne w prywatnym ośrodku wpuścić w koszty z tytułu „podnoszenia kwalifikacji".

I tu dopiero kryją się zyski, co się zowie – czesne z owych kursów i szkoleń, dostępnych niemal wyłącznie na rynku komercyjnym (przedstawiciele zawodów medycznych mogą zdobyć uprawnienia na drodze specjalizacji lekarskiej, ale muszą to potem odpracować w publicznej ochronie zdrowia).

Np. w Szkole Psychoterapii Dialog (podejście systemowo-integracyjne) za każdy z ośmiu semestrów płaci się po średnio 10 tys. zł. Rok nauki w czteroletniej szkole Uniwersytetu SWPS (behawioryści) kosztuje 15,9 tys. zł. Sesje na żywo odbywają się raz, dwa razy w miesiącu, reszta to zajęcia online. To powszechnie stosowana formuła – można się domyślać, że eliminuje ona sporą część kosztów. Na rynku puszczonym na zupełny żywioł mogą się zatem pojawić zawodowi amatorzy, którzy zaoferują chętnym do zawodu „certyfikat" za mniejsze pieniądze i w krótszym czasie. Takie „autorskie", nieoparte na żadnym uznanym nurcie, paraszkoły funkcjonują już dziś.

Teraz w ogniu dyskusji pojawiły się kolejne problemy: kto byłby upoważniony do przeprowadzania egzaminu końcowego, na podstawie którego udzielano by dostępu do zawodu? Kontestatorzy stoją na stanowisku, że powinien to być egzamin państwowy. G38: tak, ale pod warunkiem że poszczególne stowarzyszenia będą mogły delegować (wskazywać) część egzaminatorów z grona uznanych praktyków tego zawodu. I zgryz następny: skoro oba zawody miałyby osobne samorządy, to co z psychologami-psychoterapeutami? Mieliby podlegać obu organizacjom i obu sądownictwom?

Nie wygląda na to, że sprawa psychoustaw szybko znajdzie finał. Zaangażowani w nią posłowie też padają ofiarami ataków, internetowego hejtu. Najgorsze, że obecna wojna nerwów może się skończyć niczym. Jeśli bowiem nawet obie ustawy da się pogodzić, przepuścić je przez młyny sejmowe i senackie, to na końcu zawiśnie nad nimi – wiadomo – długopis prezydenta. Jego stanowisko wobec rozmaitych inicjatyw dla poprawy zdrowia psychicznego naszego społeczeństwa (np. stosunek do przedmiotu edukacja zdrowotna) nie wróży łatwej przeprawy.

A my – obecni i potencjalni pacjenci? Ciągle przy wyborze specjalisty musimy polegać na rutynowych, ale jakże zawodnych metodach: poczcie pantoflowej oraz własnych próbach i błędach. A jeśli ktoś padnie ofiarą błędu czy nadużycia? To padnie.

EWA WILK

eprasa.pl 796dd59b18

Byle wydać

60 mld euro z Krajowego Planu Odbudowy musimy wydać do sierpnia przyszłego roku. Raczej się nie uda. Największą barierą jest niesprawność administracji.



ILUSTRACJE **MARCIN BONDAROWICZ**

JOANNA SOLSKA

Dobrze radzą sobie Włochy, które do sierpnia 2025 r. wykorzystały już 140 mld euro, czyli 72 proc. przyznanych środków. Tuż za nimi są Hiszpania i Portugalia, które do realizacji KPO przystąpiły dużo wcześniej niż Polska. Nasz plan wydatków został zatwierdzony przez Komisję Europejską dopiero 1 czerwca 2022 r., potykaliśmy się o niezrealizowane do tej pory kamienie milowe, zwłaszcza w wymiarze sprawiedliwości. Zmarnowanego przez PiS czasu nie da się odrobić. Podobnie jak już zmarnowanych pieniędzy.

eprasa.pl 796dd59b18

Jeszcze w 2022 r. Ministerstwo Rolnictwa, kierowane wtedy przez Henryka Kowalczyka, zabrało się do rozdzielania 5,57 mld zł „na dywersyfikację i skracanie łańcuchów dostaw produktów spożywczych i odporności". Pierwszy nabór beneficjentów zakończył się już w listopadzie 2022 r., prowadziła go Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Niestety, do tej pory nie możemy się dowiedzieć, kto dostał środki i na co. Nie są w stanie dowiedzieć się tego eksperci, choć pełna informacja powinna być w internecie. Zamiast niej dostajemy komunikat, że „mapa jest w trakcie aktualizacji". Wśród ekspertów krążą pogłoski, że związane z rolnictwem małe i średnie przedsiębiorstwa oraz rolnicy dostawali wsparcie na cele niemające nic wspólnego z tymi, które chce finansować KPO, np. na wymianę tyczek chmielowych czy pokryć dachowych. Nie można też wykluczyć, że prawdziwym celem rozdzielenia tak ogromnych pieniędzy były zbliżające się wybory. Nowy rząd nie próbował się temu naborowi przyjrzeć.

Kolejne pieniądze akonto KPO zaczął w 2023 r. dzielić wicepremier Jacek Sasin jako minister aktywów państwowych rządu PiS. W czerwcu ogłosił listę projektów strategicznych, których wykonawcami miały być wyłącznie spółki kontrolowane przez państwo, takie jak PGE, Enea, Tauron, Energa, a także Łucznik, Mesko, Poczta Polska, Stocznia Wojenna, PGZ. Na dofinansowanie projektów przeznaczono miliard złotych. O tym, jakie to będą projekty i dlaczego tylko państwowe (skoro np. z dronami akurat radzą sobie prywatne), nikt z organizacjami biznesowymi nie rozmawiał.

Duże firmy prywatne mogły wystartować dopiero w konkursie ogłoszonym 5 lipca 2023 r. – o środki na robotyzację, automatyzację i cyfryzację. Preferowano te, które zadeklarowały, że planowane inwestycje zakończą do grudnia 2024 r. Na wsparcie programu MAP przeznaczyło drugi miliard złotych, ponad pięć razy mniej niż na wsparcie małej i średniej przedsiębiorczości rolnej. Chętnych zgłosiło się na 4 mld, wpłynęło 260 wniosków (najczęściej na zakup nowych linii produkcyjnych i robotów). W tym od największych spółdzielni mleczarskich Mlekovita i Mlekpol, a także od prywatnego przetwórcy mleka Polmlek. Projekty modernizacyjne zgłosiły Sante, Cersanit, Gerda. Do końca kadencji, czyli przez półtora roku, rząd PiS nie uporał się jednak z wyłonieniem beneficjentów. Rozstrzygnięciem konkursu zajął się już nowy rząd, któremu zajęło to kolejne 10 miesięcy, umowy z beneficjentami podpisano dopiero pod koniec 2024 r. I tak dwa lata zostały zmarnowane. Firmom na realizację planów zostawiono więc mniej czasu, niż Ministerstwo Aktywów Państwowych zmitrężyło na wyłonienie adresatów dotacji.

Pieniędzy starczyło na wsparcie dla 61 projektów. Niektórzy, jak Wielton SA, z części wsparcia zrezygnowali ze względu na zbyt krótki czas realizacji projektów. – *Nawet jednak ci, którzy zdążyli z wykonaniem inwestycji, do tej pory nie powąchali jeszcze ani złotówki* – twierdzi Łukasz Kościjańczuk z firmy doradczej CRIDO. Ministerstwo Aktywów Państwowych przed wypłatą należnych pieniędzy przeprowadza w firmach audyty, czy nie było po drodze żadnych nieprawidłowości. Te audyty trwają do tej pory, jakby kontrolujący po aferze z pieniędzmi dla branży HoReCa bali się je zakończyć, żeby czegoś nie przeoczyć. Eksperci alarmują, że przedsiębiorstwa, ale także podmioty publiczne, nie mogąc się doczekać należnych pieniędzy, muszą zaciągać kredyty. Znów akonto KPO.

Raport z wykonania KPO autorstwa Michała Gwizdy oraz Łukasza Kościjańczuka z CRIDO, który upubliczniono wiosną 2024 r., miał być dzwonkiem alarmowym, skłonić nowy rząd do zmian w sposobie wydawania pieniędzy. W przeciwnym razie groziło nam, że nawet z połowy dotacji nie zdołamy skorzystać i pieniądze przepadną. Licząc zaś z tanimi pożyczkami, zagrożone było aż 78 proc. środków. Najbardziej – inwestycje. Najważniejszy wniosek: należy dużo większy strumień pieniędzy skierować do biznesu, zwłaszcza prywatnego, bo tylko on jest w stanie sprawnie zrealizować ważne inwestycje w tak krótkim czasie. Tymczasem biznes mógł liczyć zaledwie na 30 proc. puli, zbyt wiele pieniędzy przeznaczono dla różnego rodzaju urzędów centralnych i samorządów, które nie zawsze robią z nich właściwy użytek. Czy np. 900 mln zł, za które mają zostać przeszkoleni urzędnicy samorządowi, naprawdę gwałtownie przyspieszy wykonanie w gminach planów zagospodarowania przestrzennego? Trudno się też dopatrzyć związku z celami KPO.

Przypomnijmy: ma to być cyfryzacja, poprawa konkurencyjności gospodarki po pandemii i uczynienie jej bardziej odporną na przyszłe kataklizmy. I – oczywiście – transformacja energetyczna oraz poprawa bezpieczeństwa lekowego.

Na półmetku rządów koalicji 15 października Kościjańczuk uważa, że obecny rząd z rekomendacji raportu skorzystał w niewielkim stopniu, niebezpieczeństwo niewykorzystania środków, nawet dotacji, ciągle jest aktualne. Rząd już zrezygnował z ponad 5 mld nisko oprocentowanych pożyczek.

Na liście 10 największych beneficjentów prawie wszyscy, z wyjątkiem ostatniej, to spółki kontrolowane przez państwo. Pierwsza dziesiątka (patrz ramka) zainkasować ma w sumie 13 mld zł. Jeśli oczywiście zakończy zaplanowane przedsięwzięcia do sierpnia 2026 r. i zostaną przez KE rozliczone. Najwięcej, bo aż 3 mld euro, przypadło PGE. Ostatnia, dziesiąta, jest Polenergia, kontrolowana przez Dominikę Kulczyk, której przyznano 179 mln euro. Żeby zdążyć z wydaniem tak ogromnych pieniędzy, państwowe giganty próbują wpisać w KPO inwestycje, które rozpoczęły wcześniej, np. budowę farm wiatrowych na morzu. Jest to jakieś wyjście.

Przedsiębiorcy prywatni starający się o unijne wsparcie też nie muszą czekać, aż zostanie im przyznane. Mogą inwestycję, na którą ubiegają się o pieniądze, rozpocząć wcześniej. Boją się jednak ryzykować. Mogą nie zostać zakwalifikowani, bo skoro zaczęli, to widać ich stać.

Marzena Chmielewska, dyrektorka generalna Konfederacji Lewiatan, uważa, że po 20 latach korzystania z różnego rodzaju funduszy unijnych powinniśmy się już dopracować procedur gwarantujących sprawną organizację konkursów i wyłaniania beneficjentów, tymczasem trwa to nienormalnie długo. Urzędnicy potrzebują tak dużo czasu, że brakuje go już na wydanie pieniędzy. Naszą najsłabszą stroną jest niesprawność instytucji i powiązania administracji z polityką.

Właśnie z ponad 3 mld zł z KPO zrezygnowało Polregio, czyli koleje regionalne. Mimo że poprzedni zarząd firmy jeszcze za Sasina podpisał umowę na dostawę za 4,5 mld zł 98 elektrycznych zespołów trakcyjnych dla kolei w dziewięciu województwach, nikt nie dopilnował, żeby umowa zawarta była zgodnie z prawem zamówień publicznych oraz żeby spełniała wymogi KPO. Błędy odkrył dopiero po wyborach nowy zarząd, ale było już za późno, Polregio dotacji z KPO nie dostanie. ▶

eprasa.pl 796dd59b18

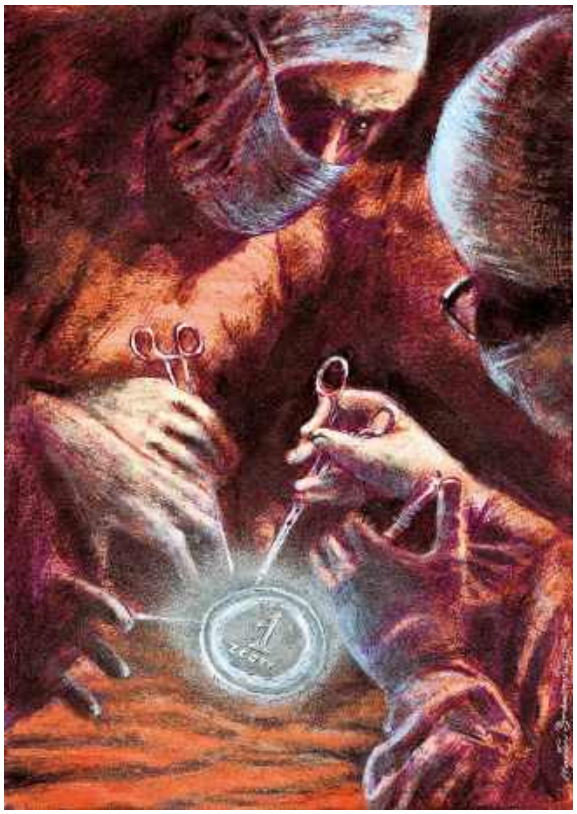

▶ Obecny rząd też ma za uszami. W konkursie dotyczącym poprawy efektywności energetycznej i OZE, ogłoszonym przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska dopiero 4 października 2024 r., w puli było sporo pieniędzy: aż 1,4 mld zł. Wyłanianie beneficjentów miało trwać tylko... 27 dni. Wybuchł skandal, że za mało czasu, potem jeszcze kilkakrotnie termin przedłużano, bo przedsiębiorcy złożyli wnioski zaledwie na jedną trzecią puli. Nic dziwnego, skoro nabór prowadzono bez wzoru umowy, czyli startujący w konkursie przedsiębiorcy nie wiedzieli nawet, do czego się zobowiązują. Puentą jest to, że do tej pory nie można znaleźć listy beneficjentów ani projektów, które dostały wsparcie.

Martwym ciałem, pozbawionym uprawnień do rewizji KPO, okazał się Komitet Monitorujący, choć jego powołanie było jednym z kamieni milowych KE.

Łatwo będzie wydać ponad miliard złotych na Centrum e-Zdrowia, które trafiło do dziesiątki największych beneficjentów. Na samo ogłoszenie konkursu szpitale zakwalifikowane do Krajowej Sieci Onkologicznej oraz Kardiologicznej, a także inne placówki publiczne czekały ponad rok od powstania rządu koalicji 15 października. Zmarnowany przez Ministerstwo Zdrowia czas świetnie wykorzystało kilku wykonawców, którzy wcześniej informatyzowali szpitale. W środowisku mówi się o zmowie cenowej, ponieważ projekty, które wyceniali biegli, okazały się nawet dziesięciokrotnie tańsze, niż obecnie żądają wykonawcy. Rzeczywistymi beneficjentami nie będą więc pacjenci, lecz kilka dużych firm informatycznych.

Irena Kierzkowska, dyrektorka Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Olsztynie, jednego z nielicznych niezadłużonych, wie, że na transformację cyfrową dostanie prawdopodobnie 10 mln zł, gdyż jej placówka znalazła się na liście rekomendowanej. Na razie jednak żadnej umowy na te pieniądze nie ma, sama też nie może jej podpisać z wykonawcą projektu. Olsztyński szpital złożył trzy wnioski o środki z KPO. Jest w sieci placówek wytypowanych do leczenia raka, więc przyznano mu 43 mln zł na rozwój onkologii. Dyrektorka ucieszyła się, że nareszcie zmodernizują zakład patomorfologii, pacjenci nie będą aż tak długo czekać na diagnozę, jaki to rak. Z otrzymanych już 43 mln zł mogą jednak na modernizację przeznaczyć tylko 6,5 mln zł, za resztę muszą kupić sprzęt, inaczej do sierpnia nie zdążą. Więc kupią drogie, nowoczesne gammakamery do zakładu medycyny nuklearnej, ale nie będą w stanie zaadaptować odpowiednich pomieszczeń.

Z kardiologią jest jeszcze gorzej, wnioski o wsparcie można było składać do 5 września, ciągle są na etapie oceny. O nowej, hybrydowej sali operacyjnej, gdzie dwaj chirurdzy przeprowadzają jednocześnie zabiegi u jednego pacjenta, trzeba więc zapomnieć. Pacjentów w dalszym ciągu będzie się wozić na dwa bloki operacyjne. A za wszystkie pieniądze można będzie tylko kupić sprzęt. Jego dostawcy poczuli zarobek, dyrektorzy szpitali twierdzą, że „podzielili się rynkiem". Choć placówki zaproszenia do przetargu wysyłają do wielu z nich, odpowiedź zwykle dostają tylko od jednego. Ceny poszły w górę.

Na poprawie bezpieczeństwa lekowego ze środków z KPO nikomu nie zależało, choć zajmowały się tym aż trzy resorty i ten właśnie program najlepiej wpisywał się w cele KPO. Chodzi o budowę fabryki substancji czynnych (API), które do wybuchu pandemii cały Zachód sprowadzał z Chin oraz Indii, tam były tańsze. Okazało się wtedy, że bez API wielkie zachodnie koncerny nie są w stanie wyprodukować większości niezbędnych medykamentów, także tych ratujących życie, kompletnie uzależniliśmy się od Chin. Covid uświadomił także Europie, że bardziej niż cena liczy się dostępność leków, musimy wrócić do produkcji substancji czynnych u siebie. – *Poprzedni rząd nie zrobił w tej sprawie nic* – przypomina Łukasz Kościjańczuk. – *Wpisano dla Polski dotację na ten cel, ale nasze trzy ministerstwa długo nie mogły sporządzić nawet listy leków krytycznych, a czas leciał. Nowy rząd przehandlował dotację na produkcję substancji czynnych i zaproponował Komisji, by pozwoliła nam ją przeznaczyć na elektromobilność. Pretekstem stało się to, że do sierpnia 2026 r. nowa fabryka API nie zdążyłaby powstać.*

Do wykorzystania 60 mld euro pozostało już tylko niecałe 10 miesięcy, tymczasem nie wiemy nawet, co nam się udało, a gdzie jesteśmy w lesie. I czy nie okaże się, że mimo pospiesznego „przepalania" pieniędzy niewiele z celów, na które były przeznaczone, udało się nam osiągnąć.

JOANNA SOLSKA

Najwięksi beneficjenci KPO

PGE Polska Grupa Energetyczna SA	prawie 3 mld euro
Tauron Polska Energia SA	2,6 mld euro
PKP PLK SA	2,3 mld euro
Energa-Operator SA	1,8 mld euro
PGE Baltica 2 sp. z o.o.	ponad 1,3 mld euro
Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad	718 mln euro
PKP Intercity SA	518 mln euro
Centrum e-Zdrowie	251 mln euro
Istrana sp. z o.o.	216 mln euro
Polenergia SA	180 mln euro

Źródło: KPO.gov

eprasa.pl 796dd59b18





Na każdy temat
z każdej strony
tokfm

eprasa.pl 796dd59b18



Podwyżki na bank

Jeśli prezydent się zgodzi, banki zapłacą wyższe podatki. Branża ma sposoby, jak się odkuć. Dekadę temu świetnie jej się to udało.

CEZARY KOWANDA

Aberracja i populizm – grzmi Leszek Balcerowicz. Miód na moje serce – kontruje Anna Maria Żukowska z Lewicy. Chodzi o pomysł rządu, który planuje zwiększenie opodatkowania banków. Już w 2026 r. mają oddać do budżetu nie jak dotąd 19, lecz 30 proc. zysków. W 2027 r. stawka spadłaby do 26 proc., a rok później – do 23 proc. I na tym poziomie miałaby pozostać. W przyszłym roku dzięki tej zmianie banki zapłacą – według szacunków resortu finansów – o ponad 6 mld zł więcej podatku w porównaniu z bieżącą stawką.

Te dodatkowe wpływy pójdą na finansowanie projektów związanych z obronnością. W niewielkim stopniu zmniejszą deficyt budżetowy, planowany aż na 271 mld zł. Jednak przy tak napiętych finansach publicznych każdy miliard jest cenny. Zwłaszcza że prezydent Nawrocki zablokuje zapewne inne rządowe pomysły, jak zwiększenie akcyzy na alkohol o 15 proc. i podwyżkę opłaty cukrowej dla producentów niezdrowych napojów.

Z Kancelarii Prezydenta płyną sygnały, że po stronie banków głowa państwa nie stanie i wyższego podatku nie zablokuje. Inaczej trudno byłoby wyjaśnić, dlaczego teraz prawica banków broni, skoro PiS dziewięć lat temu sięgnął do ich zasobów. Wówczas chodziło o środki na rosnące wydatki socjalne, zwłaszcza na program 500 plus. Od 2016 r. banki – poza standardowym podatkiem od zysków – płacą specjalną daninę od aktywów (roczna stawka to 0,44 proc. – najwięcej w Europie).

Rząd obiecuje, że w ramach rekompensaty obniży ten podatek w 2027 r. o 10 proc., a potem o 20 proc. Marne pocieszenie dla banków, bo podwyższony podatek od zysków (CIT) zaboli je znacznie bardziej. Bankowcy przekonują, że już teraz hojnie wspomagają publiczną kasę: w 2024 r. zapłacili 13,5 mld zł podatku CIT (to jedna czwarta wszystkich wpływów z tej daniny) oraz 6 mld zł podatku od aktywów. Do tego 3,5 mld zł w postaci dywidend dla Skarbu Państwa, który jest u nas ważnym akcjonariuszem banków, a zatem ma udział w ich zyskach. Kontroluje szereg instytucji, jak dwa największe banki (PKO BP i Pekao SA) oraz kilka mniejszych (m.in. Alior Bank, Bank Ochrony Środowiska i Bank Pocztowy).

Nieprzypadkowo oczy polityków zwróciły się na banki właśnie teraz. Ostatnie lata to wręcz eksplozja zysków tego sektora. Jeszcze w 2022 r. banki zarobiły łącznie nieco ponad 10 mld zł. Ten wynik byłby dużo lepszy, ale bolesne okazały się skutki wakacji kredytowych – kosztowały one sektor finansowy ok. 15 mld zł. W 2023 r. tego ciężaru nie trzeba już było uwzględniać w bilansach, a zyski wzrosły do ponad 27 mld zł. Absolutny rekord padł w 2024 r. – łączny zysk banków przekroczył 40 mld zł. Już wiadomo, że w tym roku będzie jeszcze lepiej. Od stycznia do sierpnia banki zarobiły ponad 33 mld zł, a Związek Banków Polskich prognozuje, że w całym roku zysk osiągnie aż 44 mld zł.

– *To przede wszystkim efekt wysokich stóp procentowych w ostatnich latach i rosnącej marży odsetkowej, czyli różnicy między oprocentowaniem kredytów i depozytów. Wzrost oprocentowania kredytów jest ściśle związany ze wzrostem stóp procentowych. Tymczasem oprocentowanie depozytów banki podnosiły dużo wolniej. Dlaczego? Bo mają nadpłynność, czyli wielkość depozytów należących do klientów jest u nich znacznie większa niż suma udzielonych kredytów* – tłumaczy dr Michał Możdżeń z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, współzałożyciel Polskiej Sieci Ekonomii.

Wśród polityków dyskusja o tym, czy i jak dodatkowo opodatkować banki, trwa od dawna. Do tej pory dyskutowało się częściej o podatku od tzw. nadzwyczajnych zysków. Banki miałyby oddawać do budżetu pieniądze, które zarabiają w czasach wysokich stóp procentowych. O takiej daninie mówił w kampanii prezydenckiej np. Szymon Hołownia. Należałoby ustalić, jaka jest „sprawiedliwa" różnica

eprasa.pl 796dd59b18

między oprocentowaniem kredytów i depozytów – to bowiem główne źródło zysku banków – a następnie wprowadzić dodatkowy podatek od nadwyżki. Jednak rząd wybrał inną drogę. Z punktu widzenia banków dużo gorszą. W ustawie przyjętej już przez Sejm chodzi nie o podatek powiązany z wysokością stóp procentowych, lecz o stałe zwiększenie obciążeń sektora.

Rząd bowiem widzi, że stopy procentowe spadają (w tej chwili ta podstawowa, nazywana referencyjną, wynosi 4,5 proc., a w 2022 r. osiągnęła 6,75 proc.), zatem główne źródło imponujących zarobków banków bije coraz słabiej. Można się spodziewać, że już w 2026 r. wyniki sektora finansowego zaczną się pogarszać. Tak prognozuje Związek Banków Polskich, który szacuje zysk przyszłoroczny na 35 mld zł. Wciąż dużo, ale o niemal 10 mld zł mniej od tegorocznego.

Czas na wprowadzenie podatku nadzwyczajnego był, ale raczej dwa, trzy lata temu, a nie teraz. Politycy wybrali zatem drogę wyższego CIT, co gwarantuje na stałe wyższe wpływy do publicznej kasy. Wiedzą również, że banki to dla opinii publicznej wygodni chłopcy do bicia.

Tym bardziej że w ostatnich latach popełniły wiele grzechów – na czele z udzielaniem na masową skalę toksycznych kredytów frankowych, teraz unieważnianych przez sądy. Gdyby nie te kredyty, zyski sektora bankowego byłyby jeszcze bardziej imponujące. Jednak wysokie stopy procentowe pozwoliły w ostatnich latach nawet instytucjom z największym bagażem frankowym zgromadzić odpowiednie zapasy, aby pokryć koszty przegrywanych procesów i ugód z klientami.

Rządowe pomysły mogą oznaczać dla budżetu nie tylko zyski, ale też pewną stratę, bo niższe zarobki banków przełożą się też na skromniejszą dywidendę. – *Jednak pamiętajmy, że zdecydowana większość dywidendy sektora bankowego trafia nie do Skarbu Państwa, lecz do prywatnych właścicieli. Jest wśród nich sporo zagranicznych podmiotów, czyli dywidenda oznacza transfer środków poza Polskę. Zdecydowanie wyższy CIT ograniczy to zjawisko, bo banki należące do zagranicznych właścicieli będą zarabiać mniej, a zatem mniej też będą mogły im wypłacić* – podkreśla dr Michał Możdżeń.

Bankowcy protestują, ale w rzeczywistości oni i Skarb Państwa są ze sobą bardzo ściśle związani. I nie chodzi tylko o to, że politycy kontrolują większość aktywów bankowych w Polsce. To banki kupują ponad połowę obligacji emitowanych przez resort finansów i w ten sposób finansują znaczną część naszego ogromnego deficytu budżetowego. Dla nich to nie tylko inwestycja bardzo bezpieczna (wciąż nie zakładamy, że Polska może zbankrutować), ale też opłacalna, skoro aktualne oprocentowanie dziesięcioletnich obligacji to niemal 5,5 proc. rocznie. Poza tym od środków zainwestowanych w obligacje banki nie muszą płacić podatku od aktywów. W ten sposób państwo świetnie zabezpieczyło swoje interesy. Z punktu widzenia klientów to oczywiście sytuacja bardzo niekorzystna – banki wolą pożyczać pieniądze Skarbowi Państwa niż obywatelom czy firmom. Pod tym względem wyższy podatek CIT nic nie zmieni.

Przeciwnicy przykręcania finansowej śruby bankom wskazują, że dodatkowe obciążenia przerzucą one na klientów. – *W 2016 r. po wprowadzeniu podatku od aktywów rzeczywiście banki zaczęły go doliczać do marż płaconych przez klientów. Skoczyły one mniej więcej o wartość nowej daniny i już nie powróciły do poprzedniego poziomu. Trzeba pamiętać o tym, że banki mają mnóstwo możliwości poprawy swoich wyników, których klienci mogą nawet nie zauważyć. Przykładowo można zwiększyć liczbę transakcji czy minimalne wpływy wymagane do zwolnienia z opłat za prowadzenie rachunku albo używanie karty. Wysokie stopy procentowe pozwalają na ukrywanie źródeł dodatkowego zarobku. Zamiast podwyższać prowizję, czego klienci bardzo nie lubią, po prostu powiększa się różnice między oprocentowaniem kredytów i depozytów* – mówi Jarosław Sadowski, ekspert finansowy serwisu rankomat.pl.

Dodatkowy problem klientów polega na tym, że konkurencja na bankowym rynku jest coraz słabsza. W ostatnich latach z Polski wycofało się wielu zagranicznych graczy, sprzedając swoje oddziały. W tym roku takie plany ogłosił np. Citibank, którego detaliczną część przejmuje VeloBank. – *Dziś np. konkurencja o depozyty klientów jest znacznie mniejsza niż kilkanaście lat temu. Wciąż zdarzają się atrakcyjne promocje, oferowane głównie przez mniejsze banki, ale chodzi zazwyczaj o oferty ograniczone czasowo czy dostępne tylko dla nowych klientów* – podkreśla Jarosław Sadowski. Teraz, gdy stopy procentowe spadają, banki też z pewnością spróbują ochronić swoje źródła zarobku. Już zaczęły obniżać oprocentowanie depozytów, aby ich wyniki się nie pogorszyły.

Niezadowolenie branży finansowej z powodu rządowych obciążeń można oczywiście zrozumieć. Banki narzekają, że płacą najwyższy w Europie podatek od aktywów, a trwała podwyżka CIT utrudni im budowanie zasobów kapitałowych, potrzebnych na finansowanie wielkich inwestycji, jak elektrownia atomowa czy Centralny Port Komunikacyjny. Jednak w rzeczywistości jesteśmy wciąż atrakcyjnym rynkiem. Duży austriacki gracz Erste chce przejąć Santander Bank Polska. To spektakularna transakcja, bo dotyczy trzeciego pod względem wielkości aktywów banku w naszym kraju. Erste niedawno uzyskał zgodę Komisji Europejskiej i czeka na pozostałe.

Przejęcia o dużo mniejszej wartości, ale również bardzo interesującego, dokonali niedawno Włosi z banku UniCredit. Kupili innowacyjny Aion Bank i właśnie zmienili jego nazwę. Tak UniCredit powrócił do Polski – do 2016 r. kontrolował Pekao SA, czyli drugi największy bank w naszym kraju. Być może Włosi znów będą odgrywać na naszym rynku kluczową rolę, bo w Niemczech walczą o przejęcie Commerzbanku, do którego należy mBank. Sektor bankowy jest podatny na działania polityków, którzy próbują wycisnąć z niego jak najwięcej, ale równocześnie potrafi wyciskać, ile się da, z klientów. A ci nie mają wyboru – życie bez banków jest praktycznie niemożliwe. ■

Eksplodujące zyski

Zysk netto sektora bankowego (w mld zł)

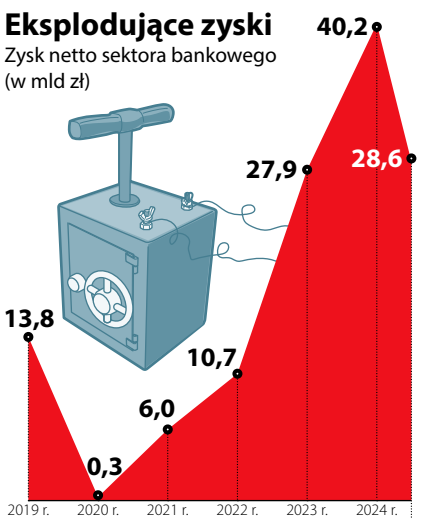

ŹRÓDŁO: KNF

© SHUTTERSTOCK, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 796dd59b18



Wojna sumienia

Izrael szczyci się, że ma „najbardziej moralną armię na świecie”. Jednocześnie ta armia oskarżana jest o zbrodnie wojenne, a nawet ludobójstwo.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

Izrael od dwóch tygodni żyje „aferą Sde Teiman”. W skrócie: prokurator wojskowa gen. Yifat Tomer-Yerushalmi zrezygnowała ze stanowiska po tym, jak przyznała się do przekazania jednej z telewizji wideo z osławionego więzienia Sde Teiman na pustyni Negew. Przedstawia ono domniemany gwałt zbiorowy izraelskich żołnierzy na jednym z palestyńskich więźniów.

eprasa.pl 796dd59b18



Izraelskie wojsko w Ramallah

© ISSAM RIMAWI/ANADOLU/GETTY IMAGES

Upublicznienie nagrania w sierpniu ub.r. miało dać odpór prawicowym politykom odsądzającym panią generał od czci i wiary. Kilkanaście dni przed publikacją żandarmeria wojskowa pojawiła się w więzieniu, by aresztować podejrzanych 10 żołnierzy służących tam jako strażnicy. Ale w obronie aresztowanych zebrał się kilkudziesięcioosobowy tłum i grupa prawicowych polityków, doszło do zamieszek.

Wywodzący się ze skrajnej prawicy minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gvir stwierdził wtedy, że każde działanie – nawet gwałt zbiorowy – jest dozwolone, jeżeli jest podejmowane w celu zapewnienia bezpieczeństwa państwa. „Ręce precz od naszych rezerwistów" – zwrócił się publicznie do pani generał. Minister finansów, również prawicowy radykał Becalel Smotricz, sugerował, że powinni być traktowani jak „bohaterowie, a nie złoczyńcy".

Część żołnierzy zwolniono z aresztu, ale pięciu pozostałym zarzuca się, że bili zatrzymanego, ciągnęli go po podłodze, deptali i razili paralizatorem. Jeden z rezerwistów miał dźgnąć więźnia w pośladki, powodując uszkodzenie odbytnicy. Zatrzymany doznał złamań żeber i perforacji jelita grubego.

Na nagraniu z kamery monitoringu widać, jak żołnierze podchodzą do dużej grupy więźniów leżących na podłodze twarzą na ziemi, z rękoma za głową, wybierają jednego z nich, odprowadzają do ściany i zasłaniają się częściowo tarczami, by ukryć swoją tożsamość, a następnie dokonują brutalnej napaści.

W Sde Teiman po ataku z 7 października 2023 r. umieszczono ponad setkę pojmanych wówczas członków Hamasu, a w kolejnych miesiącach ponad 4,5 tys. innych aresztowanych w Strefie Gazy. Część wypuszczonych opowiadało później o brutalności strażników i urągających warunkach panujących w więzieniu. Potwierdziła to również jedna z komisji ONZ, stwierdzając m.in. przestępstwa na tle seksualnym, a Al-Dżazira podała niedawno, że co najmniej 135 okaleczonych ciał, zwróconych w ramach ostatniego porozumienia z Hamasem, pochodziło z Sde Teiman. Miejsce to okrzyknięto izraelskim Guantanamo.

W sprawę zaangażowali się czołowi politycy. Premier Beniamin Netanjahu nazwał ją „najgorszą katastrofą wizerunkową w historii Izraela", a minister obrony Israel Kac zapowiedział degradację pani generał, którą oskarżył o oszczerstwo, chociaż nikt nie kwestionuje prawdziwości nagrania.

Ochrona duszy

Sama Tomer-Yerushalmi po niedawnej rezygnacji zniknęła na kilka godzin, jej samochód odnaleziono na plaży, media spekulowały, że próbowała popełnić samobójstwo. Została aresztowana, zarzuca się jej oszustwo wobec przełożonych i nadużycie zaufania, przekroczenie uprawnień służbowych, utrudnianie działań wymiaru sprawiedliwości oraz ujawnienie nieoficjalnych informacji.

W liście rezygnacyjnym napisała, że „kampania podżegania" przeciwko niej osiągnęła apogeum po decyzji o wszczęciu śledztwa wobec żołnierzy z Sde Teiman. „Ta kampania trwa do dziś i powoduje głębokie i poważne szkody dla IDF (Sił Obronnych Izraela), ich wizerunku oraz odporności żołnierzy i dowódców" – stwierdziła. I dodała, że „są rzeczy, których nie wolno robić nawet najgorszym więźniom".

Przy tej okazji dziennik „Haaretz" ujawnił, że Tomer-Yerushalmi wykorzystywała rozmaite preteksty, by unikać wszczynania spraw związanych z popełnianiem zbrodni przez izraelskich żołnierzy w Strefie Gazy, m.in. w sprawie z marca tego roku, czyli masowego grobu z 15 zabitymi medykami, czy ataku na konwój World Central Kitchen w zeszłym roku, w którym zginęło siedem osób, w tym Polak Damian Soból.

– *To element nagonki politycznej na prokurator wojskową. Nagonki, która jest szkodliwa dla nas wszystkich. Etyka na wojnie jest najważniejsza – ona chroni nie wroga, ale twoich własnych żołnierzy przed utratą człowieczeństwa, przed utratą duszy* – mówi wysoki izraelski oficer, obecnie w rezerwie.

Twierdzi również, że jeśli sprawa żołnierzy nie zostanie osądzona we właściwy sposób, naraża to innych wojskowych na ściganie przez międzynarodowy wymiar sprawiedliwości. Są już pewne precedensy. Kilka miesięcy temu Belgia zatrzymała dwóch izraelskich żołnierzy w związku z podejrzeniem, że mogli popełniać zbrodnie na terenach palestyńskich. Wprawdzie ▶

eprasa.pl 796dd59b18

▶ ostatecznie ich wypuszczono, ale sprawa trafi przed Międzynarodowy Trybunał Karny.

Do tej pory Izrael bronił się, że ma działający bez zarzutu wymiar sprawiedliwości. Jeśli jednak izraelskie sądownictwo zawiedzie – a tak naprawdę, gdy zawiodą politycy, którzy wciąż przy nim majstrują – ten argument straci moc. Wówczas w zasadzie każdy izraelski żołnierz na wakacjach w Europie będzie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za domniemane zbrodnie w Gazie.

– *Nasz system jeszcze działa, pracują już wojskowe komisje śledcze. W interesie samego wojska powinno być wyjaśnienie wszystkich spraw dotyczących ostatniej wojny. Istnieje jednak nieformalna zasada, że póki wojna trwa, nie egzekwuje się prawa w taki sposób, w jaki robiłoby się to w czasie pokoju* – wyjaśnia prof. Asa Kasher, emerytowany filozof i lingwista z Uniwersytetu Telawiwskiego, autor pierwszego kodeksu etycznego izraelskiej armii, znanego jako „Ruach Cahal" (Duch Armii).

Szkody uboczne

Przez ponad 40 pierwszych lat istnienia Izraela jego armia obywała się bez kodeksu etyki. Prace nad tym dokumentem rozpoczęły się w 1994 r. na polecenie szefa sztabu, późniejszego premiera Ehuda Baraka. Ówczesny premier Icchak Rabin mówił o powstającym kodeksie przy okazji odbierania Pokojowej Nagrody Nobla w Oslo. Wzorowano go na podobnych dokumentach z innych armii – zawiera uniwersalne wartości, którymi powinien kierować się izraelski żołnierz, takie jak odwaga, dyscyplina, lojalność, koleżeństwo.

– *Dodaliśmy jednak dwie nasze wartości: świętości życia ludzkiego oraz czystości broni, czyli to, że można jej używać do zabijania czy niszczenia, ale jedynie na podstawie legalnych, uzasadnionych rozkazów, zgodnych z prawem międzynarodowym* – dodaje prof. Kasher. W przypadku „świętości życia" chodzi o to, że chronione powinno być każde życie, nie tylko własnych żołnierzy czy obywateli. – *To oznacza również ochronę cywilów w Gazie, poza dopuszczalnymi w prawie międzynarodowym tzw. szkodami ubocznymi* – wyjaśnia autor kodeksu.

Jak tłumaczy prof. Kasher, „szkody uboczne" są dopuszczalne, jeśli zachowana jest zasada proporcjonalności. – *Nie chodzi o liczby. Nie określa się, że przy okazji zabicia jednego terrorysty 100 ofiar pobocznych jest złe, a 30 już w porządku. Chodzi o porównanie ryzyk, jakie wystąpią w przypadku jeśli nie zrobisz nic, a jakie będą zagrożeniem dla cywilów, jeśli wykonasz misję. Porównywane są też obowiązki wobec swoich żołnierzy i obywateli – które ważą więcej niż te wobec cywilów wroga* – dodaje profesor. Reszta świata jest w tej chwili dość zgodna, że ta „kalkulacja" zawiodła w Strefie Gazy i prawie 70 tys. zabitych nie jest „dopuszczalną" liczbą.

Yehuda Shaul, współzałożyciel organizacji Szovrim Sztika (Przełamując Milczenie), publikującej zeznania weteranów o realiach służby w izraelskiej armii, przypomina w tym kontekście przypadek zabicia w 2002 r. Salaha Szehade, ówczesnego dowódcy zbrojnego skrzydła Hamasu.

Na budynek w Gazie, w którym przebywał, z samolotu F-16 zrzucono tonową bombę. Zginął Szehade i 14 postronnych osób, w tym siedmioro dzieci, w gruzach legło kilkanaście budynków. Sprawa otarła się o Sąd Najwyższy, specjalna komisja stwierdziła „porażkę wywiadu". – *W czasie tej wojny zatwierdzano ataki, w których z góry wiedziano, że zginie 300 osób. Życie Palestyńczyków w Gazie ostatnio mocno staniało* – dodaje Shaul.



Wszyscy nasi rozmówcy przyznają, że statystyki zabitych w ostatniej wojnie w Gazie, nawet jeśli nie do końca wiarygodne, są niepokojące. – *Zwłaszcza na początku tej wojny zaślepiała nas zemsta po tym, co się stało 7 października* – uważa generał.

Oddani sprawie

Do zadań Y, rezerwisty służącego w Strefie Gazy, należy przede wszystkim obserwowanie przez lornetkę tego, co się dzieje wokół tzw. strefy humanitarnej. – *Strzelamy, by nikt do nas nie podszedł, głównie w puste przestrzenie. Ale nie miałbym problemu, gdyby rozkazano mi strzelać do ludzi – w końcu oni nienawidzą Izraela, nie chcą, by istniał, i od 20 lat popierają Hamas. Czemu miałbym mieć moralne rozterki wobec ludzi, którzy chcą mnie zabić?* – mówi bez ogródek. Y jest zwolennikiem skrajnej prawicy, ale kilku innych żołnierzy, z którymi rozmawialiśmy, przyznaje w zasadzie to samo. Prof. Kasher załamuje ręce nad dyscypliną żołnierzy walczących w Gazie: – *Obejrzałem setki, jeśli nie tysiące filmików nagranych przez samych żołnierzy, na których dokumentują własne łamanie prawa, w tym noszenie naszywek z napisem „Mesjasz"* (niezgodne z zasadą neutralności armii – przyp. red.) *czy malowanie graffiti zapowiadające przyszłe żydowskie osadnictwo w Gazie. Takie rzeczy powinny być surowo karane.*

Kasher przyznaje, że najtrudniej jest z egzekwowaniem właściwej postawy moralnej wśród żołnierzy rezerwowych, którzy przychodzą z bagażem własnych doświadczeń, a szkolenie – w tym naukę kodeksu etyki – przechodzili często kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu. Prawdziwym problemem są jednak przekonania trafiających do służby żołnierzy. Ok. 40 proc.

eprasa.pl 796dd59b18



Demonstracja przed więzieniem Sde Teiman w obronie Palestyńczyków aresztowanych w Strefie Gazy. Poniżej: **gen. Yifat Tomer-Yerushalmi.**



absolwentów szkół oficerskich pochodzi ze środowisk narodowo-religijnych powiązanych ze skrajną prawicą i ruchem osadniczym, choć w całym społeczeństwie stanowią zaledwie 12–14 proc. – *Dominują zwolennicy prawicy, bardziej „oddani sprawie", z większą żądzą zemsty* – mówi Shaul. Jego zdaniem w tym można również upatrywać źródeł brutalności wojska.

Drogą Hannibala

Wokół izraelskiej armii narosło w ostatnim czasie wiele mitów. Pierwszy z brzegu przykład to tzw. dyrektywa Hannibala, nazwana imieniem słynnego wodza, który miał zażyć truciznę, by nie dostać się do niewoli. Do 2003 r. ze względu na cenzurę wojskową opinia publiczna nie wiedziała, że taka dyrektywa w ogóle istnieje, chociaż powstała w połowie lat 80. w reakcji na porwania izraelskich żołnierzy podczas wojny w Libanie. Sprowadza się ona do tego, że należy przerwać próbę porwania izraelskiego żołnierza „wszelkimi sposobami". – *Dyrektywa Hannibala nigdy nie pozwalała na zabicie własnego żołnierza, ale z czasem została wypaczona przez dowódców zgodnie z hasłem „lepszy żołnierz martwy niż porwany"* – wyjaśnia prof. Kasher. I twierdzi, że obecnie armia nie używa już „Hannibala".

Znanych jest jednak co najmniej kilkanaście przypadków wykorzystania tej dyrektywy, w tym głośna historia Gilada Shalita, kaprala porwanego w 2006 r. w okolicy przejścia Kerem Shalom i zawleczonego przez palestyńskich porywaczy tunelami do Gazy. Tu „Hannibala" uruchomiono w ciągu godziny od jego porwania, okazało się jednak, że za późno, bo kapral był już nie do namierzenia. Konsekwencje tamtego porwania okazały się dla Izraela katastrofalne. Pięć lat później premier Netanjahu zgodził się wypuścić 1027 palestyńskich więźniów w zamian za jednego kaprala Shalita. Wśród uwolnionych był Jahja Sinwar, przyszły architekt ataku na Izrael z 7 października.

Paradoksalnie właśnie wtedy izraelska armia pierwszy raz w historii zastosowała „Hannibala" wobec izraelskich cywilów zagrożonych porwaniem. Nie jest jasne, ilu z nich zginęło w ten sposób – ONZ twierdzi, że nawet 14. Mowa m.in. o wysłaniu drona Zika w okolice przejścia granicznego w Erez, którędy zamachowcy przewozili pojmanych na terytorium Gazy. Znane są też przypadki ostrzału z helikopterów i czołgu w kierunku terrorystów próbujących uprowadzić zakładników.

– *Tamtego dnia panował kompletny chaos, tak naprawdę piloci nie mieli odpowiednich danych wywiadowczych, nie do końca wiedzieli, do kogo strzelają* – wyjaśnia cytowany wcześniej wysoki oficer.

Chaos etyczny

Głośna była też historia ostrzelania z czołgu domu Pessi Cohen w kibucu Beeri, w którym kilkudziesięciu zamachowców przetrzymywało 15 zakładników. Rozkaz wydali dowódcy elitarnej jednostki policyjnej Jamam i agencji bezpieczeństwa wewnętrznego Szin Bet, którzy chcieli wywrzeć nacisk na terrorystów, gdy próby negocjacji okazały się nieskuteczne. Zginęło wówczas 13 zakładników, w tym właścicielka domu i 12-letnie bliźnięta. Śledztwo oczyściło gen. Baraka Hirama, który zatwierdził rozkaz. Prokuratorzy uznali, że zakładnicy zginęli od kul pochodzących z broni zamachowców, a nie od pocisków z czołgu. Palestyńczycy wykorzystali to później jako rzekomy dowód, że to nie Hamas jest odpowiedzialny za zbrodnie popełnione 7 października w Izraelu.

Na wizerunku izraelskiej armii cieniem kładzie się także tzw. doktryna Dahiji – zastosowana po raz pierwszy w czasie wojny w Libanie w 2006 r. Polegała na masowym niszczeniu cywilnej infrastruktury, by zmienić nastawienie lokalnej ludności do Hezbollahu. Trudno nie odnieść wrażenia, że tak właśnie było w Gazie. Niedawno minister obrony Kac przyznał, że 60 proc. tuneli nie zostało zniszczonych. A Hamas i inne grupy zbrojne wciąż dysponują uzbrojeniem, które może zagrozić mieszkańcom Izraela.

W tym chaosie doktrynalnym i etycznym izraelskiej armii nie pomaga wcale powszechne twierdzenie, że jest „najbardziej moralną armią świata". Prof. Kasher uważa, że Izrael na poziomie wartości i doktryn działa moralnie. Ale kiedy pod bronią jest kilkaset tysięcy młodych ludzi, to oczywiste, że nie wszyscy zachowują się właściwie.

AGNIESZKA ZAGNER

Cała rozmowa z Jehudą Shaulem na polityka.pl

© MOSTAFA ALKHAROUF/ANADOLU/GETTY IMAGES, DP

eprasa.pl 796dd59b18

Wyścigowiec

Filip Turek, jeden z liderów czeskiej partii Kierowców, to rasista, mitoman, kolekcjoner noży SS i przemocowiec. A może też przyszły szef MSZ.

JAKUB MEDEK



Hałasu wokół Filipa Turka (z lewej) **desygnowany na premiera Andrej Babiš nie komentuje. Dobrze wie, że bez Kierowców nie zdobędzie większości w parlamencie.**

Wysoki, z twarzy przypomina Dolpha Lundgrena, aktora filmów akcji. Nie lubi ochrony środowiska oraz ludzi o innym kolorze skóry. I bardzo chciałby zostać ministrem spraw zagranicznych Republiki Czeskiej, choćby dlatego, że jest już europosłem. Jednak długa lista afer, jakie ciągną się za Filipem Turkiem, 40-letnim honorowym przewodniczącym partii Motoristé sobě (Kierowcy dla siebie) i medialną twarzą tego ugrupowania, może mu to skutecznie uniemożliwić.

Chociaż w październikowych wyborach Kierowcy zajęli ostatnie z miejsc nad progiem i wprowadzili do 200-osobowej izby niższej czeskiego parlamentu raptem 13 deputowanych, to mają powody do radości. Młode, założone dwa lata temu ugrupowanie nie tylko po raz pierwszy zdobyło mandaty, ale też znalazło się – jako najmniejszy partner – w obozie wygranych.

Zwycięzca tych wyborów, ruch ANO oligarchy Andreja Babiša, zaprosił bowiem Kierowców (razem z antyunijną partią SPD) do tworzonego przez siebie rządu i zaproponował im kilka ważnych resortów: kultury i sportu, prewencji i zdrowia, środowiska oraz spraw zagranicznych.

Kilka dni po ogłoszeniu kandydatury Turka na to ostatnie stanowisko portal internetowy Deník N opublikował screeny jego wykasowanych wpisów z mediów społecznościowych: najstarsze z nich sprzed blisko 20 lat, najnowsze – sprzed roku. Turek określa w nich Baracka Obamę mianem „czarnucha", trywializuje zbrodnie nazistowskich Niemiec i Adolfa Hitlera. Wyraża też wsparcie dla czeskich neonazistów, którzy kilkanaście lat temu podpalili dwuletnią romską dziewczynkę. Wśród wpisów z Twittera i Facebooka nie brakuje też jednoznacznie homofobicznych czy mizoginicznych, głównie w kwestii praw wyborczych kobiet. W sumie wpisów było kilkadziesiąt. Ich screeny sporządził i przekazał dziennikarzom niegdyś bliski kolega i współpracownik Turka, jeden z czeskich dziennikarzy motoryzacyjnych.

Łuska od karabinu

Kierowcy na rewelacje Deníka N, rozwinięte przez śledztwa kolejnych mediów, zareagowali niespójnie. Z jednej strony ugrupowanie zapowiedziało złożenie zawiadomienia o popełnieniu przez dziennikarzy fałszerstwa. Z drugiej sam Turek zaczął się tłumaczyć i stwierdził na przykład, że przychodząc do knajpy, oddaje swój telefon siedzącym z nim przy stole kolegom, by każdy mógł sobie wpisać w jego mediach społecznościowych, na co tylko ma ochotę. Wielu kontrowersyjnych wpisów wciąż nie wykasował. Na przykład tego, w którym zamach na modlących się muzułmanów w nowozelandzkim Christchurch określa mianem „sprzątania".

Od pierwszej wzmianki na ten temat dziennikarze opublikowali już kilkanaście kolejnych tekstów, każdy przynosi nowe ustalenia. Autorce pierwszego z nich, Zdislavie Pokornej, po groźbach gwałtu i śmierci, jakie otrzymywała od sympatyków Turka, policja zaproponowała ochronę, wszczęła też w ich sprawie śledztwo.

Generalnie jednak sprawa domniemanych wpisów Turka nie jest zaskoczeniem. Media już kilka razy opisywały jego słabość do symboliki Trzeciej Rzeszy, szczególnie sztyletów SS. Pojawiło się też kilka fotografii, na których prezentował uniesioną w nazistowskim pozdrowieniu prawicę albo kask kierowcy wyścigowego z symbolami greckiej neonazistowskiej partii Złoty Świt (po matce ma greckie pochodzenie). Przejawia też słabość do motoryzacji, szybkich samochodów. Jeden z zamieszczonych przez niego filmów pokazujących, jak szybko jeździ po czeskich autostradach, zainteresował nawet policję.

Jednak wśród opisywanych przez media historii dotyczących potencjalnego ministra spraw zagranicznych są i takie znacznie poważniejszego kalibru, np. trudne do wyjaśnienia wizyty w irańskiej ambasadzie. I kartka z człowiekiem na szubienicy oraz karabinowa łuska pozostawione przez Turka na masce samochodu saudyjskiego dyplomaty. Policja zajęła się również jego prywatnymi sprawami. Chodzi np. o doniesienie jego byłej

© PAP/EPA/MARTIN DIVISEK

eprasa.pl 796dd59b18



wieloletniej partnerki, która oskarża go o przemoc, również seksualną, i doprowadzenie do próby samobójczej.

W przeszłości policja interesowała się też działalnością gospodarczą polityka, ale śledztwa umorzono, zawarł on bowiem przedsądowe ugody z osobami, które składały na niego skargę. Sprawy dotyczyły rzekomych wyłudzeń przy sprowadzaniu części do luksusowych aut i ich renowacji oraz związanych z tym oszustw podatkowych. Wątpliwości – tu już natury moralnej – budzą też inne biznesowe przedsięwzięcia lidera Kierowców. Przez kilka lat sprzedawał „urządzenie bioenergetyczne", które miało leczyć różne schorzenia – w ocenie specjalistów bezużyteczne. Opublikował też książkę z poradami medycznymi autorstwa swojej matki – propagowała m.in. terapię autyzmu lewatywami z wybielacza. W wolnych chwilach promuje ruchy antyszczepionkowe.

Sam Turek przedstawia się wyborcom jako biznesmen, miłośnik broni, luksusowych aut i kierowca wyścigowy. Zdaniem dziennikarzy jednak albo jest mitomanem, albo sprawnie kreuje swój wizerunek. Okazało się np., że jako kierowca, owszem, ma kilka tytułów w różnych kategoriach. Tyle że chodzi o kategorie amatorskie, do tego zwykle wygrywał albo z rywalami startującymi w znacznie gorszych pojazdach, albo z nastolatkami – wyłącznie w organizowanych przez siebie kilkuosobowych wyścigach.

Zielona krew

Zaraz po pierwszych publikacjach w sprawie wpisów polityka pod protestem przeciw jego ministerialnej nominacji podpisało się kilkadziesiąt tysięcy osób. Osobno – w apelach do desygnowanego na premiera Babiša i prezydenta Petra Pavla – wypowiedziały się organizacje romskie. Protestuje też wielu polityków, m.in. kilku byłych szefów dyplomacji. Prezydent stwierdził, że jeśli wpisy okażą się autentyczne, będą dyskwalifikujące dla potencjalnego członka rządu.

O wycofaniu kandydata Kierowcy nie chcą jednak słyszeć. Podkreślają, że jest jednym z ich liderów, a jako eurodeputowany ma do kierowania polityką zagraniczną Republiki Czeskiej kompetencje bardziej niż wystarczające. Zamieszanie wokół niego komentują krótko: to atak liberalnych ugrupowań, które przegrały wybory parlamentarne, oraz finansowanych z zagranicy organizacji pozarządowych, których działalność należy poddać kontroli państwa; co zresztą jest jednym z postulatów ugrupowania.

Problem polega na tym, że pozostali kandydaci Kierowców na ministrów też budzą kontrowersje. Oto Klempíř, do niedawna wokalista popularnego zespołu J.A.R., który miałby objąć resort kultury, ma na koncie m.in. współpracę z komunistyczną służbą bezpieczeństwa. W trakcie kampanii wyborczej zdarzyło mu się też kilka ostrych, ksenofobicznych wypowiedzi, po których zresztą został z zespołu wyrzucony.

Boris Šťastný, były polityk rządzącej dotychczas partii ODS, w przeszłości, gdy kierował resortem zdrowia w jednym z rządów tego ugrupowania, miał promować powiązane z nim prywatne domy opieki. Wciąż zresztą ma biznesowe kontakty z tą branżą, pojawiają się więc obawy o potencjalny konflikt interesów, gdyby znów objął to ministerstwo.

Dyskusyjna jest też kandydatura „mózgu" Kierowców – Petra Macinki, który chciałby zostać ministrem środowiska. W przeszłości wielokrotnie zapowiadał, że jeśli obejmie ten resort, to „poleje się zielona krew". Twierdził też, że do „obrońców środowiska naturalnego należałoby strzelać". Zapowiada likwidację niedawno utworzonego na Morawach parku krajobrazowego, a media wskazują na jego związki z biznesmenem działającym w tamtej okolicy.

Sprawy ochrony środowiska (a raczej jej ograniczania) rozpatrywane przy użyciu „chłopskiego rozumu" – jak dosłownie piszą w swoim programie Kierowcy – to jeden z głównych priorytetów ugrupowania. Chodzi więc głównie o to, aby zarządzanie lasami podporządkować ich eksploatacji. Kierowcy negują też zmiany klimatyczne, zapowiadają walkę z Zielonym Ładem i celami klimatycznymi Unii Europejskiej. Podnoszą przy tym rolę przemysłu samochodowego dla czeskiej gospodarki. Generalnie na tym właśnie sprzeciwie i sentymencie części Czechów do motoryzacji – głównie młodych mężczyzn – ugrupowanie zbudowało swoją pozycję, stąd też jego nazwa.

W zagranicznych pomysłach Kierowców widać wpływ obecnie prorosyjskiego, od dawna zaś konsekwentnie negującego zmiany klimatu byłego prezydenta Václava Klausa. Większość polityków partii była związana z jego think tankiem. Ugrupowanie określa się jako eurosceptyczne, ale nie antyunijne, choć jego dwóch eurodeputowanych należy do frakcji Patriotów dla Europy. Kierowcy jednoznacznie popierają członkostwo Czech w NATO, w sprawie Ukrainy są enigmatycznie wstrzemięźliwi.

Hrad nie pozwoli

Andrej Babiš zamieszania w sprawie Turka i pozostałych ministerialnych kandydatów z jego partii konsekwentnie nie komentuje. Jak jednak wynika z przecieków, desygnowany premier jest coraz bardziej zirytowany zarówno medialnym szumem wokół Kierowców, jak i ich znacznie przekraczającą realny potencjał roszczeniowością. Z drugiej strony, jeśli chce mieć większość w parlamencie, to przynajmniej na razie jest na nich skazany. Dlatego w sprawie nominacji Turka, a być może też pozostałych kandydatów Kierowców, Babiš zamierza podobno wyręczyć się sprzeciwem prezydenta. Aby w kluczowym momencie móc powiedzieć najmniejszemu koalicjantowi: „Chciałem, ale Hrad (praski zamek, siedziba głowy państwa) mi nie pozwolił".

Autor jest dziennikarzem Radia TOK FM i autorem podkastu Czechostacja.

eprasa.pl 796dd59b18



Ponury Żniwiarz

Ciąć, ciąć, ciąć – to strategia Russella Voughta, człowieka, który u Trumpa odpowiada za „redukcję państwa" i obecny paraliż amerykańskiej administracji znany jako shutdown.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Niepozorny, łysiejący, z monotonnym sposobem mówienia. Russell Vought (czyt. Wout) wygląda na stereotypowego biurokratę. A jednak ten człowiek bez właściwości, nazywany cieniem prezydenta, to najważniejszy, obok demonicznego Stevena Millera, architekt przeprowadzanych przez Donalda Trumpa rewolucyjnych zmian. I główny sprawca paraliżu amerykańskiej administracji znanego jako shutdown. „Zamknięcia rządu" jakiego jeszcze nie było.

Vought jest dyrektorem Biura Budżetowego (OMB) w Białym Domu, skąd kieruje radykalną redukcją administracji USA. Próbował już to robić za pierwszej kadencji Trumpa, ale przez pandemię i inne kłopoty prezydenta niewiele zdziałał. Za prezydentury Bidena rozbudowywał założony przez siebie think tank Center for Renewing America, który razem z prawicową Heritage Foundation stał się intelektualnym zapleczem dla planującego powrót Trumpa.

Plon ich działalności „Projekt 2025" zawierał tak ekstremalne pomysły, że w zeszłorocznej kampanii Trump zaprzeczył, jakoby miał z nim cokolwiek wspólnego. Po zwycięstwie już nie musiał i Vought, główny autor programu, rozpoczął rozprawę z tzw. głębokim państwem.

Początkowo zajął się tym Elon Musk, ale zza kulis cały czas dyrygował Vought. Kiedy jednak kierujący Departamentem Efektywności Rządu (DOGE) multimiliarder popadł w niełaskę, szef biura budżetowego natychmiast go zastąpił, pisząc Trumpowi m.in. dekrety o zwalnianiu pracowników administracji i zachęcaniu ich do rezygnacji z posad.

Czystki uzasadniano potrzebą likwidacji „oszustw, marnotrawstwa i nadużyć", ale na pierwszy ogień szli urzędnicy sympatyzujący z Partią Demokratyczną, bo głównym kryterium ich przydatności, zwłaszcza w kluczowych resortach obrony, sprawiedliwości i bezpieczeństwa kraju, jest lojalność wobec przywódcy. Trwające od dziewięciu miesięcy redukcje mają tak masowy charakter, że Vought zyskał przydomek Grim Reaper, Ponury Żniwiarz – w aluzji do mitologicznej kostuchy z kosą.

Oprócz zwalniania kadr należało też ukrócić znienawidzone przez trumpistów programy rządowe. Tu kryterium było ideologiczne – pod nóż poszły te zarażone miazmatami lewicowego ruchu woke, akcentującego rewindykacje skrzywdzonych mniejszości rasowych, oraz programy DEI, od słów „różnorodność", „równość", „inkluzywność". Tak motywowane cięcia uzasadnia się potrzebą oszczędności niezbędnych, aby obniżyć deficyt i dług USA.

Drastyczne redukcje wydatków znalazły się również w projekcie napisanej przez Voughta osławionej Wielkiej Pięknej Ustawy (znanej z angielskiego skrótu BBB) o budżecie i podatkach. Szczególnie dotkliwe były przewidziane w niej cięcia Medicaid, państwowego funduszu ubezpieczeń zdrowotnych dla biedniejszych Amerykanów.

Demokraci już w marcu rozważali powstrzymanie Trumpa poprzez utrącenie w Kongresie ustawy o prowizorium budżetowym, też zawierającym cięcia programów społecznych. Demokratyczna opozycja może blokować ustawy w Senacie, gdzie do ich uchwalenia potrzeba minimum 60 głosów (na 100), a Partia

© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

eprasa.pl 796dd59b18

Republikańska (GOP) ma tam większość nieznaczną (53:47). Przywódca Demokratów Charles Schumer wahał się, ale ostatecznie z grupą senatorów swojej partii poparł prowizorium, by nie dopuścić do shutdownu.

W historii shutdownów – a zdarzają się one w USA co jakiś czas od 1980 r. – winą za ich dotkliwe nieraz skutki obarczano zwykle partię, która domagała się zmian polityki, blokując w tym celu uchwalenie budżetowych prowizoriów. Była to najczęściej GOP żądająca zazwyczaj obniżki wydatków. Dlatego zablokowanie prowizorium już w marcu, aby powstrzymać trumpowską likwidację państwa opiekuńczego, groziło, że opinia publiczna zgani za to właśnie Demokratów. Unikali oni shutdownów też dlatego, że płacili za nie głównie ich wyborcy – pracownicy federalnej administracji i najbiedniejsi Amerykanie korzystający ze świadczeń socjalnych. Republikanie nie mają takich oporów.

Z czasem jednak, gdy polityka Trumpa wywoływała coraz większy sprzeciw społeczeństwa, rosła presja na Demokratów, by postawili się prezydentowi. Pod koniec września Schumer zaryzykował więc starcie z prezydentem. Kiedy w Senacie ważyły się losy prowizorium budżetowego na listopad, „za" głosowało tylko troje demokratycznych senatorów, co nie wystarczyło do jego uchwalenia. Jednocześnie Demokraci zgłosili własny projekt prowizorium, m.in. bez cięć Medicaid. Republikanie go odrzucili i shutdown stał się faktem.

Niemal natychmiast 750 tys. pracowników administracji federalnej wysłano na bezpłatny urlop. Pracują jedynie służby niezbędne do w miarę normalnego funkcjonowania kraju, jak kontrolerzy lotów i bezpieczeństwa na lotniskach, FBI, agenci ochrony rządu i pocztowcy. Wszyscy za darmo – do czasu opóźnionych wypłat. Zamykane są też państwowe muzea i parki narodowe.

Według Republikanów Schumer próbuje udowodnić, jaki jest bojowy, bo przywódczyni demokratycznej lewicy kongresmenka Alexandra Ocasio-Cortez chce mu odebrać mandat senatora z Nowego Jorku. Umiarkowany i starzejący się establishment partii rzeczywiście znajduje się pod presją jej młodego progresywnego skrzydła. Republikanie i prezydent twierdzą też, że z dotacji do usług zdrowotnych korzystają nielegalni imigranci, co Demokraci nazywają kłamstwem, bo chodzi tylko o uchodźców ubiegających się o azyl w USA, z prawem tymczasowego pobytu.

Trwa więc propagandowa wojna, w której Trump co rusz wykazuje się nowatorstwem – oświadczył np., że część wysłanych na bezpłatne urlopy urzędników federalnych może nie wracać do pracy, co w historii shutdownów się nie zdarzało. Dodał, że nie wszyscy na swoje posady „zasługują".

Architektem i egzekutorem tej kampanii jest właśnie Russell Vought, który prowadzi ją z wyraźną przyjemnością. Powiedział, że cieszy go, iż urzędnicy federalnej biurokracji „odczuwają traumę", i oznajmił, że pracę straci „co najmniej 10 tys.". Okazuje taką satysfakcję, że – jak to określił „The Economist" – „trudno powiedzieć, czy to Trump używa Voughta jako zagrożenia, czy też Vought używa Trumpa jako okazji".

Vought urodził się 49 lat temu, jego ojciec był elektrykiem i weteranem piechoty morskiej, matka nauczycielką. Po skończeniu prawa w ewangelikalnym Wheaton College terminował u republikańskiego senatora Phila Gramma z Teksasu, słynącego z bezkompromisowej walki o oszczędności budżetowe. Tak jak jego polityczny mentor Vought jest konserwatystą fiskalnym i na biurku trzyma fotografię ulubionego prezydenta libertarianów Calvina Coolidge'a.

Ciągnęło go też do religii, seminarium duchownego i kariery pastora. Wybierając politykę, został więc żołnierzem rosnącej armii wyznawców „chrześcijańskiego nacjonalizmu", promującego zbliżenie ustroju Ameryki do teokracji, demontaż państwa opiekuńczego i wielokulturowości, które jego zdaniem są źródłem społecznego i moralnego rozkładu Ameryki. Działa z taką pasją, że niektórzy nazywają go buldogiem MAGA.

Vought i inni autorzy „Projektu 2025" uznali w końcu, że najprostszą drogą do realizacji ich ideałów jest radykalne wzmocnienie władzy prezydenta. Tradycyjnie ograniczające ją agencje, jak Departament Sprawiedliwości czy Rezerwa Federalna, mają stracić resztki niezależności. Należy też osłabić Kongres, odbierając mu możność decydowania o finansach państwa.

Korzystając z shutdownu, podczas którego Republikanie nie dopuszczają do wznowienia posiedzeń Izby Reprezentantów, Trump z Voughtem zamrozili wyasygnowane już przez Kongres wydatki rządowe na programy w stanach rządzonych przez Demokratów. Niezgodnie z prawem – przypomniał im amerykański NIK, czyli Biuro Odpowiedzialności Rządu (GAO).

Po dwóch tygodniach od zamknięcia rządu ulice miast stały się widownią masowych protestów. W demonstracjach „No Kings", przypominających, że USA nie są monarchią, i zorganizowanych przez ponad 200 liberalnych ugrupowań, wzięło udział 7 mln ludzi. Trump stwierdził, że ich uczestnicy „nie są reprezentatywni" dla amerykańskiego społeczeństwa. Tymczasem niezadowolenie z jego prezydentury bije rekordy – w sondażu CNN/SSRS już tylko 37 proc. Amerykanów aprobuje jego rządy.

Trudno przewidzieć wynik starcia Trumpa i Republikanów z demokratyczną opozycją, jakim jest obecny shutdown, który zresztą może się skończyć, zanim ten tekst trafi do czytelników. Przywódcy GOP obiecują Demokratom rozmowy o subsydiach do ubezpieczeń zdrowotnych i nawet ustępstwa – ale pod warunkiem że ci „otworzą" rząd, czyli zagłosują za prowizorium budżetowym w obecnym kształcie. Demokraci w to nie wierzą, bo ich zdaniem Republikanie robią to, co im akurat każe kapryśny prezydent.

Shutdowny kończyły się zwykle jakimś kompromisem, gdy jedna ze stron dochodziła do wniosku, że przegrywa w oczach opinii publicznej. Po ponad czterech tygodniach tego obecnego, najdłuższego w dziejach USA, w sondażach nieco więcej Amerykanów obwinia za niego Republikanów. Argument Demokratów, że bronią ludzi przed ruiną finansową z powodu rosnących cen ubezpieczeń medycznych, ma sens, bo ochrona zdrowia jest w USA niezwykle kosztowna.

Republikanie z kolei liczą, że długotrwałe uciążliwości – praca za darmo, niewypłacanie benefitów, zakłócenia ruchu lotniczego itd. – zwrócą opinię przeciwko inicjatorom zamknięcia rządu. W niektórych sondażach różnica w ocenie odpowiedzialności za kryzys między obu partiami maleje i niewykluczone, że ta część rozgrywki zakończy się remisem.

Zwycięzcą zostałby Russell Vought, któremu udałoby się wyrzucić na bruk tysiące pracowników federalnej administracji, a wśród pozostałych zasiać niepewność, czy ich także nie czeka ten los. ■

eprasa.pl 796dd59b18



Babcia bez deseru

Szwedki i Szwedzi, kiedyś liderzy rozrodczości, dziś coraz częściej wybierają „dzieciowolność”. I z niedoszłymi dziadkami licytują się, kto jest większym egoistą.

KATARZYNA TUBYLEWICZ ZE SZTOKHOLMU

Jeszcze do niedawna Szwecja oraz inne kraje nordyckie słynęły z polityki prorodzinnej. Dzieci rodziło się tu całkiem sporo. Ale to już przeszłość. Według Eurostatu w 2022 r. współczynnik dzietności w Szwecji wyniósł zaledwie 1,52, w Islandii – 1,59, w Finlandii – porażające 1,32, w Danii – 1,55, a w najbogatszej i hojnej dla swoich obywateli Norwegii – 1,41.

Mądra polityka prorodzinna zazwyczaj nie wystarcza już, aby przekonać do dziecka. Ale jeśli to się uda, Szwedzi nie zatrzymują się raczej na jednym. Tylko 14 proc. małych Szwedów nie ma rodzeństwa. Szkopuł w tym, że kobiety oraz pary w wieku rozrodczym coraz częściej dochodzą do wniosku, że chcą być po prostu wolne od dzieci.

W zeszłym roku dzietność w Szwecji – tym kochającym najmłodszych kraju Astrid Lindgren – spadła do poziomu 1,4, czyli najniższego od 1751 r., kiedy zaczęto prowadzić obliczenia (w Polsce to 1,1). A wygląda na to, że w tym roku będzie jeszcze gorzej. Dlatego rząd powołał specjalną komisję, która ma zbadać sprawę. W jej skład weszli demografowie, socjolodzy oraz ludzie kultury, np. jedna z matek szwedzkiego feminizmu pisarka Nina Björk.

Komisja ma odpowiedzieć na dwa zasadnicze pytania. Dlaczego coraz więcej Szwedek nie chce mieć dzieci? I jak to zmienić? Ale może się okazać, że to wyzwanie z serii niemożliwych, bo – jak napisał w „New Yorker” ekonomista Nicholas Eberstadt – odpowiedź zdaje się tak skomplikowana, że „osoba, która to wyjaśni, zasługuje na Nobla, ale nie z ekonomii, tylko z literatury”.

Dinki i klimat

W szwedzkiej debacie na ten temat pada wiele argumentów. Najpierw te przewidywalne: o braku stabilności finansowej młodych pokoleń i trudnościach mieszkaniowych. Livia Oláh, demografka z Uniwersytetu Sztokholmskiego, sugeruje, że problemem są zmiany na rynku pracy. W Szwecji coraz więcej osób zatrudnianych jest na krótkotrwałe umowy, a to nie sprzyja dzietności.

Ale wielu Szwedów nie szuka już żadnych wymówek i publicznie wyznaje *barnfrihet*, czyli „dzieciowolność”. Mówią o świadomym i przemyślanym wyborze niedzietności, o braku instynktu macierzyńskiego oraz o tym, że można mieć w życiu inne cele.

Alexandra Brander (lat 31) i André Hultgren (lat 28) z Malmö opowiadają w dzienniku „Dagens Nyheter”, że poznali się przez aplikację Tinder, gdzie oboje zaznaczyli, że nie chcą mieć dzieci. Alexandra właśnie podwiązała jajowody i teraz ma już błogą pewność, że nie przydarzy jej się przypadkowa ciąża.

Tworzą z André parę zwaną w świecie anglojęzycznym „dink” – *double income, no kids*, czyli dwie pensje, zero dzieci. Alexandra ceni sobie wolność oraz fakt, że brak dzieci to więcej pieniędzy na pasje i podróże. Oboje uważają się za buntowników – rzucają w ten sposób wyzwanie mieszczańskiej normie. André podkreśla, że żyjemy w epoce permanentnego kryzysu. Zwłaszcza zmiany klimatyczne są czymś, co sprawia, że trudno decydować się na sprowadzanie na ten świat potomstwa.

Lęk przed narastającym kryzysem klimatycznym, który też doczekał się po szwedzku słowa – *klimatångest* – jest wątkiem często eksponowanym przez szwedzkie media. Tina Kronberg (lat 30), bohaterka reportażu w dzienniku

© MARTINS RUDZITIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 796dd59b18

„Svenska Dagbladet", już jako nastolatka marzyła o „małym domku na wsi, o mężu i dwójce biegających po ogrodzie dzieciaczków". Jednak w 2018 r. dołączyła do międzynarodowego ruchu Extinction Rebellion, który za cel stawia sobie przekonanie rządów do ratowania klimatu. Wtedy też zrozumiała, że nie może się zdecydować na dzieci.

W dodatku – według demografa Glenna Sandströma z Uniwersytetu w Umeå – wśród Szwedów urodzonych po 1985 r. bardzo wzrosła liczba cierpiących na różnego rodzaju dolegliwości psychiczne. Od 2010 r. podwoiła się np. liczba wypisywanych przez lekarzy leków antydepresyjnych, a z badań prowadzonych w Finlandii wynika, że osoby doświadczające zaburzeń psychicznych znacznie rzadziej decydują się na dzieci.

Poza tym Szwedki, podobnie jak inne Europejki, decydują się na macierzyństwo coraz później i przez to mają mniej dzieci. I tu również powód może być dość specyficzny. Bo np. w Wielkiej Brytanii, gdzie przeprowadzono już na ten temat badania, coraz częściej powodem braku dziecka jest... problem ze znalezieniem prawdziwej miłości.

W pogoni za ideałem

Stefan Krakowski, szwedzki psychiatra polskiego pochodzenia, specjalizujący się w temacie kryzysu męskości, zwrócił mi kiedyś uwagę na to, że nawet równouprawnione Szwedki charakteryzuje tendencja, którą w języku socjologii nazywamy hipergamią. Chodzi o pewien rodzaj pragmatyzmu i wybieranie na potencjalnych ojców mężczyzn o nieco lepszym niż kobieta statusie finansowym, wyższej lub takiej samej pozycji społecznej i chociaż tak samo dobrym wykształceniu.

Zważywszy jednak na to, że od dłuższego czasu w Szwecji więcej kobiet niż mężczyzn kończy studia – np. wśród Szwedów urodzonych w 1977 r. wyższe wykształcenie uzyskało 39 proc. kobiet i 23 proc. mężczyzn – oczywiste jest, że musi rosnąć grupa kobiet, dla których zabraknie partnerów. A będzie tylko gorzej: w 2022 r. w Szwecji na naukę po liceum zdecydowało się aż 52 proc. kobiet i tylko 39 proc. mężczyzn.

Wprawdzie w świecie zamożnych celebrytek po czterdziestce istnieje też kiełkująca moda na wiązanie się z młodszymi partnerami (trzeci mąż szwedzkiej królowej kryminału Camilli Läckberg jest od niej o 13 lat młodszy i dużo mniej zarabia, za to ma wspaniały kontakt z dziećmi), ale to na razie forpoczty zmian.

Paradoksalnie do posiadania dzieci może też zniechęcać perfekcjonizm w podejściu do rodzicielstwa. Kristofer Ahlström, świeżo upieczony ojciec, pisze w dzienniku „Dagens Nyheter": „Od rodziców coraz więcej się wymaga. Stworzyliśmy społeczeństwo, w którym wielka radość z dziecka została przyćmiona nierealistycznymi oczekiwaniami. (...) Szczęśliwe, zdrowe i wolne od diagnoz dziecko jest wyznacznikiem statusu".

Ahlström opisuje rzeczywistość, w której rodzice – reprezentanci wielkomiejskiej klasy średniej – nieustannie ze sobą konkurują. Liczy się to, kto będzie zabierał dzieci wcześniej z przedszkola i szkoły, bo trzeba być rodzicem naprawdę obecnym. I żeby dzieci nie spędzały zbyt dużo czasu przed ekranem. Równie kluczowe są udane przyjęcia urodzinowe i rodzinne wyprawy na narty oraz atrakcyjne wakacje letnie.

Bębenka podbijają celebrytki i influencerki. Część z nich zarabia spore pieniądze na przedstawianiu życia mam idealnych. Kenza Zouiten Subosic, modelka, jest mamą trzech małych chłopców i ma prawie 2 mln followersów na Instagramie. Ma też nieskazitelną figurę i przepiękne mieszkanie. Część zimy spędza z idealnymi dziećmi i idealnym mężem w ciepłych krajach. Ale oczywiście w Wigilię cała rodzina stoi uśmiechnięta przed choinką: za oknem widać odrobinę śniegu, a Kenza ma tak wysokie obcasy, że zapiera ci dech.

Z Instagrama wnioskujemy, że jej życie składa się głównie z zabaw z dziećmi, wieczorów w seksownej bieliźnie i sportu, który pozwala jej zachować ciało nastolatki. Kenza jest też bizneswoman: stworzyła własną markę produktów do włosów, a kiedy była w trzeciej ciąży, zarządzała wielkim remontem letniego domu. Kocha swoją pracę, kocha wolność, jaką ona jej daje, ale kiedy jest z dziećmi, myśli tylko o nich.

Kenza ma więc wszystko: urodę, romantyczną i namiętną miłość do równouprawnionego mężczyzny, który z radością zajmuje się dziećmi i gotuje. Czy łatwo to powtórzyć? No nie bardzo. A że w późnym kapitalizmie jesteśmy przekonani, że wszystko jest zawsze naszym wyborem, przykład Kenzy może jednak wprawiać w konsternację.

Anna Björklund, pisarka i podkasterka, matka czwórki dzieci, twierdzi, że żyjemy w epoce wygórowanych marzeń i przesadnego planowania. Sama, dzięki swoim tekstom o byciu szczęśliwą mamą, trafiła do wspomnianej rządowej komisji badającej przyczyny braku dzieci. Podkreśla, że coraz rzadziej dopuszczamy do siebie myśl, że dzieci można po prostu mieć bez wcześniejszego planowania i pewności, że ich pragniemy.

W dzienniku „Svenska Dagbladet" pisze, że większość jej znajomych nie ma dzieci ze względów lajfstajlowych. Są przekonani, że wszystko w życiu trzeba starannie przemyśleć. A w jej życiu wszystko było dziełem przypadku. Nie marzyła o dziecku, ale zaszła w ciążę i urodziła. A potem poczuła, że wspaniale jest być matką.

Urodzisz, to pokochasz

Jej słowa wielu irytują, bo gdzieś pod spodem słychać w nich konserwatywny zaśpiew: „na pewno zmienisz zdanie!" oraz „urodzisz, to pokochasz!". Tymczasem Szwedki i Szwedzi są już na takim etapie, że na dzieci decydują się tylko wtedy, gdy naprawdę bardzo ich chcą. I jeśli dłużej posmakować tę myśl, może się okazać, że w kryzysie demograficznym jest też coś pozytywnego: coraz mniej niechcianych i zaniedbanych dzieci.

Pozostaje jeszcze temat smutku niedoszłych dziadków. Gunilla i Adam Lönnberg, bohaterowie reportażu w dzienniku „Svenska Dagbladet", mają po pięćdziesiąt parę lat i czworo dorosłych dzieci. Na poddaszu swojego domu składują ukochane książeczki z dzieciństwa swoich pociech (Tove Jansson i Astrid Lindgren), jest tam czyjaś różowa czapka i dziecięca sukienka najstarszej córki. Planowali, że kiedy tylko dzieci się ustatkują, oni sami zaczną się cieszyć „deserem życia" (tak się po szwedzku nazywa wnuki). A tu zawód: dorosłe dzieci nie planują deseru... Pokolenie, dla którego sensem życia były rodzina i pewna powtarzalność, nie odnajduje się w tej rzeczywistości. Czy słychać w tym egoizm i planowanie życia innym w celu spełnienia swoich oczekiwań? Trochę tak. Ale może najwyższa pora przestać prowadzić dyskusję o tym, kto jest bardziej egoistą: dziadkowie domagający się wnuków czy ludzie, którzy nie chcą mieć dzieci.

Autorka napisała książkę „Nie czekam na szklankę wody. O świadomej niedzietności", która właśnie ukazała się w Wydawnictwie Czarne.

eprasa.pl 796dd59b18

Zielono pod biegunem



ANDRZEJ HOŁDYS

Za kołem polarnym trwa masowa przeprowadzka i ekspansja roślin. Arktyczna przyroda wkroczyła w nową epokę.

Jest takie miejsce w kanadyjskiej Arktyce, które Inuici – rdzenni mieszkańcy tego regionu świata – nazywają Qikiqtaruk, czyli Wyspą. Jego historia jest długa i złożona. Dwa wieki temu dotarł tutaj angielski żeglarz i odkrywca sir John Franklin poszukujący Przejścia Północno-Zachodniego – drogi morskiej z Europy do Azji przez labirynt arktycznych wysp na północ od kontynentu północnoamerykańskiego. To on nazwał to miejsce Wyspą Herschela, na cześć człowieka, o którym nikt na Qikiqtaruk

© GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

eprasa.pl 796dd59b18

nigdy nie słyszał. Pod koniec XIX w. swoją bazę założyli tu wielorybnicy polujący na olbrzymie wale grenlandzkie osiągające masę 100 ton.

Dziś wielorybników nie ma, a wielkim waleniom udało się przetrwać rzeź i pluskają teraz radośnie w coraz większej liczbie w Morzu Beauforta i innych arktycznych akwenach. Na „wyspie" funkcjonuje osada, do której latem przybywa niewielka społeczność inuicka zajmująca się głównie polowaniami, a także ochroną założonego tu w latach 80. XX w. parku narodowego. Wiosną i latem docierają tu również naukowcy, którzy na czas badań przejmują budynek dawnej bazy wielorybniczej. Monitorują coraz gwałtowniejsze zmiany w środowisku naturalnym Arktyki. Temperatury za północnym kołem podbiegunowym szybko się podnoszą, kurczy się grubość i zasięg lodu morskiego, słabnie wieczna zmarzlina. Na zmianę klimatu zaczynają gwałtownie reagować rośliny.

Wśród tych, którzy badają te reakcje, jest Isla Myers-Smith, profesor University of British Columbia w Vancouver, która od ćwierć wieku przybywa regularnie na Qikiqtaruk. Od paru lat towarzyszy jej grupa młodych naukowców, głównie biologów i meteorologów, tworzących grupę badawczą Team Shrub. Wspólnie starają się za pomocą obserwacji i eksperymentów terenowych opisać w detalach to, co od pewnego czasu pokazują z oddali satelity: błyskawiczną metamorfozę arktycznych lądów, które szybko się zazieleniają oraz zrzucają jedną szatę roślinną, aby odziać się w nieco inną. Za tą rewolucją w kanadyjskiej tundrze próbują nadążyć zwierzęta – najpierw roślinożerne, a potem polujące na nie drapieżniki.

Pierwsi wysłannicy Team Shrub przybywają na wyspę już wiosną. Zakładają małe kwadratowe poligony, na których potem zliczane są i opisywane wszystkie wyrastające roślinki. Takich wieloboków powstaje na Qikiqtaruk kilkadziesiąt. Wyspa ma powierzchnię ok. 100 km kw., a od kontynentu oddziela ją cieśnina o szerokości 5 km. Klasyfikowanie tundrowych roślin odbywa się podczas głównego letniego pobytu. Kilkunastu badaczy przylatuje wtedy małym samolotem. Przywożą mnóstwo sprzętu badawczego – od dronów po... herbaciane torebki.

Dzięki dronom można rozszerzyć perspektywę i uchwycić zmiany w krajobrazie i zbiorowiskach roślinnych całej wyspy. A torebki herbaciane służą do badania tempa rozkładu materii organicznej akumulującej się w glebie. Są zakopywane w jednym roku i odkopywane w następnym lub po dwóch latach. Zwykle do ziemi trafia ok. 5 tys. woreczków. Większość udaje się odnaleźć, a wtedy są ważone i poddawane rozmaitym analizom. Na podstawie takich analiz naukowcy mogą np. ocenić, ile gazów cieplarnianych uciekło do atmosfery w kolejnych latach w wyniku rozkładu martwej materii organicznej.

Rozpędzone pendolino

Takich miejsc w Arktyce, gdzie od lat prowadzi się regularne obserwacje szaty roślinnej, jest więcej, choć zdaniem badaczy wciąż o wiele za mało, jak na olbrzymią powierzchnię tego regionu świata i różnorodność jego krajobrazów. Na Qikiqtaruk tundra stała się gęstsza, wyższa i bardziej ekspansywna. Trawy i krzewinki wyrastają coraz wyżej. W jednym z opublikowanych ostatnio artykułów naukowych Isla Myers-Smith i jej współpracownicy ocenili, że do połowy XXI w. większość gatunków roślin tundrowych na wyspie podwoi swoją wysokość. Niektóre urosną nawet trzykrotnie – z kilkucentymetrowych liliputów zmienią się w pokaźne, jak na tundrowe realia, osobniki dorastające do 20–30 cm. W praktyce oznacza to podwojenie, a nawet potrojenie produkcji biomasy. Tej już przybywa w szybkim tempie.

W Arktyce trwa wielka ekspansja i przeprowadzka roślin, choć na razie główne zmiany zachodzą w obrębie samej tundry. W jej północnej części do miejscowych gatunków krzewinek i traw dołączają te, które przesunęły się z południowego skraju. Przed przybyszami ustępują niskie mchy, porosty i rośliny zielne, które wcześniej tu dominowały. Badania prowadzone od trzech dekad na 45 stanowiskach rozmieszczonych w tundrze Europy i Ameryki Północnej w ramach programu International Tundra Experiment wykazały, że na razie różnorodność biologiczna tundry nie zwiększyła się, a w niektórych miejscach nawet spadła w wyniku presji wyżej rosnących przybyszy z południa.

Naukowcy nazywają ten proces „zakrzewianiem" (ang. *shrubification*). To jeden z najbardziej charakterystycznych trendów obserwowanych obecnie w arktycznej tundrze, jej znak firmowy. Drugim jest „zadrzewianie" (ang. *afforestation*). Na Qikiqtaruk jeszcze nie zameldowały się w większych ilościach karłowate gatunki brzóz, wierzb i olch, ale bardziej na południu trwa już ich pochód. Drzewa zdobywają przyczółki w miejscach, gdzie temperatura i wilgotność powietrza wzrosły najbardziej. Zarastają teren, odbierając światło roślinom zielnym. Z kolei tam, gdzie jest bardziej sucho, masowo pojawiają się trawy reprezentujące gatunki typowe dla cieplejszej strefy lasów borealnych (tajgi). Te zmiany zaczęły się już ponad pół wieku temu, ale od początku tego stulecia zachodzą w tempie, które zdumiewa nawet doświadczonych badaczy.

To, co dziś dzieje się w Arktyce, przypomina rozpędzone pendolino, które wyruszyło w drogę powrotną ku dawnym czasom, gdy temperatury pod biegunem północnym były o wiele wyższe. Tym razem czynnikiem sprawczym jest człowiek podgrzewający klimat emisjami gazów cieplarnianych, ale prawdą jest i to, że ten region świata nigdy specjalnie nie przepadał za chłodami. O ile Antarktyda została w całości zlodowacona już 14–12 mln lat temu, o tyle za północnym kołem podbiegunowym naprawdę zimno zrobiło się dopiero przed ok. 2,5 mln lat. I za każdym razem, gdy na globie robiło się trochę cieplej, Arktyka błyskawicznie rozstawała się z lodem i zimnem.

Pożegnanie z tundrą?

Parę lat temu badacze z Holandii i Kanady pojechali na sąsiadującą z Grenlandią kanadyjską Wyspę Ellesmere'a, gdzie pobrali próbki torfu sprzed 3 mln lat, czyli z pliocenu, epoki geologicznej poprzedzającej zimny plejstocen. Na ich podstawie zrekonstruowali średnią roczną temperaturę okolicy – wynosiła -3 st. C, a zatem była o 13 st. C wyższa niż dziś. Inna grupa naukowców ustaliła, opierając się na analizach skamieniałości otwornic pozyskanych z rdzeni podmorskich, że 3 mln lat temu wierzchnie warstwy oceanu w pobliżu Spitsbergenu miały temperaturę 18 st. C, a pod koniec XX w. było to ok. 0 st. C. Tymczasem cały glob był w owych plioceńskich czasach cieplejszy od naszego tylko o 2–3 st. C.

Czy właśnie w tym kierunku, czyli w stronę pliocenu, zmierza dziś dziarskim krokiem Arktyka, znacznie wyprzedzając resztę świata? Od pół wieku temperatura podnosi się tam dwa razy szybciej niż na całej planecie. W rezultacie Arktyka zaczyna rozstawać się z lodem morskim. Czy mogłaby też pożegnać się ▶

eprasa.pl 796dd59b18

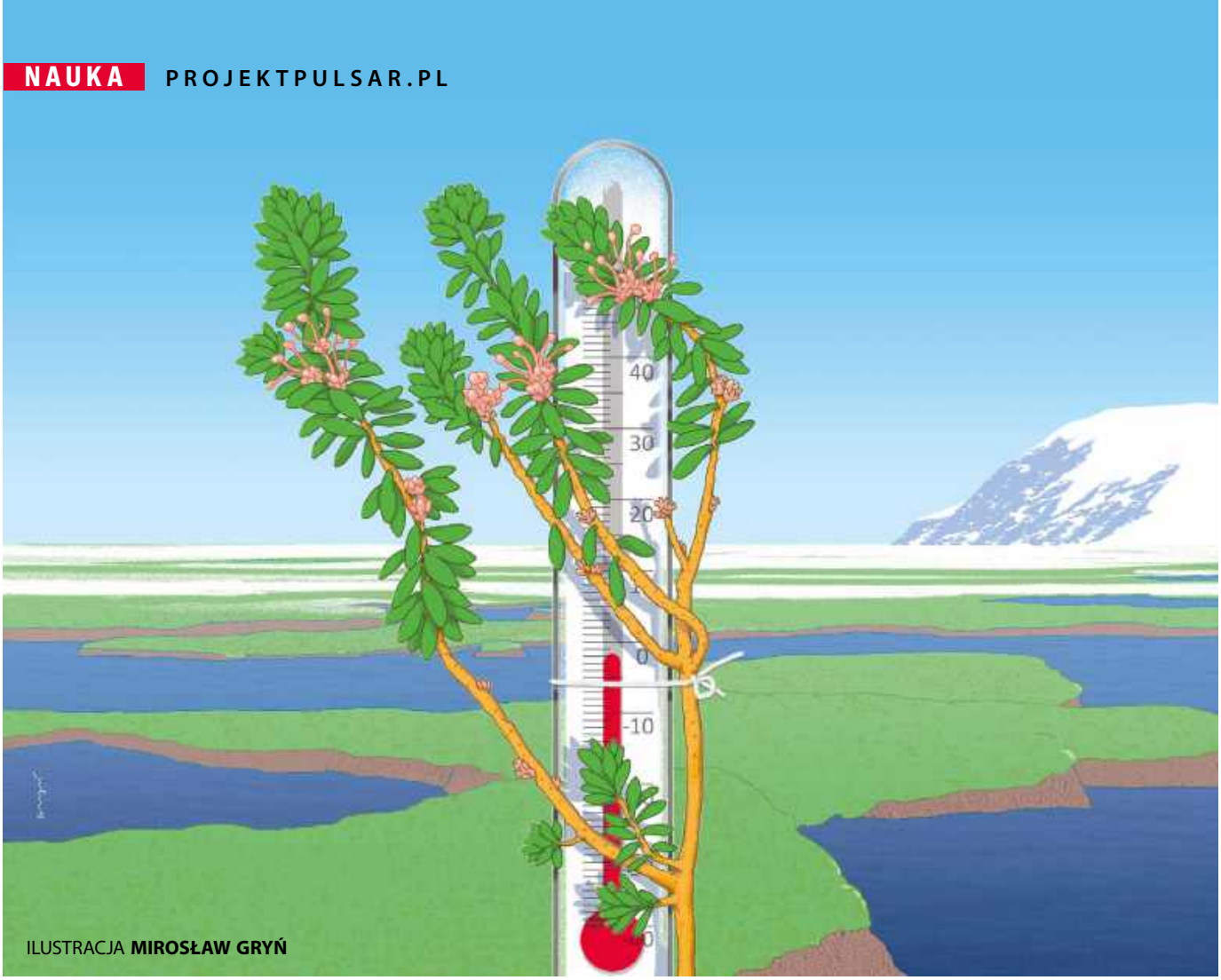

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

▶ z tundrą? To możliwe, choć w tej chwili trudne do wyobrażenia. Niemniej niedawno na północno-wschodnim wybrzeżu Grenlandii odnaleziono materiał genetyczny należący do świerków, brzóz, topoli i innych drzew, które rosły tam 2 mln lat temu. Formalnie była to już epoka lodowcowa, ale jeszcze w łagodnej wersji i najwyraźniej do północnej Grenlandii powracał, przynajmniej od czasu do czasu, klimat umiarkowany, podobny do współczesnego klimatu środkowej Szwecji. Przy dalszym wzroście temperatury na Ziemi podobny scenariusz może się powtórzyć. Oczywiście nie z roku na rok, ani nawet ze stulecia na stulecie. Być może nie wydarzy się nigdy, jeżeli obecne ocieplenie okaże się krótkotrwałe. Na razie nic na to nie wskazuje – Arktyka zielenieje na potęgę.

Detale stają się dostrzegalne dopiero z bliskiej odległości. Na przykład naukowcy z Finlandii prowadzący badania w tundrze porastającej północny skraj Półwyspu Skandynawskiego opisali niedawno błyskawiczną ekspansję bażyny czarnej, krzewinki znanej raczej z cieplejszego Niżu Europejskiego oraz lokalnie z terenów górskich, choć chętnie zapuszczającej się w chłodniejsze okolice. Przybywająca z południa bażyna wypiera dość bezceremonialnie borówkę czarną. Ta jest wciąż powszechna, ale nie dominuje już tak w krajobrazie jak jeszcze trzy dekady temu. Wielkimi sprzymierzeńcami bażyny okazały się renifery, których ogromne stada wędrują po lapońskiej tundrze. Niczym strażnicy dawnego porządku duzi roślinożercy nie dopuszczają do ekspansji drzew, wyskubując ich młodziutkie siewki. Brzozy, wierzby i inne gatunki mają więc spore problemy z przeniknięciem do tundry, co wykorzystuje bażyna.

Inwazja krzewinek

Kolejna relacja pochodzi ze Spitsbergenu. Grupa glacjologów, którzy ostatniej zimy polecieli na północną część wyspy, by badać akumulację śniegu na tamtejszych lodowcach, ze zdumieniem przyglądała się, jak pod koniec lutego na ich poletka badawcze spada deszcz, a dwa tygodnie później cienka kołderka śniegu pokrywająca tundrę zaczyna znikać, ustępując miejsca świeżej zieleni. Działo się to zaledwie 1200 km od bieguna północnego w okolicy, w której jeszcze dwie dekady temu średnia temperatura lutego wynosiła -15 st. C. Jednak w lutym 2025 r. spadała do zaledwie -3,3 st. C, a w kilku poprzednich latach była niewiele niższa. „Zamiast przedzierać się przez zaspy śnieżne, brodziliśmy w kałużach wody. Zamiast mierzyć temperaturę lodu, wtykaliśmy termometry do rozmarzniętej gleby. To bardziej przypominało północną Szkocję niż Spitsbergen" – relacjonowali zszokowani badacze w „Nature Communications".

Czy powinni być aż tak zaskoczeni? Nie dalej jak rok temu inna grupa badaczy nawierciła dno morskie w jednym z fiordów wrzynających się w północno-zachodnie wybrzeże Spitsbergenu, a w wydobytym rdzeniu zidentyfikowała całą masę resztek roślinnych zniesionych z pobliskiego lądu od początku XX w. Ilość tych organicznych drobin wzrosła skokowo w trzech ostatnich dekadach; należały głównie do dwóch gatunków: wierzby polarnej

eprasa.pl 796dd59b18

i dębika ośmiopłatkowego. Obie krzewinki zaczęły błyskawicznie przejmować tereny zajęte wcześniej przez mchy i porosty oraz opuszczone przez kurczące się lodowce górskie. Autorzy badań, na czele z Tommaso Tesim z Instytutu Badań Polarnych w Bolonii, ocenili, że przy takim tempie ocieplania się klimatu na wyspie powierzchnia tundry zdominowanej przez wierzbę polarną i dębika ośmiopłatkowego zwiększy się kilkakrotnie do końca XXI w.

Ryby płyną na północ

Satelity detali nie widzą, ale dzięki nim można ocenić skalę zjawiska. To one pierwsze je dostrzegły. W latach 80. XX w. niektóre z nich wyposażono w radiometry mierzące promieniowanie elektromagnetyczne docierające z Ziemi, w tym to absorbowane i odbijane przez rośliny. Dane te posłużyły do stworzenia wskaźnika NDVI (ang. *normalized difference vegetation index*), przy pomocy którego zaczęto oceniać kondycję szaty roślinnej w różnych strefach klimatycznych i porach roku. Wykorzystywano je m.in. do monitorowania kondycji upraw. NDVI zmienia się w zakresie od -1 do 1. Wartości poniżej zera odnoszą się do akwenów, zero to ląd całkowicie pozbawiony szaty roślinnej, jedynka zaś oznacza gęstą i zdrową szatę roślinną. Pod koniec lat 90. XX w. satelity po raz pierwszy zarejestrowały przyspieszenie produkcji biomasy w Arktyce. Wskaźnik NDVI dla tundry nagle podskoczył.

Od tamtej pory tempo zazieleniania tylko rośnie. Rekordowe wartości NDVI dla arktycznej tundry zanotowano w kilku ostatnich latach. Oczywiście istnieją spore różnice regionalne – wszak mowa o formacji roślinnej zajmującej ok. 5 mln km kw. Najszybciej zazielenia się tundra w północnej Alasce, na północnym skraju kontynentalnej Kanady oraz na wybrzeżach niektórych arktycznych mórz sąsiadujących z Azją. Są to te same regiony, w których od początku tego stulecia zarejestrowano szybki wzrost temperatury powietrza w ciepłej połowie roku.

Co ciekawe, satelity wypatrzyły też niewielkie fragmenty tundry, dla których wskaźnik NDVI spadł – zamiast zielenieć, brązowieją. Głównie dotyczy to miejsc niszczonych przez pożary lub też takich, gdzie w wyniku tajania wiecznej zmarzliny pojawiły się nowe jeziora i tereny podmokłe. Generalnie jednak dominuje silny trend pozytywny, który od początku obecnej dekady nabrał takiej intensywności, że według wielu badaczy „arktyczna tundra właśnie wkroczyła w nową, cieplejszą epokę". Cytat pochodzi z niedawnej publikacji we „Frontiers in Environmental Science", podpisanej przez kilkudziesięciu naukowców uczestniczących we wspomnianym wcześniej projekcie International Tundra Experiment.

W Arktyce zielenieje nie tylko tundra, lecz także woda morska. Nicolas Cassar z Duke University, Susan Lozier z Georgia Institute of Technology i ich współpracownicy przedstawili w czerwcu na łamach „Science" wyniki obserwacji satelitarnych z lat 2002–22 wskazujące na wyraźny wzrost ilości fitoplanktonu w północnym Atlantyku, północnym Pacyfiku oraz w niektórych przybrzeżnych akwenach Oceanu Arktycznego. Kondycję fitoplanktonu ocenia się, mierząc koncentrację produkowanego przezeń chlorofilu – zielonego pigmentu absorbującego światło słoneczne i odgrywającego kluczową rolę w procesie fotosyntezy. „Pomiary wskazują na wyraźny wzrost produkcji biomasy przez fitoplankton zamieszkujący morza subarktyczne i arktyczne. Widać wyraźny związek pomiędzy jego rosnącą aktywnością a zmniejszaniem się zasięgu i grubości lodu morskiego" – raportowali badacze. Tam, gdzie znika białe, szybko pojawia się zielone.

Co ciekawe, Cassar i Lozier odnotowali zarazem wyraźne pogorszenie kondycji fitoplanktonu w wodach tropikalnych, podzwrotnikowych i umiarkowanie ciepłych. „Morza północne stają się coraz bardziej zielone, morza gorące – coraz bardziej niebieskie" – podsumowali. Kilka tygodni temu do podobnego wniosku doszła inna grupa badaczy. Glony, sinice i inne samożywne mikrusy stanowią fundament oceanicznego łańcucha pokarmowego. Nic dziwnego zatem, że w ślad za nimi, a także z powodu zbyt wysokich temperatur wody w niższych szerokościach geograficznych, na północ zaczynają się przenosić również ryby i inne zwierzęta morskie. „Nie wiemy, jak dokładnie będzie wyglądał świat roślin i zwierząt Arktyki za pół wieku, bo zależy to od wielu czynników o zasięgu lokalnym i regionalnym, ale jedno wydaje się pewne: przyroda tego kawałka świata zmieni się nie do poznania" – zauważyła niedawno w wywiadzie radiowym Isla Myers-Smith.

ANDRZEJ HOŁDYS

REKLAMA



eprasa.pl 796dd59b18

Misjonarka niuansów



Rozmowa z Ellą Al-Shamahi, biolożką ewolucyjną i przewodniczką w serialu BBC „Człowiek. Historia ewolucji”, o wędrówce przez 300 tys. lat dziejów naszego gatunku. A także o długiej podróży osobistej.

JOLANTA IWAŃCZUK: **– Dorastała pani w przekonaniu, że człowieka stworzył Bóg. Co w tej wizji świata było tak pociągające?**

ELLA AL-SHAMAHI: – W moim świecie wszyscy byli kreacjonistami – to było jak powietrze, którym się oddycha. Nie traktowałam tego jak teorii, lecz jak naturalny porządek rzeczy. Kiedy dorasta się w określonej wspólnocie, trudno jest przyjąć coś spoza niej. Kiedyś powiedziałam, że to trochę jak z waszym wigilijnym karpiem. Ktoś z zewnątrz może zapytać: „Skąd ta ryba na stole?”, a odpowiedź brzmi: „Bo tak zawsze było”.

Z czasem zrozumiałam, że ludzie, którzy nie wierzą w naukę, nie robią tego z niewiedzy. Chodzi o coś głębszego – o przynależność. Trudno sprzeciwić się swojej grupie, zwłaszcza jeśli to rodzina czy wspólnota religijna, która daje poczucie bezpieczeństwa. Sama byłam misjonarką i przekonywałam innych, że naukowcy się mylą. Dziś patrzę na to z empatią, ponieważ to pokazuje, jak silna jest potrzeba wspólnoty i jak bardzo boimy się ją utracić.

Czy wtedy dostrzegała pani w kreacjonizmie konflikt między religią a nauką?

Uważałam, że naukowcy po prostu źle interpretują dane. Nie podważałam faktów, tylko uważałam, że są błędnie odczytane. Myślałam, że gdyby badacze spojrzeli na świat z dobrej – mojej – perspektywy, doszliby do innych wniosków. Wielu ludzi sceptycznych wobec nauki wcale jej nie odrzuca. Nie twierdzą, że to wszystko nieprawda – raczej są przekonani, że naukowcy są stronniczy, coś ukrywają albo patrzą z niewłaściwego punktu widzenia. To często kwestia braku zaufania: do instytucji, elit, a nawet do samego języka nauki. Nie przekona się nikogo wykresami, jeśli wcześniej nie okaże mu się szacunku.

Co sprawiło, że dziś jest pani zagorzałą popularyzatorką teorii ewolucji?

Zaczęło się od ciekawości. Zaczęłam studiować teorię ewolucji, żeby znaleźć w niej błędy. Chciałam ją obalić. Ale im bardziej ją poznawałam, tym bardziej przekonywałam się, że to niezwykle spójna koncepcja. Każdy nowy fakt uzupełniał logicznie obraz. Momentem przełomowym były dla mnie badania nad tzw. retrotranspozonami – fragmentami obcego DNA, które w naszym genomie pojawiły się tysiące lat temu. Ich wzory mutacji idealnie odpowiadają drzewu genealogicznemu człowieka. Zrozumiałam, że to, co uważałam za wiarę, nie może się równać z siłą dowodów. To była trudna zmiana, bo oznaczała odejście od rodziny i wspólnoty. Ale nauka okazała się silniejsza.

Jak pani osobista droga – od misjonarki do biologa ewolucyjnego – wpłynęła na sposób opowiadania o nauce?

Na pewno dała mi empatię. Kiedy ktoś mówi: „Nie wierzę w ewolucję”, nie reaguję z wyższością. Staram się zrozumieć, skąd bierze się ten opór – bo sama przez to przeszłam. Nie wystarczy powiedzieć: „Uwierz w fakty”. Trzeba umieć opowiadać historie – z emocjami, pasją i poczuciem sensu. W serialu „Człowiek” pokazujemy naukę w jej ludzkim wymiarze – w ciekawości, zachwycie, ale też w lęku i nadziei, co czyni naszą pracę prawdziwą.

Czy ewolucja naprawdę wciąż trwa?

W krajach rozwiniętych – w niewielkim stopniu. Ewolucja opiera się na selekcji,

© BBC STUDIOS (2)

eprasa.pl 796dd59b18

na tym, że pewne cechy zwiększają szanse przetrwania i przekazania genów. Dziś ten mechanizm niemal nie działa. Dzięki medycynie i technologii unikamy wielu dawnych ograniczeń, a planowanie rodziny sprawiło, że liczba dzieci nie ma już związku z przystosowaniem biologicznym. Tempo ewolucji spadło, może wręcz się zatrzymało. Ale przyspieszyły inne – kulturowa i technologiczna. Już nie dostosowujemy się do środowiska, lecz środowisko dostosowujemy do siebie. I w tym tkwi paradoks człowieka: jesteśmy gatunkiem, który sam przejął kontrolę nad własną ewolucją.

Który moment w pracy nad serialem zapamiętała pani najlepiej?

Jaskinię w południowej Afryce – miejsce sprzed 70 tys. lat, które wyglądało jak świątynia. W centrum znajdowała się skała w kształcie węża, pokryta setkami drobnych wgłębień przypominających łuski. W blasku pochodni światło przesuwało się po jej powierzchni, a wąż wydawał się poruszać. To, co zrobili tam ludzie, nie miało żadnej praktycznej funkcji. Nie zbudowali schronienia – wyrzeźbili skałę, by składać tam ofiary z kamiennych narzędzi. Poświęcili wiele pracy czemuś pozornie bezużytecznemu.

Patrząc na to, miałam poczucie, że jestem świadkiem narodzin ludzkiej duchowości. Kości mówią o ciele, ale ta skała mówi o umyśle naszych przodków – o wyobraźni i potrzebie nadania znaczenia. To pierwszy znany obrzęd, pierwszy ślad symbolicznego myślenia. Takie gesty – pełne emocji – naprawdę definiują nas jako gatunek.

Czy takie rytuały mogły istnieć bez języka?

Ceremonia z definicji wymaga porozumienia – wspólnego sensu, który można przekazać innym. Musiał istnieć język, choćby najprostszy: gesty, spojrzenia, powtarzane dźwięki. Bez niego taka praktyka byłaby tylko przypadkowym zachowaniem. Język to nie tylko sposób mówienia, ale też myślenia. Bez niego nie byłoby sztuki, religii ani kultury. Każdy obrzęd jest opowieścią – o świecie, o nas samych, o tym, co niepojęte. Choć słowa tamtych ludzi dawno zamilkły, ich echo wciąż słychać w naszych modlitwach, pieśniach i gestach.

W serialu pokazujecie też w nowym świetle neandertalczyków.

Przez długi czas przedstawiano ich jako istoty prymitywne, brutalne, pozbawione wyobraźni. Tymczasem byli inteligentni, empatyczni i zaradni. Tworzyli narzędzia, dbali o swoich bliskich, potrafili przetrwać w surowym klimacie. Jestem przekonana, że posługiwali się już protojęzykiem – zestawem znaków i odgłosów, który pozwalał im wyrażać emocje i organizować życie wspólnoty. W niektórych regionach, jak w jaskiniach na górze Karmel w Izraelu, żyli obok *Homo sapiens*.

Nasze losy splatały się na tyle, że mieliśmy wspólne dzieci. W każdym człowieku spoza Afryki Subsaharyjskiej pozostał ich genetyczny ślad – kilka procent DNA. To przypomnienie, że nasza historia nie jest opowieścią o podboju, lecz o wspólnym dziedzictwie. Zagłada neandertalczyków była znacznie bardziej złożonym procesem niż prosta historia o „mądrych ludziach" i „głupich kuzynach".

A gdyby mogła pani spotkać jednego z naszych przodków, kto by to był?

Pewnie *Homo floresiensis*, czyli tzw. hobbit z Indonezji. To jeden z najbardziej niezwykłych gatunków w naszej historii – jego przedstawiciele mierzyli niewiele ponad metr, mieli mózgi wielkości pomarańczy, a mimo to potrafili wytwarzać narzędzia i radzili sobie w izolacji na wyspie Flores. Chciałabym zobaczyć, jak patrzyli na świat. Czy mieli język, rytuały, poczucie wspólnoty? To niezwykle poruszające – myśleć, że przy tak skromnych możliwościach potrafili tworzyć i współpracować. Człowieczeństwo nie tkwi w liczbie neuronów, lecz w zdolności do łączenia się z innymi.



Ella Al-Shamahi urodziła się w Birmingham, w rodzinie o jemeńsko-syryjskich korzeniach. W młodości była głęboko religijna. Dziś prowadzi badania terenowe w trudnych, często niebezpiecznych miejscach świata – od jaskiń Bliskiego Wschodu po klify Jemenu. W 2015 r. otrzymała tytuł Emerging Explorer National Geographic. W Wielkiej Brytanii prowadzi też podkast, w którym rozmawia z kobietami nauki z całego świata. O sobie mówi: „Kiedyś byłam misjonarką kreacjonizmu. Dziś jestem misjonarką niuansów".

Często powtarza pani, że nie jesteśmy przystosowani do współczesnego świata. Co to znaczy?

Ewolucja przygotowała nas do życia w niewielkich grupach, wśród ludzi, których znaliśmy od zawsze. Nasze mózgi kształtowały się w świecie, gdzie liczyły się działanie zespołowe i czujność wobec zagrożeń. Zapamiętywanie tego, co bolesne, kiedyś chroniło nas przed niebezpieczeństwem – dziś prowadzi do lęku i bezsenności. W miastach pełnych ludzi często czujemy się bardziej samotni niż kiedykolwiek, bo nasz umysł wciąż działa jak w epoce kamienia – reaguje na stres, a nie na spokój.

Żyjemy dłużej i bezpieczniej niż nasi przodkowie, ale w świecie, który nie jest dla nas naturalny. Biologicznie wciąż należymy do epoki ognia, wspólnot plemiennych i nocy pełnych gwiazd, a znaleźliśmy się w epoce ekranów i sztucznej inteligencji. Stworzyliśmy rzeczywistość, do której sami nie jesteśmy przystosowani – to paradoks nowoczesności.

Jak wyobraża sobie pani człowieka za 100 tys. lat?

Nie wiem, czy za 100 tys. lat wciąż będziemy istnieć. Historia pokazuje, że przetrwanie nigdy nie jest dane raz na zawsze. Jeśli jednak mamy przyszłość, będziemy ją zawdzięczać współpracy. To ona pozwoliła nam przetrwać w przeszłości głód, zimno i katastrofy – od pierwszego ognia po loty w kosmos. Każdy nasz sukces był efektem wspólnego wysiłku, nie indywidualnego geniuszu. Lubię powtarzać, że Steve Jobs nie wymyśliłby iPhone'a 50 tys. lat temu, bo nie miałby za sobą setek pokoleń ludzi, którzy krok po kroku tworzyli język, narzędzia i sposób myślenia. Każdy wynalazek, od kamiennego ostrza po satelitę, jest efektem kooperacji. Myślenie, innowacja i wspólnota – to trzy filary naszej historii.

Czy AI stanie się w przyszłości częścią naszej ewolucji, czy pozostanie tylko narzędziem – nie wiadomo. Może pomóc nam rozwinąć skrzydła, a może wystawi na próbę to, co w nas ludzkie. Wiem jednak jedno: żadna technologia nie zastąpi zaufania i solidarności. To one stanowiły o naszej sile – i tylko one mogą dać nam przyszłość. ■

eprasa.pl 796dd59b18

Znak orłana

Kto ty jesteś? Polak mały! Jaki znak twój? Orzeł biały? Niestety, już nie. Gdyby ten ptak wiedział, jak go nazywają niektórzy polscy naukowcy, poczerwieniałby ze wstydu...

WOJCIECH PIASECKI
TOMASZ HEESE



Orłan

Od niepamiętnych czasów języki narodowe zawierały nazwy roślin i zwierząt. Wraz z rozwojem międzynarodowej wymiany myśli naukowej pojawiła się potrzeba stworzenia precyzyjnego i uniwersalnego systemu nazewnictwa. Językiem nauki była wówczas łacina, co umożliwiło opracowanie nazw neutralnych, wolnych od konfliktów językowych i politycznych.

Stopniowo człowiek coraz lepiej poznawał różnorodność świata istot żywych – w sposób coraz bardziej szczegółowy, strukturalny i hierarchiczny. Przełomem, powszechnie zaakceptowanym, stał się system nazewnictwa dwuczłonowego, wprowadzony przez Karola Linneusza. Przyjmuje się, że stało się to w IX edycji „Systema Naturae" – w 1758 r. Dla przykładu nazwę europejskiego wilka zapisuje się: *Canis lupus* Linnaeus, 1758. Składają się na nią: rodzaj (*Canis*), gatunek (*lupus*), autor (*Linnaeus*), rok opisu (1758).

Nazwy dwuczłonowe (binominalne), czyli naukowe, tworzone są w oparciu o łacinę, dzięki czemu wiedza systematyczna stała się powszechnie dostępna dla ludzi wykształconych. System Linneusza podkreślał również hierarchiczność świata organizmów – gatunki grupuje się w rodzaje, rodzaje w rodziny (dla wilka – psowate, Canidae), rodziny w rzędy (dla wilka – drapieżne, Carnivora). Przynależność do określonej jednostki systematycznej (taksonu) może ulec zmianie na podstawie nowych wyników badań. Ponadto zasady nazewnictwa różnią się nieco w zoologii, botanice, bakteriologii, wirusologii czy mykologii. Ważne jest, że w zapisie taksonomicznym zawsze podaje się nazwisko autora i rok – nic nie dzieje się anonimowo. W zoologii kwestie te reguluje m.in. International Code of Zoological Nomenclature.

Mysz, nie myszarka

Linneusz zaproponował swój system m.in. po to, by ograniczyć nadmierne rozbudowywanie nazw w językach narodowych. Badacze różnych narodowości zgadzają się, że w publikacjach szczegółowych należy podawać pełną nazwę naukową, nie potrzeba tworzyć wymyślnych, dodatkowych nazw lokalnych. Niestety w Polsce w ostatnich kilkunastu latach zasadę tę porzucono.

Grupa biologów, nie dość uważnie wczytawszy się w nauki Linneusza, zaczęła wprowadzać do obiegu tysiące nowych, dziwacznych nazw (W. Cichocki i in., „Polskie nazewnictwo ssaków świata", Muzeum i Instytut Zoologii PAN, Warszawa, 2015). Ta nowa tendencja jest na skalę masową rozwijana w internecie. I nagle mysz leśna przestała być myszą, a stała się myszarką, mucha stała się zgniłówką, a foka – szarytką. Nietoperz zmienił się w mopka, orzeł – w orłana lub orlika, wieloryb – w pływacza. Historycznie ugruntowana „świnka morska" (niem. *Meerschweinchen*) stała się kawią domową itd.



Długopłetwiec

To niepokojące zjawisko zauważyli już 34 lata temu profesorowie Eugeniusz Grabda (nestor polskiej zoologii) i Tomasz Heese: „Innym potrzebom służy nazewnictwo naukowe (...), a innym nazewnictwo popularne, choć oba zmierzają do tego samego celu – rozróżniania gatunków. Nazewnictwo popularne wtedy tylko spełni swoją funkcję, jeśli będzie stosowane w zakresie istotnych potrzeb, a więc używane do organizmów częściej spotykanych w naszym życiu, działalności gospodarczej, nauce czy literaturze popularnej. Natomiast absolutnym nieporozumieniem jest chęć stworzenia równoległego ciągu do nazewnictwa naukowego (łacińskiego). Hołdowanie zasadzie, że każda nazwa łacińska powinna mieć odpowiednik w nazwie polskiej, jest nieporozumieniem i prowadzi do wypaczeń". Pewną stabilność nazewniczą jeszcze do końca XX w. gwarantowała Komisja Nazewnictwa Polskiego Towarzystwa Zoologicznego (PTP). Niestety, wraz z końcem działalności PTP i wzrostem znaczenia internetu sprawy nazewnictwa wymknęły się spod kontroli.

Wieloryb, nie pływacz

Polacy mają niestety bardzo fragmentaryczną wiedzę o bioróżnorodności. Dzieje się tak m.in. z winy szkół, w których uczy się namiętnie o lancetniku (którego większość młodych ludzi nigdy nie zobaczy), a ignoruje podstawowe gatunki spotykane na co dzień. Rzadko który przedstawiciel młodego pokolenia potrafi chociażby

© SHUTTERSTOCK (5)

eprasa.pl 796dd59b18

rozpoznać dąb szypułkowy, odróżnić grab od buka i wiązu, świerk od jodły, wronę od gawrona. Fakt, że miliony gatunków nie mają nazw zwyczajowych, nie oznacza, że należy je teraz masowo tworzyć.

Dla porównania – w alpinizmie działa zdrowy rozsądek. Zdobywca dziewiczego szczytu może nadać mu nazwę; gdyby jednak przypadkowy internauta spróbował ochrzcić górę, której nie zdobył, zostałby wyśmiany. W biologii niestety trwa wolnoamerykanka. Np. pewien amator akwarysta z Krakowa wymyślił setki polskich nazw dla egzotycznych ryb. W epoce internetu proces ten przyspiesza lawinowo.

Problemem nie jest tylko liczba nowych nazw, ale przede wszystkim próby ich tworzenia według pozycji taksonomicznej. Przykład: „orzeł bielik" (*Haliaeetus albicilla*) został przez zoologicznych nadgorliwców przemianowany na „orłana" – z uwagi na jego odrębność rodzajową od orła przedniego (*Aquila*). To absurdalne, szkodliwe i niczemu nie służy (nie mówiąc o tym, że jest



to nazwa rosyjska, nie polska). W innych językach bielik pozostał orłem: po angielsku nosi nazwę *sea eagle*, po niemiecku *Seeadler*. Tymczasem u nas, aby zrównoważyć mnogość nazw naukowych, łacińskich, zaczęto tworzyć sztuczne nazwy dla całych rodzajów. Nigdzie na świecie nie rozbija się nazwy zwyczajowej na nazwy całkowicie nowe tylko dlatego, że gatunki reprezentujące starą nazwę zostały zaklasyfikowane do różnych rodzajów. A jeśli w wyniku nowych badań, które np. wykażą pokrewieństwo danego rodzaju z innym, niż dotąd uważano, i jego pozycja taksonomiczna się zmieni (co w biologii jest normalne), to kto będzie pilnować zmiany nazwy polskiej?



Podobne pomysły obejmują nazwy kolejnych grup zwierząt. Jeden z autorów tego tekstu zdumiał się, dowiedziawszy od studentów o „pływaczu szarym" – to nowa, promowana przez wspomniane środowiska nazwa wieloryba szarego (ang. *grey whale*). Powszechnie znany humbak (*humpback whale*) stał się długopłetwcem oceanicznym.

Zamęt, nie porządek

Kto pozwolił tak zaśmiecać język polski?! Zmiana historycznych nazw zwyczajowych jest nieuzasadniona i szkodliwa. Po raz pierwszy od czasów Linneusza ktoś postanowił rozbudowywać słownictwo biologiczne w języku lokalnym na poziomie hierarchicznym. W dodatku przeprowadził to w taki sposób, że utrudnia zrozumienie zawartej w nazwie informacji. Likwiduje bowiem dobrze znaną, tradycyjną nazwę wspólną dla kilku (wyróżnionych i nazwanych po łacinie) rodzajów w imię źle pojętej dokładności – odpowiedniości w stosunku 1:1 nazw łacińskich i polskich.

Po co komu polskie nazwy na poziomie rodzaju (*genus*)? Wprowadza się je anonimowo i bez żadnej kontroli, gdyż raz opublikowane w sieci stają się nieweryfikowalne. My sami, opisując nowe dla nauki gatunki, każdorazowo nadajemy im łacińską nazwę binominalną wraz z nazwiskiem i rokiem opisu – dzięki czemu każdy może odnaleźć źródło i zidentyfikować desygnowaną istotę. Kim są autorzy nazw „pływacz szary" czy „szarytka morska"? Czy pomyśleli o zamęcie, który wprowadzili?

Nazwy zwyczajowe (potoczne) należą do ogółu społeczeństwa, także do ludzi bez wykształcenia biologicznego. Specjaliści, jeśli je stosują, powinni równocześnie odnosić się do nazw naukowych. Tak dzieje się np. w parazytologii, gdzie obok kilku nazw historycznych funkcjonują jedynie nazwy naukowe – i nikomu nie przychodzi do głowy, by wymyślać nowe, polskie. Przeciętni Polka i Polak, nawet z wykształceniem przyrodniczym, nie są w stanie rozróżnić, czy mysz należy do rodzaju *Apodemus*, czy *Mus*. Podobnie spotykane na polskim wybrzeżu foki powinny pozostać fokami niezależnie od tego, czy specjaliści zaliczają je do rodzaju *Phoca*, czy *Halichoerus*.

Wzywamy Radę Języka Polskiego, by zajęła stanowisko w tej sprawie. O ile bowiem stosunkiem pomiędzy taksonami zajmują się biolodzy systematycy, o tyle mnożenie sztucznie tworzonych, nienaukowych nazw rodzajowych nie tylko wprowadza nieporządek wśród fachowców i adeptów tej dziedziny, lecz także kala polszczyznę ukutymi naprędce lub, co gorsza, skalkowanymi z innych języków pseudoterminami, i zrywa więzi między pokoleniami. Niech nasze wnuki uczą się dalej o myszy, nie myszarce, która ząbkami serek skrobie, o bursztynowym świerzopie i gryce jak śnieg białej, a przede wszystkim o polskim dumnym godle przedstawiającym nie orłana, lecz orła bielika.

Prof. **Wojciech Piasecki** – parazytolog z Instytutu Nauk o Morzu i Środowisku Uniwersytetu Szczecińskiego

Prof. **Tomasz F. Heese** – hydrobiolog z Laboratorium Gospodarki Wodnej Politechniki Koszalińskiej



eprasa.pl 796dd59b18

Od bułgarskiego parasola, poprzez podsłuchujące koty, aż po zdalnie sterowane karabiny – przegląd najsłynniejszych szpiegowskich gadżetów.

Najlepszy przyjaciel szpiega



Ambasador USA przy ONZ Henry Cabot Lodge pokazuje Radzie Bezpieczeństwa urządzenie podsłuchowe podłożone w ambasadzie USA w Moskwie, 1960 r.

© JOHN ROONEY/AP/EAST NEWS, AN (2)

eprasa.pl 796dd59b18



Bułgarski parasol

TOMASZ TARGAŃSKI

Słynny Q z filmów o Jamesie Bondzie zaopatruje agenta 007 w strzelające papierosy, wybuchające zegarki, a nawet helikopter w walizce. Bohater powieści Iana Fleminga zawsze miał do dyspozycji ekstrawaganckie gadżety, które ratowały go z opresji. Rzeczywistość była nie mniej ciekawa – agenci tajnych służb często korzystali z technologicznych innowacji. Ale dziś, w dobie postępów sztucznej inteligencji, nasuwa się pytanie, czy technologia odeśle staromodne szpiegostwo do muzeum.

Piły w sznurówkach

Pierwowzorem postaci Q był Christopher Hutton, wynalazca, który podczas drugiej wojny światowej służył w MI9, mało znanej agencji brytyjskiego wywiadu zajmującej się ratunkiem alianckich żołnierzy, którzy znaleźli się za linią wroga. MI9 organizowało pomoc dla uciekinierów z obozów jenieckich. Ponieważ jeńcy mogli otrzymywać paczki z domu, Hutton starał się przemycać w nich jak najwięcej sprzętu, który mógłby przydać się podczas ucieczki. Tym sposobem jeńcy otrzymywali małe kompasy ukryte w pudełkach z zapałkami, niemieckie marki schowane w tubkach z pastą do zębów, specjalny atrament do produkcji fałszywych dokumentów ukryty w figurach do gry w szachy. Dla potencjalnych zbiegów wielką wartość miały też mapy. Hutton miniaturyzował je i drukował na cienkim, ściśle tkanym jedwabiu, dzięki czemu nie rwały się w kontakcie z wodą, były odporne na zagniecenia i można było używać ich po cichu, ponieważ nie szeleściły.

Oficerowie MI9 wysyłali też koce z naniesionymi na nie miarami krawieckimi, zaznaczonymi niewidzialnym atramentem. Taki koc mógł zostać przerobiony na cywilne ubranie – wzory ubrań ujawniały się po zanurzeniu materiału w wodzie zmieszanej z substancjami chemicznymi przemycanymi oddzielnie w słoikach po dżemie lub puszkach po mleku w proszku. Jeśli chodzi o ucieczkę, to przedmiotem na wagę złota były małe elastyczne piły stosowane w chirurgii do przecinania kości (tzw. piła Gigliego). W warunkach obozowych było to idealne narzędzie do przepiłowania stalowych prętów i krat. Giętkie i cienkie piły Gigliego zaszywano w sznurowadłach do butów.

Biuro Huttona, gdzie opracowywał wszystkie swoje wynalazki, określano jako „Q” i zapewne stąd Fleming zaczerpnął kryptonim dla zbrojmistrza Jamesa Bonda (podczas wojny Fleming współpracował z MI9 z ramienia departamentu wywiadu Royal Navy). Choć w filmach o Bondzie w rolę Q zawsze wciela się mężczyzna, to do niedawna na czele prawdziwego wydziału do spraw technologii i innowacji brytyjskiej MI6 stała kobieta – Blaise Metreweli – która jesienią tego roku stała się pierwszą w historii kobietą szefującą MI6.

Szpiegujące koty

Po zakończeniu drugiej wojny światowej zapotrzebowanie na szpiegowskie gadżety nie zmalało. Zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie wynajdywali coraz bardziej wyszukane (i bezczelne) metody, by poznać tajemnice przeciwnika. Boleśnie przekonał się o tym Averell Harriman, ambasador USA w Moskwie. W sierpniu 1945 r. przyjął ręcznie rzeźbioną Wielką Pieczęć Stanów Zjednoczonych – prezent od delegacji młodzieży z Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej im. Włodzimierza Lenina. Miał to być symbol przyjaźni między obydwoma narodami, które dopiero co wspólnie pokonały III Rzeszę. Harriman umieścił pieczęć na ścianie swojego gabinetu w budynku ambasady.

Podarunek wisiał tam przez kilka lat, przekazując Rosjanom poufne rozmowy ambasadora. Był to prawdziwy cud techniki, który H. Keith Melton, autor książki „Spycraft”, określił jako „skrzyżowanie szwajcarskiego zegarka z mikrometrem”. Ponieważ podsłuch nie zawierał żadnej elektroniki ani baterii, był w zasadzie niewykrywalny. Wewnątrz drewnianej płaskorzeźby znajdowały się niewielka antena oraz membrana, która pełniła funkcję mikrofonu. Urządzenie było pasywne, tj. nie nadawało sygnału, dopóki nie skierowało się na nie fal radiowych o konkretnej częstotliwości, które rezonowały z anteną i odbierały płynące z mikrofonu drgania. Dźwięk dostawał się do membrany za pomocą mikroskopijnych dziurek wywierconych pod dziobem orła. Konstrukcja była dziełem radzieckiego fizyka Lwa Termena.

Urządzenie zostało wykryte dopiero w 1951 r., gdy brytyjski radiooperator przez przypadek dostroił się do długości fal używanych przez podsłuchujących ▶



Pistolet w szmince

eprasa.pl 796dd59b18



But z nadajnikiem i aparat Minox

▶ i w otwartym kanale radiowym usłyszał rozmowy amerykańskich oficjeli. Poszukiwania trwały długo, ale technicy w końcu odkryli, że „pieczęć przyjaźni" była w istocie koniem trojańskim.

Ekstrawaganckich sposobów podsłuchiwania przeciwnika nie brakowało również po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Odtajnione w 2001 r. dokumenty CIA ujawniły program Acoustic Kitty (z ang. akustyczny kotek). W latach 60. eksperci CIA postanowili wyszkolić koty do celów wywiadowczych. Uznano, że nie wzbudzając żadnych podejrzeń, koty będą w stanie zakraść się w pobliże miejsc, gdzie prowadzone są poufne rozmowy, i je nagrywać. Wybrane do misji zwierzęta poddawano operacji, wszczepiając im mikrofon, nadajnik radiowy i baterię (na tyle małe, że nie zagrażały życiu kota). Podczas pierwszej misji w terenie kot-szpieg miał podsłuchać rozmowę w pobliżu radzieckiej ambasady w Waszyngtonie. Niestety nie udało mu się dotrzeć na miejsce, ponieważ potrącił go samochód. Kolejne próby pokazały – niespodzianka! – że koty są nieposłuszne i łatwo się rozpraszają. Wedle Stephena Kinzera, autora książki „Doktor Śmierć. Sidney Gottlieb i najmroczniejsze eksperymenty CIA", program Acoustic Kitty został zamknięty w 1967 r. i kosztował ok. 20 mln dol.

Pomysłów na wykorzystanie zwierząt do celów szpiegowskich było więcej. Program amerykańskiego wywiadu o kryptonimie Tacana zakładał wykorzystanie gołębi pocztowych do fotografowania radzieckich obiektów wojskowych. Gołąb miał przymocowany do piersi miniaturowy aparat fotograficzny zaopatrzony w wyzwalacz, który uruchamiał migawkę po określonym czasie. Choć nie obyło się bez wpadek (dla niektórych gołębi aparaty były zbyt ciężkie bądź niewygodne), z odtajnionych dokumentów wynika, że testy przeprowadzone nad jedną ze stoczni amerykańskiej marynarki wojennej dały obiecujące rezultaty. Część zdjęć była do niczego, ale w przypadku innych jakość była wyższa niż zrobionych przez ówczesne satelity szpiegowskie. Ostatecznie nie wiadomo, jak zakończył się program Tacana – ostatnia notatka z 1976 r. mówi o planowanej misji nad stocznią w Leningradzie. To, czy szpiegowskie gołębie rzeczywiście poleciały nad Związkiem Radzieckim i jakie były tego rezultaty, nadal jest tajemnicą.

Zabójczy parasol

Szczególną pomysłowość zimnowojenni konstruktorzy wykazywali w kwestii broni. Wysyłani za granicę agenci często musieli zabić po cichu, nie zostawiając za sobą śladów. Potrzebowali więc broni niezawodnej, a zarazem dyskretnej. Pod tym względem chyba najsłynniejszym narzędziem zbrodni doby zimnej wojny był bułgarski parasol.

7 września 1978 r. Georgij Markow – dramaturg i eseista, który uciekł z komunistycznej Bułgarii pod koniec lat 60. XX w. – czekał na autobus na stacji Waterloo Bridge w Londynie. Pracował wówczas w rozgłośni BBC oraz Radiu Wolna Europa i dał się poznać jako nieprzejednany krytyk bułgarskiej partii komunistycznej. Tego dnia w tłumie czekającym na przystanku nieznajomy mężczyzna trącił go w nogę czubkiem parasola. Wieczorem w domu bułgarski dysydent dostał wysokiej gorączki, a po czterech dniach zmarł. Przeprowadzona na zlecenie żony autopsja wykazała niewielką ranę na prawym udzie ofiary. W niej lekarze znaleźli platynową kulkę (1,5 mm średnicy, z wydrążonymi otworami), która wcześniej zawierała rycynę, niszczącą wszystkie najważniejsze narządy wewnętrzne. Śledczy nie wiedzieli, jak i kiedy trucizna znalazła się w ciele ofiary.

Na trop naprowadził ich Władimir Kostow, inny bułgarski emigrant, a zarazem niedoszła ofiara zamachu. Niecały miesiąc przed Markowem Kostow także został uderzony parasolem przez nieznajomego człowieka na stacji metra w Paryżu. Kilka dni spędził w szpitalu z wysoką gorączką, walcząc o życie. Kiedy jego stan się poprawił, zdjęcie rentgenowskie pokazało, że w plecach Kostowa tkwi mała kulka. Dalsze badania wykazały obecność

© AN (3)

eprasa.pl 796dd59b18


Gołąb szpieg

w organizmie rycyny. Kostow przeżył dzięki grubemu swetrowi, który w dniu zamachu miał na sobie. Pocisk nie wbił się dość głęboko, by trucizna przesączyła się do krwiobiegu. Dowiedziawszy się o okolicznościach śmierci Markowa, Kostow skontaktował się z brytyjskimi śledczymi.

Parę lat później opublikował książkę „Bułgarski parasol", w której opisał konstrukcję tej broni. Mechanizm ukryty w parasolu wysuwał z jego czubka igłę, za pomocą której błyskawicznie wstrzykiwano w ciało ofiary kulkę z trucizną. Wedle materiałów opublikowanych w tomie „Archiwum Mitrochina: KGB w Europie i na Zachodzie" wybór trucizny oraz konstrukcja śmiercionośnego parasola były dziełem radzieckich służb – za konstrukcję odpowiadał Zarząd Operacyjno-Techniczny KGB – ale sam zamach przeprowadzili Bułgarzy. Pomimo starań brytyjskich śledczych do dziś nie udało się ustalić tożsamości mordercy.

20 lat przed Markowem w podobnie tajemniczy sposób zginął Stepan Bandera, przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Od zakończenia drugiej wojny mieszkał na emigracji w Monachium. 15 października 1959 r. na klatce schodowej kamienicy czekał na niego agent KGB Bohdan Staszynski. W kieszeni płaszcza miał broń zaprojektowaną przez radziecki wywiad właśnie na użytek cichych zabójstw. Gdy Staszynski wystrzelił do Bandery z bliskiej odległości, pocisk rozpylił w twarz przywódcy OUN śmiercionośną chmurę zawierającą cyjanek potasu. Bandera zginął na miejscu, a jego śmierć wyglądała na typowy zawał serca. Prawda wyszła na jaw, ponieważ Staszynski dla pewności wystrzelił w kierunku Bandery nie jeden ładunek, ale od razu dwa. Sekcja zwłok wykazała wysokie stężenie cyjanku w płucach ofiary. Dwa lata przed Banderą Staszynski z tej samej broni zabił innego przedstawiciela ukraińskiej emigracji, publicystę Lwa Rebeta. Historia Staszynskiego posłużyła za inspirację twórcom filmu o Jamesie Bondzie „Człowiek ze złotym pistoletem". Agent 007 posługuje się w nim bronią, która rozpyla trujący gaz.

Czynnik ludzki

Czasy śmiercionośnych parasoli czy strzelających szminek (inny zimnowojenny pomysł konstruktorów KGB) dawno minęły. Choć rosyjski wywiad w epoce rządów Władimira Putina wciąż chętnie posługuje się truciznami, często opracowanymi jeszcze w czasach ZSRR, to obecnie wojna wywiadów w równym stopniu co w terenie, odbywa się w świecie cyfrowym. Pierwszym strzałem w globalnej cyberwojnie była operacja Olympic Games, rozpoczęta z rozkazu administracji George'a W. Busha w 2006 r. Jej celem było spowolnienie postępów irańskiego programu nuklearnego. Wywiad amerykański wspólnie z izraelskim stworzyły złośliwe oprogramowanie ochrzczone później mianem Stuxnet, które w 2010 r. zaatakowało irańskie zakłady wzbogacania uranu. Przez ponad dwa lata komputerowy robak nie dawał zasnąć irańskim inżynierom, uszkadzając setki wirówek. Stuxnet był na tyle wysublimowany, że wszystko wyglądało na usterkę, której źródła nie dawało się ustalić.

Dziś wszystkie agencje wywiadowcze mają specjalne wydziały zajmujące się cyberwojną. Rosjanie już dwukrotnie – najpierw w 2017 r., a potem w 2022 r. – za pomocą robaka o nazwie Industroyer zaatakowali ukraiński system dystrybucji energii elektrycznej.

W XXI w. w rywalizacji wywiadów coraz ważniejszą rolę odgrywają systemy kierowane przez sztuczną inteligencję. W listopadzie 2020 r. izraelski wywiad zabił irańskiego fizyka Mohsena Fakhrizadeha za pomocą zdalnie sterowanego karabinu wyposażonego w kamerę i zasilany sztuczną inteligencją program do rozpoznawania twarzy. W chwili zamachu karabin wraz z całym ważącym około tony modułem, przeszmuglowanym wcześniej do Iranu w częściach, znajdował się w aucie na poboczu drogi, którą Fakhrizadeh jechał akurat na uczelnię. Broń obsługiwali agenci przebywający poza terytorium Iranu, a po oddaniu strzałów samochód, w którym znajdował się karabin, wysadzono w powietrze.

Wszystko to nie oznacza, że autonomiczna broń i systemy sztucznej inteligencji zastąpią żywych szpiegów. O ile zadania, takie jak gromadzenie informacji i ich analiza, z pewnością w coraz większym stopniu zostaną zautomatyzowane, o tyle nic nie jest w stanie zastąpić opartej na zaufaniu więzi między agentami za granicą a oficerami, którzy z nimi współpracują. Motywacje ludzi, powody, dla których decydują się robić rzeczy czasem podłe, a czasem wzniosłe, niezwykle trudno skwantyfikować. Dlatego wywiad od zarania polegał na czynniku ludzkim. I to właśnie ludzie są najcenniejszym zasobem każdej dobrej agencji wywiadowczej. Przynajmniej na razie.

TOMASZ TARGAŃSKI

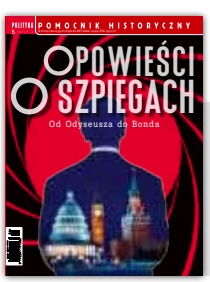

KUP TERAZ
Najnowszy Pomocnik Historyczny POLITYKI
„OPOWIEŚCI O SZPIEGACH. OD ODYSEUSZA DO BONDA"
dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 796dd59b18

Wybuchowa matematyka

Sprawca padł trupem, rozszarpany – donosiły gazety o pierwszej w Europie masakrze szkolnej. Pisano o niej nawet w USA i Australii. Miała miejsce w Polsce.



Tak zdawano egzamin maturalny w II RP.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Był 6 maja 1925 r. W gimnazjum męskim im. Joachima Lelewela w Wilnie trwały egzaminy maturalne. Szkoła miała to szczęście, że na tle innych wileńskich placówek Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego wyróżniała się przestronnością. Lokum składało się, jak czytamy w „Memoriale w kwestii lokalu szkolnego" z 1920 r. z „10 pokoi, 2 korytarzy (...), gabinetu fizycznego, pokoju nauczycielskiego, lekarskiego, kancelarii i gabinetu dyrektora" (dziś w tym gmachu mieści się Litewska Akademia Muzyki i Teatru). Była nawet specjalna „sala do spożywania śniadań", zatem uczniowie, prawdopodobnie i przed egzaminami mogli coś przekąsić. Może były to reklamowane wtedy „wędliny wiejskie suche z majątku pani Wysockiej" zapijane „najlepszym środkiem odżywczym", czyli „kakao fabryki PAC" albo herbatą o nazwie Czajnik.

Abiturientów w tamtych latach nie było wielu. Maturę zdawało się po ośmiu klasach gimnazjum. Dla 43 osób w Lelewelu przygotowano główny hall, gdzie na stolikach czekały arkusze maturalne. W poprzednich dniach zdawali język polski i wybrany przedmiot, a tego dnia, w środę 6 maja 1925 r., wypadała obowiązkowa matematyka. Wśród zadań znalazło się i takie: „Partia robotników, złożona ze 175 ludzi, podjęła się wykonać pewną pracę w określonym terminie. Po upływie 30 dni wspólnej pracy zaczęło ubywać z partii codziennie po 3-ch ludzi, wskutek czego praca została wykonana z opóźnieniem 21 dni. Określić, w ciągu ilu dni miała być wykonana ta praca?".

Nauczyciele starali się jak najciszej zajrzeć do bieżących wydań „Dziennika Wileńskiego" czy „Kurjera Wileńskiego". W tym drugim można było przeczytać m.in. wypowiedź premiera Władysława Grabskiego: „Zadaniem szkoły nie jest podawanie dzieciom pewnej sumy wiadomości, ale raczej wychowania

eprasa.pl 796dd59b18





Gmach gimnazjum im. Joachima Lelewela w Wilnie w 1922 r. Dyrektor Edward Biegański był głównym celem zamachowców.



i wszczepiania wytrwałości, której nam brak. Szkoła musi zespolić karność obywatelską z indywidualną inicjatywą i karnością".

Niektórzy profesorowie być może planowali wieczorne wyjście do Teatru Polskiego na „jedną z najświetniejszych i najzabawniejszych komedii francuskich ostatniej doby »Musisz być moją« Verneuil'a". Wśród bieżących wiadomości wileńskich znajdowała się też ta o wynikach szkolnego konkursu strzeleckiego. Wśród wyróżnionych znalazł się Buczyński, uczeń Lelewela.

Jeden ze zdających, Stanisław Ławrynowicz, wciąż kogoś zagadywał, wiercił się, przeszkadzał. Należał do starszych uczniów – miał ponad 20 lat i za sobą ochotniczy udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Nauka mu nie szła, wcześniejszy egzamin oblał, podobnie jak jego młodszy kolega Janusz Obrąpalski. Zdenerwowany dyrektor Edward Biegański podszedł do ławki Ławrynowicza i bez słowa odebrał mu arkusz. Wtedy ten nieoczekiwanie wyciągnął rewolwer i strzelił w kierunku dyrektora. Pierwsza kula przeszyła rękę, druga trafiła w nogę. Biegański zachwiał się, ale nie upadł. W tej samej chwili uczeń Aleksander Zagorski poderwał się i osłonił nauczyciela własnym ciałem.

Padły jeszcze dwa strzały. Niektórzy rzucili się na ziemię, inni wybiegali korytarzem. W relacjach świadków powtarzał się obraz ławek przewracanych w panice i wrzasków zagłuszających kolejne strzały. Koledzy rzucili się w kierunku Ławrynowicza, Bończa-Osmołowski i Symonowicz starali się go obezwładnić. Kiedy skończyły się naboje w magazynku, Ławrynowicz sięgnął do kieszeni po granat. „Granat eksplodował. Wybuch straszliwe uczynił spustoszenie... sprawca padł trupem, przez eksplozję rozszarpany. W tenże straszliwy sposób śmierć poniósł na miejscu Tadeusz Domański" – pisało wileńskie „Słowo" w wydaniu z 7 maja. Obok ciała Ławrynowicza leżał nieruchomy Aleksander Zagorski. Profesor Jankowski – ciężko ranny – został przeniesiony do szpitala, gdzie zmarł po kilku godzinach. Rannych też było ośmiu uczniów: Władysław Bończa-Osmołowski, Studziński, Borysewicz, Toczyłowski, Symanowicz, Wojtkiewicz, Nawrocki ▶

© NAC (2), AN

eprasa.pl 796dd59b18

▶ i Gliński. U jednego z poszkodowanych konieczna była amputacja palców. Zdawało się, że to koniec. Wtedy jednak wstał Janusz Obrąpalski. W ręku miał rewolwer. Wyszedł na środek sali, strzelił, ale nie trafił w nikogo. Potem próbował odpalić granat, ale zawiódł zapalnik. Wybiegł na korytarz, gdzie ścigany przez kolegów i woźnego przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust.

W rezultacie liczba ofiar śmiertelnych wzrosła do pięciu. Oprócz profesora Jankowskiego i zamachowców zginęło dwóch uczniów: Tadeusz Domański oraz Aleksander Zagorski.

W mieście zawrzało. Rodziny ofiar pogrążyły się w żałobie, szkoła została tymczasowo zamknięta. Zamordowanych uczniów pochowano uroczyście na Rossie, nauczyciela i Zagorskiego na prawosławnym cmentarzu pod wezwaniem św. Eufrozyny.

Pierwsze relacje ukazały się w prasie wileńskiej. *„Kurjer Warszawski" w wydaniu wieczornym z 6 maja podał: „Bomba w szkole. 3 uczniów zabitych, 12 osób rannych. (Telefonem od własnego korespondenta). Tragiczny wypadek wywołał ogromne wrażenie w całem mieście. Śledztwo prowadzą władze sądowe pod kierunkiem prokuratora Hołowni".*

Krajowe dzienniki reagowały ostrożnie, niektóre ograniczały się do krótkich notatek, jakby starając się pomniejszyć wagę tragedii. Tam, gdzie się pojawiały rozbudowane doniesienia, nie było zgodności co do szczegółów: jedni podawali inną liczbę ofiar, inni mylili nazwiska albo role sprawców i poszkodowanych. Pojawiały się nagłówki, takie jak „Groźny i tragiczny przejaw zdziczenia" („Kurier Poznański"), które oceniały zachowanie sprawców i nadawały ton relacji. Inne redakcje sięgały po tytuły ironiczne, np. „Coraz lepiej", i tak sygnalizowały eskalację przemocy w miejscu dotychczas kojarzonym z nauką i bezpieczeństwem. Dobrze podsumowuje to artykuł z litewskiej prasy z tamtych lat, w którym czytamy, że wprawdzie dochodziło już w Wilnie do szkolnych zamieszek, ale „ekscesy skończyły się na używaniu kałamarzy".

Wydarzenie budziło jednak coraz większe emocje opinii publicznej i zainteresowała się nim też prasa światowa – „Poważna strzelanina w Wilnie" pisano w Berlinie, „Morderstwo uczniów wileńskich" donoszono w Londynie i nawet w Australii „The Argus" w tabloidowym stylu – „Polscy studenci. Bomby i rewolwery w użyciu". Szczególnie dużo uwagi wileńskiej strzelaninie poświęcały gazety niemieckie, być może dlatego, że Niemcy przeżyli już wcześniej podobny wstrząs – w 1913 r. w Bremie nauczyciel Heinz Schmidt zastrzelił pięcioro dzieci i ranił ponad 20 osób. Do tej jednak pory agresorami nie byli uczniowie. Dziennikarze nie wiedzieli, jak zająć się tematem. I to, co dzisiaj byłoby na pierwszych stronach, lokowano





Władysław Bończa-Osmołowski przeżył strzelaninę i służył w lotnictwie.
Obok: **rewolwer Nagant popularny w tamtym czasie.**
Poniżej: **nekrologi zabitych w szkole.**



Wilno, Piątek 8-go maja 1925 r.

Rok IX.

№ 104.

DZIENNIK WILEŃSKI

JAN JANKOWSKI

JAN JANKOWSKI

Aleksander Zagorski

Państwowy Zakład Zdrojowy w KRYNICY.

BACZNOŚĆ!!! „SOBÓTKA SOKOLA"

PORADNIA

„KONSUMENT"

BIURO REKLAMOWE Stefana Grabowskiego

Telefonem z Warszawy.

Interpelacja w sprawie wydarzenia w gimnazjum im. Lelewela.

Dalszy ciąg przesilenia w Wyzwoleniu.

Ustąpienie ministra Kiedronia.

Ustąpienie wice-ministra gen. Majewskiego.

P. Thugutt znów grozi ustąpieniem.

Dymisja zastępcy kom. rządu na m. Warszawę.

Wybuch bomby na Starem-Mieście a policja polityczna.

Podpisanie umowy kolejowej między Polską a Rosją.

Aresztowanie sprawcy zamachu na po...

Deklaracja polska w sprawie handlu

Odpowiedź Francji.

Wojna w Marokku

epiasa.pl/796d/...

gdzieś na peryferiach, często za ogłoszeniami i repertuarami operetek.

Sprawy nie ułatwiał fakt, że do opinii publicznej przenikało niewiele informacji z dochodzenia, które prowadził prokurator Hołownia. Współczesny litewski naukowiec, prof. Juozapas Blažiūnas z Katedry Kultury Cyfrowej i Komunikacji Uniwersytetu Wileńskiego, badając źródła, zauważył, że „żadne wnioski ze śledztwa nie zostały nigdy podane do publicznej wiadomości". Co więcej, nie wiadomo nawet, czym zakończyło się prokuratorskie dochodzenie.

Kim byli zamachowcy i co ich skłoniło do desperackiego aktu przemocy? Zarówno Stanisław Ławrynowicz, jak i Janusz Obrąpalski wywodzili się z zamożnych ziemiańskich rodzin. Ojciec Ławrynowicza zasiadał w radzie miasta, ojciec Obrąpalskiego zajmował wysokie stanowisko w banku. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, że ich synowie sięgną w szkole po broń. Choć niekarani, byli już znani policji z wcześniejszych wybryków, w tym szalonych przejażdżek samochodem po ulicach miasta. Doświadczyli wojny i traumy, którą przynieśli ze sobą do klas Lelewela.

Śledztwo ujawniło, że zamach starannie zaplanowali: w sali gimnazjum znaleziono dwa kilogramy materiałów wybuchowych oraz arsenał granatów szturmowych. Odkryto także list pożegnalny Obrąpalskiego adresowany do narzeczonej, choć jego treść nie została ujawniona. Obaj byli powiązani z paramilitarną młodzieżówką wzorowaną na litewskich Strzelcach, co tłumaczyło ich dostęp do broni. Niektóre gazety, w tym „Robotnik", spekulowały, że atak mógł mieć związek z komunistycznym podziemiem, albo też był „skutkiem bolszewickich metod wychowawczych", jak donosił „Kurier Poznański". Były to jednak przypuszczenia niepoparte żadnymi dowodami.

Nawet i dziś, po seriach wstrząsających morderstw dokonywanych przez uczniów, głównie w Stanach Zjednoczonych, nie stworzono jednego profilu psychologicznego sprawcy strzelaniny szkolnej. Zamiast tego naukowcy skupiają się na tzw. ścieżce zachowań, która prowadzi do przemocy. Obejmuje ona często wykluczenie społeczne, psychologiczne zaabsorbowanie przemocą, wcześniejsze ujawnianie zamiarów (leakage) oraz dostęp do śmiercionośnych narzędzi. Dopiero zespół tych czynników prowadzi do ekstremalnych decyzji.

W sytuacji z Wilna 1925 r. mamy bardzo ograniczone dane o samych sprawcach. Mimo to, wykorzystując szczątkowe informacje biograficzne oraz wiedzę o zespole stresu pourazowego (PTSD), można wysunąć hipotezę, że w tym konkretnym przypadku mogły odegrać znaczącą rolę dwa czynniki istotne w mechanizmach przemocy młodzieńczej.

Pierwszym z nich jest fascynacja bronią i przemocą w kontekście siły oraz dyscypliny militarnej. W latach 20. XX w. żywe były wspomnienia wojny, a broń była w domach powszechna. Obaj sprawcy należeli do organizacji strzeleckich, w których kształtowano etos wojskowy. Psychologowie podkreślają, że nawet jeśli obecność broni w domu nie determinuje przemocy, dostęp do niej w połączeniu z młodzieńczą potrzebą sprawdzenia się, zaznaczenia swojej obecności i poczucia kontroli, może znacząco zwiększać ryzyko tragedii. Badania kryminologa Adama Lankforda z 2016 r. wskazują, że w krajach o wysokim wskaźniku posiadania broni palnej nawet społeczności względnie pokojowe mogą być podatne na masowe strzelaniny.

Drugim istotnym czynnikiem była trauma powojenna i doświadczenie przemocy w młodym wieku. Współczesne badania w ramach przedsięwzięcia The Violence Prevention Project wskazują, że 42 proc. sprawców masowych strzelanin doświadczyło przemocy fizycznej lub seksualnej, traumy w dzieciństwie, utraty bliskich lub zaniedbania emocjonalnego, a 72 proc. miało myśli samobójcze.

W przypadku Stanisława Ławrynowicza doświadczenia frontowe mogły utrwalić przekonanie, że przemoc bywa skutecznym narzędziem. Ale także – jak pokazali prof. Resul Cesur z University of Connecticut i współautorzy publikacji „The Psychological Costs of War: Military Combat and Mental Health" (Psychologiczne koszty wojny: wojna i zdrowie psychiczne) – znacznie zwiększyć ryzyko rozwoju zespołu stresu pourazowego. Badania wykazały, że żołnierze uczestniczący w walkach lub odnoszący obrażenia byli o 23,9 pkt proc. bardziej narażeni na diagnozę PTSD, a doświadczenie bezpośredniej walki z przeciwnikiem wiązało się ze wzrostem ryzyka o 18,3 pkt proc. w porównaniu z żołnierzami, którzy nie zostali poważnie ranni lub nie uczestniczyli w bojach.

Janusz Obrąpalski, choć nie brał udziału w bezpośrednich starciach, doświadczył traumy w inny sposób. Strata majątku rodzinnego na skutek traktatu ryskiego z 1921 r. i poczucie bezsilności mogły w nim wytworzyć silny stres psychiczny. Badania przeprowadzone wśród chorwackich cywilów, którzy w latach 1991–95 doświadczyli traumy wojennej – w tym utraty dobytku lub przesiedleń – wskazują, że u takich osób bezpośrednim skutkiem mogą być depresja lub stany lękowe, zdolne doprowadzić nawet do samobójstwa. Wspomniane zaburzenia występują u nich znacznie częściej niż u osób, które nie doznały strat materialnych.

Dodatkowym czynnikiem wyzwalającym agresję był system edukacyjny. Surowy dyrektor, rygorystyczny program nauczania, ogromna presja egzaminacyjna i poczucie, że jeden błąd może zamknąć drogę do studiów – to wszystko potęgowało frustrację.

Losy zamachowców mogły się jednak potoczyć inaczej. Tak jak ich kolegi z gimnazjum im. Lelewela – Witolda Pileckiego. Byli w podobnym wieku. Pilecki to rocznik 1901, Ławrynowicz – podawane są różne daty, ale najczęściej mieszczące się w przedziale 1902–05. Obydwaj, Ławrynowicz i Pilecki, walczyli w wojnie polsko-bolszewickiej, choć w przypadku Ławrynowicza brak konkretnych informacji. Obaj, jak się zdaje, mieli podobny start, podobne doświadczenia i w podobnym czasie dokonywali wyborów, które popchnęły ich w zupełnie różne strony. Czego zatem zabrakło?

MARTA PANAS-GOWORSKA
ANDRZEJ GOWORSKI



KUP TERAZ

Więcej przeczytasz
w Pomocniku Historycznym POLITYKI
„DWIE DEKADY II RP"
dostępnym na **sklep.polityka.pl**

© HERMANN HISTORICA/INTERFOTO/FORUM, AN, POLONA

eprasa.pl 796dd59b18



Pomnik arcybiskupa Bolesława Kominka we Wrocławiu

Bez przebaczenia

W Roku Pojednania – 60 lat po przełomowych słowach biskupów polskich do niemieckich: „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” – postawa naszych hierarchów wobec Niemiec jest już niechrześcijańska.

ADAM KRZEMIŃSKI

W maju arcybiskup lubelski Stanisław Budzik, przewodniczący „grupy kontaktowej” obu episkopatów, zapowiadał na 18 listopada wspólne obchody rocznicy wymiany listów, zapewniając, że „da to nowy impuls naszym relacjom”. Jednak w lipcu emerytowany biskup włocławski Wiesław Mering podczas pielgrzymki Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę przywołał sentencję XVII-wiecznego poety, że „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”. Jak gdyby w tysiącletniej historii obok zmagań z zachodnimi sąsiadami nie było także wzajemnego współżycia, przenikania, małżeństw i konwersji.

Przesłanie chrześcijańskie głosi wprawdzie wartości uniwersalne, ale od pokoleń podsycało także narodowy egocentryzm. W Polsce w czasach opresji koronowano obrazy maryjne. Maria od XIII w. była uznana za królową niebios i świata, ale jako Królowa Polski miała brać w opiekę ten szczególny kraj. W Niemczech po utworzeniu cesarstwa w 1871 r. Bismarck rozpoczął w imię niemieckiej tożsamości państwa i protestanckiej religii państwowej walkę z Kościołem katolickim, zależnym od „zaalpejskiego” Watykanu. Z kolei w pierwszej połowie XX w. papieże nieufnie traktowali katolicką Akcję Francuską właśnie z powodu jej nacjonalizmu.

Polski przypadek był jednak szczególny. Wobec ułomności czy wręcz braku polskiej państwowości w XIX w. Kościół katolicki był jedną z niewielu instytucji kształtujących narodową tożsamość. Hasło „Polak to katolik” oddziaływało silniej niż dziedzictwo wieloetnicznej i wielowyznaniowej polsko-litewskiej Rzeczpospolitej, a nawet więź z papiestwem, które – w interesie światowego katolicyzmu w Rosji, Austrii czy Prusach – niechętnie reagowało na polskie ambicje niepodległościowe. Stąd u Słowackiego rozczarowanie Kordiana słowami papieża, że Polacy powinni uprawiać ziemię i modlić się, zamiast buntować. A w 1848 r. podniesiony głos Mickiewicza po uwadze papieża, że pobłogosławienie Polskiego Legionu uraziłoby ambasadorów Rosji, Prus i Austrii. Znawca Polski Hansjakob Stehle w 1975 r. pisał, jak unikowa była postawa Piusa XII wobec niemiecko-radzieckiego najazdu na Polskę w 1939 r. i jak dwuznaczna po 1945 r. groźba papieskiej ekskomuniki komunistów.

Odpowiedzią polskiego episkopatu było – wbrew Watykanowi – kompromisowe porozumienie z komunistami z 1950 r. Kościół odżegnywał się od zbrojnego podziemia. Obiecywał wspierać odbudowę kraju i pracę dla dobra narodu, zabiegać w Watykanie

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 796dd59b18

o zmianę obsady diecezji na Ziemiach Odzyskanych oraz przeciwstawiać się niemieckiemu rewizjonizmowi. Stwierdzał, że papież jest najwyższym autorytetem w kwestiach wiary, moralności i jurysdykcji kościelnej, ale w innych sprawach episkopat kieruje się polską racją stanu. Władze zobowiązały się natomiast zapewniać swobodę działania katolickich instytucji i naukę religii w szkołach.

To porozumienie nie przerwało represji wobec Kościoła, łącznie z procesami księży i internowaniem prymasa Stefana Wyszyńskiego w 1953 r., ale pozwoliło przetrwać stalinizm i w 1956 r. zyskać wręcz oficjalny status moralnej instancji korygującej władzę świecką. W Watykanie z pewną niechęcią przyjęto zasadę: *Polonia fara da se* – Polska postępuje po swojemu, sama sobie da radę...

W PRL nasz katolicyzm był właściwie narodowy, ale powiązania Kościoła z Zachodem miały fundamentalne znaczenie. Zwłaszcza po październiku 1956 r., na fali soborowego „przewietrzania Watykanu" przez Jana XXIII i złagodzenia zimnej wojny, kardynał Wyszyński mógł stawiać na tradycyjną wiarę ludową, jednak soborowy duch ekumenizmu i „dialogu z niewierzącymi" był atrakcyjny dla wielu środowisk – nie tylko Klubów Inteligencji Katolickiej oraz czytelników „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i „Więzi".

„Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim", zwane „Listem biskupów polskich do biskupów niemieckich", powstało w atmosferze tego otwarcia. Ponadto prymas Wyszyński miał nadzieję na pielgrzymkę papieża Pawła VI do Polski z okazji obchodów Tysiąclecia, a ta – niezależnie od zgody władz PRL – bez pojednania i obecności biskupów niemieckich byłaby nie do pomyślenia.

List do niemieckich biskupów był jednym z 56 zaproszeń dla episkopatów innych krajów. Ale tylko on wywołał oburzenie władz i w dużej mierze także społeczeństwa. Jednak ta wymiana listów okazała się przełomowa dla relacji polsko-niemieckich. Jego polityczną kontynuacją było uklęknięcie kanclerza Brandta w grudniu 1970 r. przed warszawskim pomnikiem Bohaterów Getta oraz w 1989 r. „msza pojednania" w Krzyżowej z udziałem premiera Mazowieckiego i kanclerza Kohla.

Bez zainicjowanego przez arcybiskupa Wrocławia Bolesława Kominka listu, bez praktyki pojednania i współpracy obu episkopatów w latach 70., bez wizyty polskich biskupów w RFN w 1978 r. nie byłoby polskiego papieża. Bo Karol Wojtyła został wybrany z inicjatywy i głosami głównie niemieckich i amerykańskich kardynałów. Przejawem tej polsko-niemieckiej współpracy w Kościele był swoisty tandem Jana Pawła II i kardynała Ratzingera, późniejszego następcy polskiego papieża.

Wspomniane 18 razy w polsko-niemieckim traktacie z 1991 r. słowo „pojednanie" przypominało o teologicznym wymiarze przełomu.

Przez ćwierć wieku polski katolicyzm był papieski. Widok milionów wiernych lgnących na całym świecie do papieża Polaka nakładał się w kraju na poczucie szczególnej opieki z Watykanu w czasie stanu wojennego i dumy z polskiego wkładu w obalenie komunizmu. Jan Paweł II silnie akcentował europejskość Polski. W rozmowie z Michaiłem Gorbaczowem w 1989 r. mówił o dwóch płucach – zachodnim i wschodnim, którymi oddycha Europa. A w 2003 r., tuż przed referendum unijnym w Polsce, swym autorytetem przytłumił eurosceptycyzm wielu hierarchów. Przerzucał pomost „od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej".

Po tych słowach – jak w „Więzi" pisał ks. Alfred M. Wierzbicki – większość biskupów nad Wisłą mówiła językiem, którym wcześniej posługiwali się tylko nieliczni z nich: Muszyński, Życiński, Gocłowski, Nossol, Pieronek. Jan Paweł II wskazywał na europejskie korzenie polskości. W UE widział przestrzeń do respektowania praw człowieka i narodów, współpracy państw i społeczeństw. Granice Europy utożsamiał z granicami chrześcijańskiej ewangelizacji. Ale doceniał też „owoce dobra na glebie Oświecenia". I tak też zatytułował jeden z rozdziałów swej ostatniej książki.

Zarazem papież z Polski chyba przecenił religijne uniesienie rodaków. Swe rozczarowanie wyraził już w 1995 r. w liście do „Tygodnika Powszechnego" – od dziesięcioleci witryny katolicyzmu otwartego w Polsce. Żalił się redaktorowi Turowiczowi, że po 1989 r. Kościół w atmosferze pomówień o klerykalizm i chęć współrządzenia nie znalazł w „Tygodniku" odpowiedniego wsparcia i obrony. Narodowo-konserwatywna część episkopatu dostała wiatru w żagle.

Cezurą okazał się rok 2005 – śmierć Jana Pawła II oraz zwycięstwo PiS w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Trudno było prawicy wprost odrzucić prounijną postawę polskiego papieża i jego osobisty wkład w polsko-niemieckie pojednanie. Kusiło jednak sprzęganie tronu i ołtarza w codziennej polityce. Zaczęło się od oficjalnego „schładzania" relacji z Niemcami i kwestionowania korzyści z członkostwa w UE, najpierw przedstawianej jako bezduszne „superpaństwo" i zagrożenie dla chrześcijańskich wartości, a z czasem – jako „niemiecka IV Rzesza". W 2017 r. – dwa lata po powrocie PiS do władzy – abp Henryk Muszyński, zasłużony dla dialogu polsko-niemieckiego, w rozmowie z Lidią Ciecierską i Tomaszem Dostatnim przestrzegał przed głębokim kryzysem we wzajemnych stosunkach oraz samoizolacją Polski w Europie.

Ówczesny prymas senior przyczyn zapaści upatrywał w odmowie w 2015 r. przyjęcia przez Polskę 7 tys. uchodźców, mimo wielokrotnie powtarzanych apeli papieża Franciszka oraz inicjatywy polskich biskupów. Abp Muszyński mówił też o podjęciu przez rząd tematu reparacji wojennych, mimo że w 1953 r. rząd PRL zrzekł się wszelkich roszczeń, a traktat z 1991 r. nie wspominał o odszkodowaniach.

W 2014 r. kard. Reinhard Marx zastanawiał się w Warszawie, w jaki sposób oba episkopaty mogłyby upamiętnić 50. rocznicę wymiany listów z 1965 r.: „Nie wiem, czy w swoich krajach doszlibyśmy do wspólnego stanowiska, a co dopiero razem...". W 2017 r. abp Marek Jędraszewski ogłosił pogrzeb Unii Europejskiej, w której „zaczęli walczyć z Panem Bogiem". A w 2020 r. bp Józef Zawitkowski pomstował na warszawiaków za profanowanie Chrystusa tęczową flagą.

Słowa bp. Meringa o odwiecznej wrogości wobec Niemców wywołały wstrząs wśród polskich katolików. Tomasz Terlikowski – kiedyś sympatyk Kościoła jako „oblężonej twierdzy" – tyradę z Jasnej Góry uznał za „formę narodowego neopogaństwa" w episkopacie. A metropolita Wrocławia, abp Józef Kupny, zapewniał, że będzie kontynuować pojednanie zainicjowane przez arcybiskupa Kominka. „We Wrocławiu zamiast »jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem« wolimy zdecydowanie: »przebaczamy i prosimy o przebaczenie«". Ale dziś to głos mniejszości. ■

eprasa.pl 796dd59b18



serial

Jedyny i niepowtarzalny 5/6

Jedyna (Pluribus), twórca serii: Vince Gilligan, 9 odc., Apple TV

W „Zadzwoń do Saula" Vince Gilligan kontynuował wątki swojego poprzedniego hitu, serii „Breaking Bad", skupiając się na drugoplanowym bohaterze oryginału. Ta opowieść, w której Gilligan jako twórca łączący głębokie spojrzenie w ludzką psychikę z szaloną akcją i surrealistycznym poczuciem humoru osiągnął nowe szczyty, zakończyła się po sześciu sezonach w 2022 r. „Jedyna" to nowa fabuła, nowi bohaterowie, a nawet inny gatunek: science fiction! Jednak fani poprzednich seriali odnajdą tu znane motywy, a przede wszystkim znajome krajobrazy, bo akcja w dużej mierze dzieje się znów w Albuquerque w Nowym Meksyku. W głównej roli, autorki mało ambitnych, ale bestsellerowych romansów, Carol Sturki występuje **Rhea Seehorn**, czyli pamiętna charyzmatyczna prawniczka i partnerka Saula z „Zadzwoń..." (w obsadzie jest też m.in. Karolina Wydra). Nie walczy tym razem z meksykańskimi kartelami narkotykowymi, ale i tak jest ciekawie, bo akcja zaczyna się od... wiadomości z kosmosu, która diametralnie zmienia życie na Ziemi. Carol tą zmianą nie jest zachwycona i zrobi wszystko, żeby przywrócić ludzkość do ustawień fabrycznych, czyli jednostek zmagających się ze sobą, z życiem, czasem szczęśliwych, częściej zirytowanych i sfrustrowanych. Wolnych. To bardziej kameralna opowieść, z żałobą i samotnością na pierwszym planie, ale jak zwykle u Gilligana: zaskakująca, intrygująca, pełna paradoksów i wciągająca.

ANETA KYZIOŁ

serial

Komiksowa prawda 3/6

Czarna śmierć, scen. Wojciech Lepianka i Piotr Derewenda, reż. Kuba Czekaj, 7 odc., TVP VOD



Pięć lat po wybuchu pandemii Covid-19 TVP przypomina epidemię ospy prawdziwej we Wrocławiu latem 1963 r. i lockdown miasta. Kuba Czekaj, reżyser m.in. „Baby Bump" i „Królewicza Olch", nie stawia na jak najwierniejsze oddanie ówczesnych realiów, jak choćby twórcy odwołujących się do historycznych tragedii, głośnych „Wielkiej wody" i „Heweliusza". „Czarna śmierć" to dość karkołomny miks faktów i zabaw stylistycznych. Bohaterowie przypominają postacie z komiksów, całością rządzi zasada przerysowania, kampu, ale w wersji „bieda PRL". Na myśl przychodzi „Zły" Tyrmanda z 1955 r. jako rodzima odpowiedź na historię superbohatera. Zaczyna się od powrotu do kraju z tajnej misji bardzo tajnej agentki Łucji Winter (Agnieszka Podsiadlik), szarej eminencji wrocławskiej PZPR. Kolejnym bohaterem jest dziennikarz lokalnej gazety Igor Bielik (Tomasz Ziętek), któremu epidemia niszczy rodzinne szczęście, następną – młoda, oddana pacjentom lekarka (Anna Karczmarczyk) – ta dwójka rozpocznie poszukiwania „pacjenta zero" i prawdy, wbrew partyjnej propagandzie i groźnym minom agentki Winter. TVP w przedpremierowych zapowiedziach reklamuje serial jako historię o potrzebie wolności i prawdy silniejszych niż komuna. Do recenzji udostępniła jednak tylko dwa odcinki, a te zapowiadają serial irytująco skupiony na stylu, gubiący opowieść i emocje. AK

© APPLE TV, TVP, MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA W WILANOWIE, MP, MARTA ANKIERSZTEJN-WĘGIER

eprasa.pl 796dd59b18

galeria

Miłe złego początki 4/6

Sobiescy i Stuartowie. Blask i widmo korony, Muzeum Pałacu króla Jana III w Wilanowie, do 31 maja 2026 r.



Pretekstem do tej wystawy było melodramatyczne wydarzenie historyczne. Oto wnuczka Jana III Sobieskiego i jedna z najbogatszych dziedziczek Europy, Maria Klementyna, uwięziona została w zamku w Innsbrucku przez cesarza Karola VI Habsburga, który chciał zapobiec jej ślubowi z pretendentem do tronu Anglii, Szkocji i Irlandii, księciem Jakubem Stuartem. Księżna (wraz z matką) uciekła jednak z internowania i poślubiła księcia. I choć owocem tego związku było dwóch synów, to dalsze losy nowożeńców nie okazały się szczęśliwe. Starania Jakuba o tron spełzły na niczym, małżeństwem targały kryzysy, a Maria Klementyna rychło popadła w depresję, zostawiła rodzinę, wstąpiła do klasztoru i zmarła, mając zaledwie 34 lata. Elegancko zaaranżowana wystawa krok po kroku opowiada niezwykłą historię, która połączyła dwa królewskie rody. Główne miejsce zajmują okazałe portrety bohaterów pędzla Antonia Davida. Ale nie brakuje eksponatów świetnie wprowadzających w ducha epoki i tamtych wydarzeń, od zegarka Marii Klementyny, przez liczne obrazy i grafiki obrazujące życie małżeństwa na wygnaniu w Rzymie, po listy i dokumenty z epoki. A na szczególnie dociekliwych czeka rozległe drzewo genealogiczne, wyjaśniające zawiłe relacje dynastyczne bohaterów.

PIOTR SARZYŃSKI

festiwal

Zdjęcia i gwiazdy

33. Międzynarodowy Festiwal Filmowy EnergaCAMERIMAGE, Toruń, 15–22 listopada



Naznaczona szokującą przemocą i brutalną religijnością szwajcarsko-brytyjska produkcja „Anemone" Ronana Day-Lewisa otworzy tegoroczną edycję festiwalu poświęconego sztuce operatorskiej. W sfilmowanej z wrażliwością zagadkowej historii o poszukiwaniu odkupienia przez dwóch skłóconych braci główną rolę gra Daniel Day-Lewis, trzykrotny laureat Oscara i ojciec debiutującego reżysera. W konkursie głównym znalazło się 12 tytułów, w tym trzy z Polski („Kafka", „Chopin, Chopin!", „12 obrazów zniewolenia") oraz jeden z oscarowych faworytów, głośny brytyjski dramat kostiumowy „Hamnet" Chloé Zhao o okolicznościach powstania szekspirowskiego arcydzieła „Hamlet", ze zdjęciami Łukasza Żala. Aktorka Cate Blanchett, zeszłoroczna szefowa jury, odbierze podczas gali zamknięcia nagrodę Icon Award. Zaproszenie przyjął także brytyjski reżyser Paul Greengrass, autor m.in. filmowego cyklu o Jasonie Bournie, oraz amerykańska gwiazda Kristen Stewart, która pokaże „Chronologię wody" we własnej reżyserii. Spośród wielu wydarzeń specjalnych warto wymienić polską premierę dokumentu „Megadoc" Mike'a Figgisa portretującego Francisa Forda Coppolę oraz pokaz debiutu reżyserskiego kolejnej hollywoodzkiej gwiazdy, Scarlett Johansson, „Eleonora Wielka".

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Szczegóły: **camerimage.pl**

scena

Jak osiągnąć i przetrwać 5/6

Jak osiągnąć sukces, orgazm i oświecenie duchowe w weekend, tekst i reż. Michał Sufin, Klub Komediowy w Warszawie



Długiemu tytułowi odpowiada równie długi spektakl pełen wątków, scen, piosenek, postaci i zwrotów akcji. Dobry stosunek ceny biletu do długości (i jakości) spektaklu – jak szybko policzyliby bohaterowie innych dzieł Michała Sufina (nie tylko „Jak być Polakiem i niedrogo za to zapłacić" czy „Wystarczy wcześniej wstawać i ciężej pracować!") z klasy wiecznie aspirującej do średniej. „Jak osiągnąć sukces..." to kontynuacja tematów rozpoczętych w świetnym „Moja żona odeszła z naszą terapeutką, czyli jak zakończyć wieloletni związek i nic przy tym nie poczuć". Tam humor i zabawy słowem, charakterystyczne dla Sufina i Klubu Komediowego, łączyły się z nowym i zaskakującym tonem serio, zaglądaniem w bolesne rejony, z opowieścią o ojcostwie, dorosłości, strachu przed samotnością i starością... Tu jest podobnie, czyli zabawnie i przejmująco, czasem na przemian, czasem jednocześnie. Główny bohater Gustaw (Mateusz Lisiecki), po rozwodzie i z dwiema małoletnimi córkami w opiece naprzemiennej, próbuje ułożyć sobie życie uczuciowe. Z jednej strony nasz nowy wspaniały świat kusi rozbudowaną ofertą aplikacji randkowych, situationshipów i związków poliamorycznych. Z drugiej – żeby się tam dostać, trzeba być człowiekiem sukcesu, najlepiej w liczbie mnogiej i na wielu polach. Oryginalnymi radami służą m.in. nieempatyczna psychoterapeutka i rodzima wersja Elona Muska. AK

eprasa.pl 796dd59b18

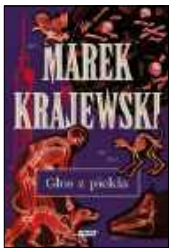

Mock w cieniu 4/6

Marek Krajewski, **Głos z piekła**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2025, s. 414



Za każdym razem, gdy Marek Krajewski zapowiada koniec powieściowych przygód Eberharda Mocka, po paru latach do losów policjanta z Breslau wraca. I dobrze, bo nie w każdym gatunku literackim czuje się tak pewnie jak w konwencji kryminału retro, a Mock to wciąż postać fascynująca. W „Głosie z piekła" usuwa się jednak w cień, na pierwszy plan wychodzi zaś Herbert Anwaldt, student psychologii, którego wrocławska policja prosi o pomoc w sprawie rodzinnej tragedii, która dotknęła rodzinę hrabiego von Babbitza. Śledczy szukają zaginionej żony arystokraty – w sprawę może być zamieszana złowroga pogańska sekta – a Herbert ma zbadać jego córkę, rzekomo opętaną przez diabła. Krajewski ponad dwie dekady temu ustalił zasady gry, jaką prowadzi z czytelnikami, dobrze jednak, że wciąż potrafi je naginać do własnych potrzeb. Jak zawsze pisze z naturalistyczną dosłownością, precyzyjnie odmalowując historyczne realia (akcja toczy się tym razem w Legnicy w połowie lat 20.), w sensacyjną intrygę wplatając elementy zaczerpnięte wprost z horroru. Efekt jest co najmniej intrygujący, gatunkowa niejednoznaczność „Głosowi z piekła" służy, autor dyskretnie kłania się tu klasykom fantastyki grozy, ze Stefanem Grabińskim na czele, lecz równie wiele czerpie z historycznych opracowań na temat psychiatrii. W środkowej części tempo nieco siada, jakby pisarz na chwilę stracił zainteresowanie głównym kryminalnym wątkiem, w porę jednak kieruje akcję na odpowiednie tory.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Gatunek czytający

Justyna Sobolewska, **Książka o (nie)czytaniu**, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2025, s. 304

Czytelnikom POLITYKI Justyny Sobolewskiej nie trzeba przedstawiać. Koledzy i koleżanki z redakcji przedzierają się zwykle przez książkowe chaszcze na jej biurku, pod nim i na parapecie obok. Te przytłaczające stosiki to znana bolączka zbieraczy i pożeraczy tytułów. Justyna ma je oczywiście też w domu, walczą dzielnie z „bożkami Lego" i kurczącą się przestrzenią. O tym właśnie – o książkach, czyli o wszystkim – jest „Książka o (nie)czytaniu". Ukazuje się trzeci raz, zawsze gęsto uzupełniona i w innym kontekście: społecznym, politycznym (mamy wojnę tuż obok, pandemię za sobą), ludzkim. Nowy jest też przedrostek „nie", bo coraz więcej nas rozprasza. Czytanie – pisze Justyna – staje się trudniejsze od innych aktywności, tracimy luksus uwagi. Czy gatunek czytający jest skazany na wyginięcie – to jedno z jej pytań i lęków. Albo taka wątpliwość: czy coś nas jeszcze zachwyci? Czy wypada czytać w toalecie? Co zabrać w podróż? Czytać to, co pasuje do krajobrazu, czy przeciwnie? (opcja „kontrastu" chyba wygrywa). I czy książki pisane z bólem gorzej się czyta? Powracają tu Sontag, Woolf, Manguel, Perec. Jak czytać – nie tylko książki, ale też świat dookoła – podpowiadał nieodżałowany Marcin Wicha, tu obecny bardzo mocno. Była i jest jeszcze wśród nas solidna wspólnota czytaczy, których może dzielić wszystko, ale to jedno łączy. To książka dla nich. Jest jak porozumiewawczy uśmiech rzucony w metrze do kogoś, kto też wolał czytać, niż scrollować telefon.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Uwięziona 5/6

Heather Clark, **Czerwona kometa. Krótkie życie i nieśmiertelna sztuka Sylvii Plath**, przeł. Jarosław Mikos, Marginesy, Warszawa 2025, s. 1176

Od czasu samobójczej śmierci Sylvii Plath w lutym 1963 r. kontekst biograficzny nadał interpretacjom jej twórczości dramatyzmu. Utożsamiana z poetycką Panią Łazarz z tomu „Ariel", od lat jest obiektem popkulturowych fantazji. Monumentalna biografia Heather Clark to książka wielowymiarowa, stawiająca dociekliwość ponad gotowe tezy. W 2020 r. znalazła się w finale Nagrody Pulitzera. Clark zaczyna tradycyjnie, od amerykańskiego dzieciństwa. Przygląda się perypetiom okresu Wellesley i Smith College, trudnemu doświadczeniu hospitalizacji na przełomie 1953 i 1954 r., radości studiowania w Cambridge. Z równie ciekawych rozdziałów o mniej znanym etapie bostońskim dowiemy się o rywalizacji z Anne Sexton czy wpływie Roberta Lowella i poezji konfesyjnej. Dostrzegamy, że Plath przeżywała rzeczywistość w sposób niezwykle tekstowy. Fizyczna ekscytacja, jaka towarzyszy pisaniu, przeplata się u niej z lękiem przed „czystą kartką". Plath, którą poznajemy na kartach biografii, jest zdeterminowana, ambitna, głodna życiowych doświadczeń, zmaga się z depresją, całą sobą przeżywa trudną więź z matką i związek z Tedem Hughesem. Rozmach „Czerwonej komety" onieśmiela. Z wierszy i opowiadań, setek odautorskich komentarzy, akademickich analiz i nowych materiałów archiwalnych (w tym znalezionych w 2017 r. listów do terapeutki) autorka wydobywa zarówno esencje, jak i niuanse. Jej książka to uczta dla wszystkich tych, którzy są ciekawi meandrów życia i twórczości Plath – poetki, jak pisze Clark, „uwięzionej między ikoną a stereotypem".

ALEKSANDRA MAJAK

eprasa.pl 796dd59b18

film

Nowy Adam 4/6

Frankenstein, reż. Guillermo del Toro,
prod. USA, Meksyk, 149 min, Netflix

Projekt marzeń, stanowiący kulminację gotyckich zainteresowań eksplorowanych właściwie od zawsze przez autora „Kształtu wody", budzi zachwyt głównie na poziomie oprawy plastycznej. Widowisko honoruje historyczną wartość powieści Mary Shelley, a zarazem daleko wykracza poza wymiar sensacyjnego horroru. Del Toro stworzył coś bliskiego operowej tragedii czy raczej staroświeckiej, baśniowej podróży, której patronują pytania, jak pokonać śmiertelność i co to znaczy być człowiekiem. Odczytuje przetworzony przez Shelley prometejski mit niedoskonałości wszelkiego stworzenia przez pryzmat historii przekazywania przez pokolenia grzechu pychy i odrzucenia. Victor Frankenstein (Oscar Isaac) powiela błędy swego sadystycznego rodzica (Charles Dance), skazując istotę, którą sam wykreował, na podobne cierpienie i ból. Film jest podzielony na dwie części. Najpierw poznajemy punkt widzenia ojca-stworzyciela, później swoją rację przedstawia potwór (**Jacob Elordi**). To jasne, że sympatia reżysera leży po stronie odmieńca, a główna idea, jak to w bajkach, wiąże się z przebaczeniem. Czy „Frankenstein" niesie jakieś współczesne przesłanie? Od biedy można go potraktować jako komentarz na temat sztucznej inteligencji i poczynań współczesnych guru technologicznych. JW





film

Srebrne łzy 5/6

Silver, reż. Natalia Koniarz,
prod. Polska, Norwegia, 78 min, w kinach od 14 listopada

Długie kręte korytarze kopalni srebra przypominają niekończący się labirynt. W jego ścianach kryje się majątek niedostępny dla ludzi, którzy go wydobywają. Boliwijscy górnicy – dorośli i dzieci, nie ma starszych osób, bo mało kto dożywa zaawansowanego wieku – od setek lat pracują niemal tak samo. Kiedyś wydobywali srebro dla hiszpańskich konkwistadorów, teraz – dla międzynarodowych korporacji, które wykorzystują kruszec przy produkcji urządzeń elektronicznych. Pozostali niewolnikami Cerro Rico, „góry, która pożera ludzi" – praca w kopalniach to dla nich jedyne źródło utrzymania. Natalia Koniarz i jej partner Stanisław Cuske, operator filmu, zamieszkali w prowizorycznym osiedlu górników, schodzili wraz z nimi pod ziemię, obserwowali codzienną pracę i bardzo rzadkie chwile wytchnienia w klubach nocnych leżącego u stóp góry miasta Potosi. „Silver" imponuje odwagą i artystyczną formą: fenomenalne zdjęcia Cuskego nadają mu niemal immersyjny charakter. Podejmuje ważny temat, lecz nie zmienia się w dokument interwencyjny. Daje za to przejmujący obraz świata, który wciąż urządzany jest wedle kolonialnych reguł, nawet jeśli kolonizatorzy dziś są już inni niż ci sprzed pięciu stuleci. To kino pozbawione zbędnego komentarza, cisza mówi tu więcej niż słowa, choć Koniarz czasami oddaje głos swoim bohaterom, którym odebrano nadzieję na lepsze życie, lecz nie godność.

JAKUB DEMIAŃCZUK

nie przegap

Katarzyna Stoparczyk,
Tym. Człowiek szczery na trzy litery,
Wyd. Otwarte, s. 336

W grudniu minie rok od śmierci Stanisława Tyma. I upłyną trzy miesiące od śmierci Katarzyny Stoparczyk w wypadku drogowym. Legendarnego autora, aktora i felietonistę POLITYKI oraz uwielbianą dziennikarkę radiowej Trójki łączyła życzliwość, z jaką patrzyli na świat i jaką budzili w innych. „Badałam życie tego niezwykłego człowieka szkiełkiem i okiem, i badałam sercem" – pisze autorka. Jej książka jest biografią impresyjną, złożoną ze wspomnień bohatera i jego przyjaciół oraz morza anegdot. AK





Funny Games,
reż. Michael Haneke,
prod. Austria, 1997 r., 109 min

Sadystyczna zabawa z emocjami widzów – tak w skrócie komentowano „Funny Games" po canneńskiej premierze, która wzbudziła autentyczny szok. Słynący z bezkompromisowości austriacki reżyser potraktował ten film jak eksperyment z przesuwaniem granic wytrzymałości widzów, a efekt tak bardzo go rozochocił, że kilka lat później nakręcił amerykański remake w gwiazdorskiej obsadzie. Powrót do kin oryginału to świetna okazja, by sprawdzić, czy ta prowokacja jeszcze działa. I czy to dobrze. JW

Festiwal Filmów Azjatyckich Pięć Smaków, Warszawa,
12–19 listopada i online

Już 19. edycja to jak zawsze okazja, by zobaczyć to, co najciekawsze i najważniejsze we współczesnym kinie azjatyckim, od Korei Południowej po Bhutan, lecz także by zerknąć w przeszłość m.in. dzięki sekcji prezentującej zapomniane arcydzieła japońskiej kinematografii lat 80. (jak **„Czerwone okulary"** Mamoru Oshiiego). Wśród premier znalazły się „Chmura" Kiyoshiego Kurosawy oraz głośne „Zmartwychwstanie" Bi Gana, a znacząca część pokazywanych na festiwalu tytułów będzie do obejrzenia także online. JD



© MACIEJ ZIENKIEWICZ/FORUM, NETFLIX, MP (7)

eprasa.pl 796dd59b18

Najciekawsze w aktorstwie jest usłyszeć siebie inaczej. I pomyśleć: a co to znaczy, dlaczego tak jest? – mówi **Jerzy Radziwiłowicz** przy okazji powrotu po latach do roli komisarza Gajewskiego w kontynuacji serialu **„Glina”**.



Mentor bez zobowiązań

ANETA KYZIOŁ: **– Miał pan niesamowite wejście na premierze trzeciego sezonu „Gliny”: prowadzenie przez kamery po czerwonym dywanie, standing ovation. Miła chwila dla aktora, który właśnie skończył 75 lat?**

JERZY RADZIWIŁOWICZ: – Było przyjemnie. Te firmy potrafią robić show, chyba tak teraz trzeba.

Nie wyczuwam przesadnego entuzjazmu. Nie jest pan fanem celebracji czy nie ma pan sentymentu do „Gliny” i swojej roli komisarza Gajewskiego?

Mam sentyment, ale takie „ściankowe” imprezy mnie troszkę bawią, para w gwizdek.

Pański udział w reaktywacji tej kultowej serii do ostatniej chwili trzymano w tajemnicy. Podlegał pan jakimś specjalnym procedurom w związku z tym?

Była sugestia, żebym na planie chodził w kapturze, ale nie skorzystałem. Żadnych dokumentów też nie podpisywałem, ale cała ta sytuacja z ukrywaniem była zabawna. Nie wiedziałem, że widzowie tak się tym interesują, czy będzie, czy nie będzie tego Gajewskiego, że ta kwestia tak rozgrzewa ludzi. Producenci wiedzą lepiej, bo się tym interesują, i umiejętnie na tym grali.

Ale świadomość statusu „Gliny” chyba pan miał? Serial portretuje Polskę początków XXI w. i cieszy się opinią jednego z najlepszych w historii, od finału drugiego sezonu w 2008 r. fani nie przestawali dopytywać o kontynuację.

Wiedziałem, że ma duże wzięcie i wielu fanów, ale ponieważ nie używam mediów społecznościowych i używać nie chcę, dociera do mnie tylko to, co ktoś o tym opowie albo mi napisze, czyli odpryski. Dopiero podczas kręcenia trzeciego sezonu dotarło

© ŁUKASZ BĄK

eprasa.pl 796dd59b18

więc do mnie, że – jak to się dziś mówi – wziąłem udział w rzeczy kultowej.

Komisarz Gajewski jest mentorem dla kolejnych pokoleń policjantów. W pierwszych sezonach dla Młodego granego przez Macieja Stuhra, w tym – dla Młodej (Nela Maciejewska). Jest pan kimś takim dla młodszych kolegów z Teatru Narodowego, podpatrują, wypytują?

Nowy sezon zachowuje schemat poprzednich, że jest ekipa, która ma swojego szefa, i do niej wchodzi nowy człowiek, i się wpasowuje, dostraja, dojrzewa z nią i tak dalej. Teraz młody Banaś Stuhra jest już starym czy może lepiej – dojrzałym Banasiem, a Młoda to policjantka już nowego typu, wszechstronnie wykształcona, dwujęzyczna, bo mieszkała też za granicą. Policja też jest już inna. Gajewski, którego ona prosi o pomoc w śledztwie zanurzonym w przeszłości, to taki mentor bez zobowiązań. Jest emerytem, nie ma więc zależności służbowej między nimi. A co do teatru? Tu zawsze istniała transmisja doświadczenia, młodsi przejmowali od starszych, ale łatwiej to zauważyć, gdy jest się tym młodym, podpatrującym i wybierającym sobie mistrzów. Trudniej dostrzec, czy samemu jest się podpatrywanym. Co o nas, starych, myślą młodzi? Trudno tu o pewność.

W czasach, gdy był pan w zespole krakowskiego Starego Teatru, żyliście w teatrze i teatrem, po spektaklach szliście do SPATiF-u naprzeciw teatru, ciągle razem. Dziś aktorzy do teatru wpadają, jest jednym z ich zajęć. Ale może przychodzą po radę?

Przychodzą, rozmawiamy oczywiście, bywam pytany o niektóre rzeczy. Mam wrażenie, że w zespole Narodowego jesteśmy ze sobą szczerzy albo przynajmniej się staramy być, atmosfera jest bardzo fajna. Ale to, o czym pani mówi, już dawno minęło. W teatrze zmiana jest olbrzymia, wtedy nie trzeba było żadnego wysiłku, żeby być razem i żyć teatrem, zwłaszcza w Krakowie, byliśmy wręcz skazani na siebie. Nie było wówczas takiego pojęcia jak „rynek zawodowy", on jakoś istniał, ale tak się o tym nie mówiło i skala była kompletnie inna. Dziś jest zupełnie inaczej i wystarczy, że powiemy, że jest inaczej i nie będziemy próbowali tego oceniać.

Pańskie krakowskie role: Myszkin w „Nastasji Filipownej" i Raskolnikow w „Zbrodni i karze", oba w reż. Wajdy, czy Henryk w „Ślubie" w reż. Jarockiego, przeszły do historii. Z rolami w Teatrze Narodowym sprawa nie jest tak oczywista. Które ceni pan najwyżej?

Na pewno przedstawienia zrealizowane z Jerzym Grzegorzewskim, Molier zrobiony z Jakiem Lassalle'em. Bardzo sobie też cenię spektakle Piotra Cieplaka, z najnowszym „Czekając na Godota" Becketta na czele. No i „Komedianta" Bernharda w reż. Andrzeja Domalika. Oczywiście tamte krakowskie role miały inny wymiar, ale to nie umniejsza wagi warszawskich.

Z czego to wynika, że ten wymiar się zmienia?

Miejsce teatru było wtedy w ogóle inne, generalnie był dużo ważniejszy niż teraz. Wszyscy, od twórców po widzów i krytykę, przykładali do niego inną wagę niż dzisiaj. Ale ja bym nie nie doceniał tego, co robimy teraz, bo to chyba zawsze tak jest, że się mówi: o, kiedyś to było fantastycznie!

Jest pan jednym z tych nielicznych aktorów, którzy zagrali u Jerzego Jarockiego wielkie role – i w Krakowie, i w Warszawie – i nie wspominają pracy z nim jako koszmaru.

Jerzy Radziwiłowicz (ur. 1950 r.) – aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, tłumacz sztuk Moliera i Pierre'a de Marivaux. W latach 1972–96 w zespole Starego Teatru w Krakowie, gdzie zagrał m.in. w legendarnych spektaklach Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy i Konrada Swinarskiego, a od 1998 r. w Teatrze Narodowym w Warszawie. Rola Mateusza Birkuta w „Człowieku z marmuru" w reż. Wajdy (1976 r.) otworzyła mu drzwi do kinematografii europejskiej, wystąpił m.in. w filmach Jeana-Luca Godarda i Jacques'a Rivette'a. W SkyShowtime właśnie miał premierę serial „Glina. Nowy rozdział", kontynuacja znanej produkcji TVP w reż. Władysława Pasikowskiego, z Radziwiłowiczem w roli komisarza Gajewskiego.

Reżyser jest od tego, żeby mieć zastrzeżenia do pracy aktora, to jego zadanie. To jednak nie musi i nie powinno powodować, że aktor czuje się upokorzony. Faktem jest, że Jarocki pozwalał sobie na bardzo nieprzyjemne traktowanie aktorów, ale też faktem jest, że niecierpliwiło go to, że aktorzy nie są gotowi przestawić się na jego propozycje, tylko trzymają się tego, co im wychodzi najlepiej. Wiemy, że potem zrobił się to modny temat: przemoc w teatrze. Niezależnie zaś od mody – tak, Jarocki pozwalał sobie być człowiekiem bardzo nieprzyjemnym w pracy. Natomiast ja nigdy z jego strony tego nie doświadczyłem, co być może ma związek z tym, że byłem otwarty na jego propozycje, bardzo mi się podobały i szybko za nimi szedłem. A abstrahując od jego stylu pracy, nie wszystkim odpowiadało, że Jarocki buduje tak silną formę i aż tak sztuczną. Bo on był najdalszy od tego, żeby uważać, że w teatrze jest cokolwiek naturalne. A wielu aktorów poczytuje sobie za sukces, że są naturalni w teatrze. I tu się też pojawiał pewien konflikt.

O Jarockim mówiono „matematyk", pan też w teatrze bardziej ceni logikę i rozum niż emocje?

Ten matematyk to miała być, zdaje się, obelga, że on jest zimny. No to ja sobie wyobrażam, jak rozgrzany do czerwoności matematyk dochodzi do rozwiązania równania, które go pasjonuje! Jeżeli mówimy o emocjach i temperaturze, to Jerzy Jarocki był człowiekiem, który ich namiętnie poszukiwał, ale były to emocje umysłu, co może się wydawać pojęciem sprzecznym samo w sobie. Ale jemu chodziło o gorączkę, temperaturę umysłu, a nie temperaturę bebechów. Nie każdego to pociągało, mnie tak.

Czy tamten Stary Teatr z lat 70. i 80., z najlepszymi spektaklami Jarockiego, Wajdy i Swinarskiego, miał jakiś wspólny mianownik, którym uwodził widzów i krytyków?

Robili różne spektakle, ale wszystkie łączyła precyzja myśli. Myślenie było nadrzędne. A potem, w jaki sposób człowiek z tym funkcjonuje, czyli do jakich emocji się dobieramy, do jakiego wnętrza człowieka się dobieramy – tu się ci ludzie bardzo różnili. Swinarski zajmował się tym, co się dzieje w głowie, jak to buzuje, ale również tym, jak to buzuje w organizmie. Jak sam mówił: człowiek nie istnieje wyłącznie od pasa w górę. Uważał, że zejście poniżej pasa jest zasadniczą rzeczą, żeby budować te napięcia, o które chodzi w wielkich dramatach i w człowieku. Andrzej Wajda właściwie też budował takie gorące sytuacje między ludźmi, tyle że robił to inaczej. Nie był ani tak precyzyjnym analitykiem tekstu jak Jarocki, ani tak głęboko nie sięgał do emocjonalności swoich aktorów, jak to robił Konrad Swinarski. Może się tego obawiał, może był na to za delikatny, żeby schodzić tak głęboko jak Konrad, przy czym, to trzeba powiedzieć, Swinarski robił to w całkowicie bezpieczny sposób. Stary Teatr tak budował swoją rozmowę z widzem: nigdy się nie zajmował ani propagandą, ani publicystyką, w środku komuny mówił cały czas o człowieku. Niektóre spektakle miały kłopoty, bo zajmowanie się człowiekiem, jego wolnością, jego myśleniem to nie był temat, który lubiła władza. Znamienne jest zdanie, które powiedział dyrektor Starego Teatru Stanisław Radwan w 1980 r., za czasów festiwalu Solidarności. Zapytany o to, co Stary Teatr będzie robił, gdy już jest wolność, odpowiedział: to samo. I miał rację. ▶

eprasa.pl 796dd59b18

▶ Ma pan żal do losu, że śmierć Swinarskiego w katastrofie lotniczej przerwała próby do „Hamleta" z panem w tytułowej roli?

Miałem żal do losu, ale nie o to, że nie zagrałem Hamleta, tylko że zginął genialny reżyser i wspaniały człowiek.

Pytam o aktorską frustrację, bo od dwóch lat w „Komediancie" Bernharda gra pan sfrustrowanego aktora. Kiedyś gwiazdę, wciąż z olbrzymimi ambicjami, zmuszoną występować na prowincji. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego gwiazdy wcielają się w role niespełnionych lub upadłych aktorów.

Rolą Bruscona w „Komediancie" nie mrugam do widza, jestem od tego jak najdalszy. Pewnie bym tak robił, gdybym chciał się obronić, zamaskować, zbudować dystans, a ja tego nie chcę i nie potrzebuję. Traktuję go bardzo poważnie i jego ambicje też. Ale też nie dokonuję wiwisekcji za pomocą tego tekstu, w żadnym wypadku, Bruscon to nie ja. On jest zdegradowanym aktorem – sam mówi, jak wielkie role grywał, i nie ma powodu, żeby mu nie wierzyć – ale ja w żadnym wypadku nie próbuję grać jego degradacji. Przeciwnie. On – a ja za nim – tę grę na wsi przyjmuje z godnością. Jest tam coś, co jest dla mnie zajmujące, mianowicie ta sztuka, którą napisał i o której cały czas opowiada.

W tej sztuce pokazuje olbrzymie ambicje, kogo i czego w niej nie ma!

Oczywiście, że ma ambicje, a kto nie ma. Ze strzępów informacji, jakie Bruscon rzuca, i z uwag, które daje swoim dzieciom w sprawie aktorstwa, ja wyciągam taki wniosek, że on o aktorstwie wie bardzo dużo. A sama sztuka – no cóż, Goethe w „Fauście" też daleko sięga... Jasne, może kiedyś wypadało, teraz rządzi ironia i już nie wypada, ale jak się na poważnie przyjrzeć temu, co Bruscon w tej sztuce umieścił, to tam jest zapisany pewien ciąg odpowiedzialności za losy świata, za jego niszczenie, za to, że on zmierza ku zagładzie. Możemy tego nie zauważać, gdy to czytamy czy słuchamy, ale tam jest np. tak: Goethe dostaje ataku kaszlu i Kierkegaard wynosi go z salonu po wejściu Hitlera i Napoleona. Gdy takie zdanie dokładnie przemyślimy, to według mnie on mówi, że Kierkegaard po wejściu Hitlera ratuje niemiecką kulturę. A w rzędzie tych, którzy niszczyli świat, stawia obok Stalina, Nerona, Napoleona i Hitlera także Churchilla, Roosevelta i Marię Skłodowską-Curie. Bo postęp czasem prowadzi do zagłady.

W tej inscenizacji, może to duch czasu, najsilniej wybijało się okrucieństwo Bruscona. To, jak tresował swoich najbliższych będących też członkami jego trupy teatralnej. Byli ofiarami jego zawodowych ambicji i frustracji.

No tak, on nie jest przyjemny, tego nie mam zamiaru bronić. Ale też na to pytanie sobie nigdy nie odpowiadaliśmy: dlaczego oni za nim jeżdżą. Wiem, że bardzo chętnie się wyciąga temat przemocy, i on tam oczywiście jest bardzo wyraźny. Ale myślę, że trochę zubażamy tę sztukę, kiedy ten temat staje się naczelnym.

Ma pan taką pozycję, że może pan wybierać role.

...tak strasznie dużo ról to mi znowu nie proponują, ale też nie rozpaczam z tego powodu. Wybieram teksty, które mają wiele do powiedzenia, z tekstami takimi sobie obcowanie jest mniej przyjemne. Od dawna staram się unikać tego, żeby myśleć o tym, co mówię o sobie, kiedy gram. Ciekawiej jest odwrotnie: czego się dowiaduję o sobie – co moi bohaterowie mogą powiedzieć o mnie jako człowieku osobiście i o człowieku w ogóle? Do jakich myśli skłaniają, kiedy się przygotowuję do roli? Bo jak gram, to już ostrożnie, bo to, co jest w roli emocjonalne, to trzeba przepracować na próbach, żeby potem nie rozsadziło roli w trakcie grania. Generalnie najciekawsze w tym zawodzie jest usłyszeć siebie inaczej. I pomyśleć: a co to znaczy, dlaczego tak jest? To jest najfajniejsze i najzabawniejsze w tym zajęciu, inaczej jest nudno.

W Teatrze Narodowym ostatnio nie było nudno. Gra pan Króla-Aktora w słynnym „Hamlecie", którym Jan Englert gorzko żegna się z dyrekcją po 22 latach. Pałeczkę przejął Jan Klata. Jak pan postrzega tę zmianę?

Zmianę władzy postrzegam jako rzecz naturalną, to się musi w pewnym momencie stać. Myślę, że z dobrym skutkiem, bo dobrze jest, że na czele tego teatru stoi artysta tego wymiaru – tak powinno być. A jak to się dalej rozwinie – zobaczymy, wszyscy są ciekawi.

A widział pan „Wesele" w reż. Klaty ze Starego Teatru, które nowy dyrektor ściągnął na trzy pokazy do Narodowego, żeby się przedstawić aktorom i widzom?

Tak, i bardzo mi się podobało: bardzo mocne, momentami porażające. „Wesele" znam na pamięć od szkoły teatralnej, a może i od liceum. A w tej inscenizacji usłyszałem parę rzeczy, których się nie spodziewałem tak usłyszeć. To jest to, o czym mówię: usłyszeć inaczej, siebie, kolegów, znany tekst. Klata dotyka czegoś w tej naszej rzeczywistości, w nas, dość bolesnego, nieprzyjemnego. Ścięte, martwe drzewo, na którym wisi kapliczka, pusta, na środku przestrzeni, która też jest pusta. Pustka. Już to jest znaczące. Żadna „chata rozśpiewana". I od tego to się zaczyna, potem ta pustka zapełniana jest rzeczami niekiedy no, żałosnymi, paskudnymi, nas dotyczącymi. To jest opowieść dotkliwa. I dobrze.

I w teatrze, i w kinie zaczął pan od wysokiego C, w tym drugim od roli Mateusza Birkuta w „Człowieku z marmuru" Wajdy. To dobry początek czy przekleństwo, bo może trudno potem doskoczyć do tego poziomu, tej wagi?

To powoduje, że szuka się potem równie poważnej rozmowy. Natomiast mam wrażenie, że w ogóle to nie zmieniło mojego podejścia do tego zawodu. Ten film otworzył mi wiele możliwości, wiele drzwi, z całą moją pracą za granicą włącznie, to jest oczywiste. W jakiś niezależny ode mnie sposób osadził mnie też w świadomości widzów, w ich postrzeganiu – wiem o tym i nie sprawia mi to przykrości. Tym bardziej że to jest kino – i różne rzeczy w nim potem robiłem – ale większość zawodowego życia spędziłem jednak w teatrze, w zupełnie innych rejestrach i w zupełnie innej sprawie. Birkut nie rzutował więc specjalnie na to, jak do zawodu podchodzę, i nigdy nie trzymałem się jak pijany płotu tego jednego sukcesu.

A to, że pana nie ma w kinie w ostatnich latach, z czego wynika?

To wynika z tego, że kino się mną nie interesuje. Błogie nic. Czekam, co los przyniesie.

Nowy „Glina" kończy się podprowadzeniem pod kolejny sezon. O przedłużeniu zadecyduje oglądalność, jednak najwcześniej dalsze losy bohaterów zobaczylibyśmy pewnie w 2027 r. Jak pan widzi Polskę za dwa lata? Za rządów PiS angażował się pan silnie po stronie demokratycznej, jest pan dzisiaj optymistą czy pesymistą?

Nie wygląda to dobrze. To, co mówią ludzie skrajni, a akceptowani przez polityków prowadzi w bardzo groźne rejony. Słusznie mówi się dzisiaj o brunatniejącej Polsce i to jest przerażające.

Czyli nie mamy żadnej optymistycznej puenty?

Słońce świeci, pogoda jest ładna.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 796dd59b18

NOWA FALA
MALARSTWO.



KONKURS ART

NAGRODA GŁÓWNA
50.000 zł

PULA NAGRÓD O WARTOŚCI
122.000 zł

Organizator i sponsor głowny :
SEKA ART

Partner główny i sponsor:
Dr Irena Eris

Konkurs z dziedziny malarstwa dla osób artystycznych do 35. roku życia

Przewodniczący jury:
ADAM BUDAK
dyrektor MOCAK-u –
Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie

Prace finalistów konkursu zostaną zaprezentowane na wystawie towarzyszącej gali rozdania nagród w galerii SEKA ART 10.01.2026 przy ul. Zabranieckiej 78 w Warszawie

28.11.2025
—
TERMIN ZGŁOSZEŃ

www.seka-art.pl

eprasa.pl 796dd59b18



Głośna fantazja

Polski festiwal wrócił do Ameryki pokazać, że tamtejsza scena klubowa ma korzenie w oberkach, wciągnąć lokalne gwiazdy do grania Chopina i zwrócić uwagę nowojorczykom, co ostatnio przegapili.

BARTEK CHACIŃSKI

Kartka na drzwiach Lincoln Center – a właściwie jednego z budynków tego stworzonego w latach 60. kompleksu, muzycznego serca Nowego Jorku – ostrzegała wyraźnie: „Unsound jest GŁOŚNY”. W środku grali akurat dwaj świetni polscy perkusiści – Adam Gołębiewski i Piotr „Gary” Gwadera – w swoich międzynarodowych duetach. A w Lincoln Center markę polskiego festiwalu znają z wielu poprzednich edycji, od 2010 r. „New Yorker” komentował wtedy, że miasto jest wprawdzie rozpieszczone „niekończącym się festiwalem muzycznym”, ale okazuje się, że coś mu jednak umykało, „a trzeba przyznać, że Polacy się na tym znają”.

Założony 22 lata temu w Krakowie przez Australijczyka Mata Schulza i współprowadzony od lat przez Małgorzatę Płysę (POLITYKA nagrodziła ich specjalnym wyróżnieniem podczas pandemii) festiwal Unsound stał się obwoźną platformą spotkań, kojarzącą ze sobą polskich i zagranicznych muzyków w takich miejscach jak Nowy Jork, Londyn, Toronto, Osaka czy Adelajda. Do tego zbliża różne lokalne środowiska, a w największych metropoliach wielkie filharmonie i małe kluby nie zawsze mają ze sobą jakikolwiek kontakt. Być może więc kartka z ostrzeżeniem, że będzie głośno, ma drugie dno – w końcu po raz kolejny polski festiwal wypełnił na przełomie października i listopada sale na Manhattanie o pojemności od kilkuset do ponad dwóch tysięcy osób.

Potwór z oberków

„Czy to pan jest TYM perkusistą?” – zaczepiała Gwaderę mieszkanka Upper West Side dzień po koncercie. Wydarzenie niecodzienne, bo urodzonego w Kielcach, a mieszkającego w Łodzi bębniarza dobrze znają miłośnicy polskiej muzyki tradycyjnej, i to takiej spod znaku składów Radical Polish Ansambl czy Odpoczno. Jego firmowy instrument to dżaz. Nie mylić z „jazzem” – to prosty zestaw stworzony wokół bębna basowego, przydatny kiedyś na wiejskich potańcówkach. Jego ulubione rytmy to te trójkowe, jak oberek. A do Nowego Jorku sprowadziła go spostrzegawczość: zauważył, że trójkowa pulsacja, tak częsta w polskiej muzyce ludowej, występuje też w modnym nurcie muzyki tanecznej z USA, footworku. – *Kiedy zetknąłem się z nim pierwszy raz, od razu usłyszałem w tym oberka* – mówi. Bo choć styl ma brzmienie elektroniczne, to pod spodem kryją się znajome łamańce, podobne akcentowanie, a wreszcie użytkowy charakter – i tu, i tu muzyka ma służyć popisom dziarskich tancerzy. A na Kielecczyźnie grali oberki w najmocniej wyśrubowanych tempach.

Przydała się też wyobraźnia: ponieważ matecznikiem footworku jest Chicago, według niektórych drugie skupisko Polaków

© LAWRENCE SUMULONG/LINCOLN CENTER, HANY OSMAN

eprasa.pl 796dd59b18



po Warszawie, a muzyka ludowa grana przez polonusów jest w Stanach dokumentowana nagraniami od stu lat, Gwadera wyfantazjował więc formę pośrednią: footberka. Gatunek nieistniejący, ale możliwy. Na wydanej przed rokiem płycie „Far, Far in Chicago. Footberk Suite" posklejał echa polonijnego folkloru z przeszłości, elementy współczesnej muzyki chicagowskiej i swojego stylu. Efekt? Zaproszenie od Unsoundu, gdzie od lat footwork jest prezentowany. I duet z RP Boo, jednym z gigantów tanecznej sceny Chicago. Wspólnie wystąpili w tym roku na trzech tegorocznych odsłonach imprezy: w Osace, Krakowie i właśnie w Nowym Jorku.

– *Przyjechał do Łodzi, to był jakiś deszczowy dzień, koniec lipca. Był zmęczony, miał trzy nocne imprezy didżejskie i jeszcze jetlag z Chicago* – opowiada Gwadera o początkach znajomości z Amerykaninem. – *Podczas pierwszej wieczornej próby do jego footworkowych utworów odpalałem sample oberkowe i polkowe, co go dziwiło, ale wywołało też uśmiech, bo jak się okazało na przerwie, skojarzyło mu się to z „Frankensteinem" z 1931 r. Chodzi o to, że tam jest scena wesela, w małym miasteczku szwajcarskim pośród głosów gawiedzi i bijących dzwonów pojawiają się dźwięki harmonii, skrzypiec.*

RP – mimo obiecujących inicjałów, które jednak odnoszą się do gramofonu (ang. *record player*) – polskiej tradycji nie znał. Choć w Chicago pracował kiedyś z Polakami, zżył się z nimi i wspólnie spędzali nawet święta. – *Przed krakowskim Unsoundem wziąłem RP Boo na potańcówkę w Łodzi. Zrozumiał tę muzykę, gdy ją zobaczył na żywo* – mówi Gwadera. – *Poczuł, że ten bas, też trójkowy, jest podobny do tego footworkowego basu. Zobaczył, że perkusista grający na bębenku albo na barabanie ogrywa to, robiąc synkopy, akcentując. A skrzypce, pełniące funkcję głównej melodii, porównał do sampli, których używa.*

Najbardziej urzekło go to, że ludzie tańczą w parach. – *On tego nie widział od 40 lat. Włączył mu się sentyment, że na takich potańcówkach domowych czarni tańczyli w parach przy wolniejszych numerach R&B* – dodaje polski perkusista.

Poszli najpierw tropem tego „Frankensteina". – *Pociąłem ścieżkę dźwiękową na sample. Na początku filmu jest fragment, kiedy dr Frankenstein wykopuje trupy, i jeden, taki ściągnięty z szubienicy mu się nie podoba. I mówi: „We must find another brain" (ang. musimy znaleźć inny mózg). Nazwałem to „Another Brain". Bo nie wiadomo było, co z tego powstanie: jakiś wytwór mojej imaginacji, potwór, lepszy lub gorszy, pozszywany z sampli.*

I na tym oparli scenariusz koncertu, a teraz, po trzech scenicznych spotkaniach, kończą wspólną płytę. Występów w Chicago nie ma jeszcze w planach, ale wydają się pewne niczym kolejne edycje Unsoundu.

Resztki z Chopina

Niepewność towarzyszyła za to pokazywanemu w Nowym Jorku projektowi Chopin Residue. Dlaczego? Mariusz Szypura, muzyk, twórca projektu Silver Rocket i artysta multimedialny, nie miał dotąd szczęścia do występów w tym mieście. Miał tu zagrać w 2001 r. w ramach trasy swojej grupy Happy Pills. Tyle że lądowanie było zaplanowane na 11 września i samolot – także z innymi polskimi składami na pokładzie – zawrócono do Frankfurtu.

Teraz też przeszkód nie brakowało. Rzucony luźno przez realizatora dźwięku Jacka Gawłowskiego pomysł zrobienia czegoś wokół Chopina Szypura potraktował jako wyzwanie, choć jego młodzieńcze związki z naszym narodowym kompozytorem – jak mówi ze śmiechem – ograniczały się do planszy końcowej programu telewizyjnego, na której pokazywano pomnik w Łazienkach.

Pomysł Szypury był ambitny: przetworzyć oryginalne utwory Chopina, zaprosić do tego kilkanaście bardzo znanych postaci świata muzyki rockowej, elektronicznej i alternatywnej, nagrać rzecz na ręcznie wycinanych płytach, a potem jeszcze wykorzystać w multimedialnej instalacji – włącznie z resztkami z tego rycia, które tworzą atrakcyjny plastycznie materiał przypominający watę, chmury splątanych nitek, a przy okazji rodzaj negatywu nagranej na płytach muzyki.

Szypura utknął na chwilę, gdy nie mógł kupić od niemieckiego producenta maszyny do wycinania (terminy wytwórca ma na dwa lata do przodu, a tu dwa lata trwała cała droga projektu). – *Ale wtedy znalazłem używaną maszynę na eBayu, zostawiłem wszystko, pojechałem do Pragi i kupiłem ją od czesko-brytyjskiego didżeja* – mówi. I dodaje: – *Ja jestem uparty, i jak coś robię, to tego nie porzucam, tylko dostosowuję do warunków. Na szczęście nie miałem tego problemu przy współpracy z artystami, których zaprosiłem do projektu.*

A ściągnął, jak sam mówi, samych ulubionych. – *Przemówił do nich mój pomysł interpretacji Chopina w dość ekstrawagancki sposób, bo bez fortepianu* – tłumaczy. Część z nich wystąpiła tylko na płycie, troje pojawiło się także na otwarciu wystawy w nowojorskiej Fridman Gallery: Lee Ranaldo, gitarzysta Sonic Youth i czołowa postać nowojorskiej awangardy rockowej, do tego John Stanier, perkusista legendarnego Helmeta i formacji Battles, a wreszcie Zoh Amba – bodaj najgłośniejsza saksofonistka młodej sceny jazzowej. Lider Happy Pills w końcu więc zagrał w Nowym Jorku, a w dodatku w składzie, w jakim żaden Polak jeszcze nie wystąpił.

Chopinowskie preludia, etiudy i nokturny doczekały się przeróbek na modłę współczesnej muzyki improwizowanej. Ci, którzy śledzili niedawny Konkurs Chopinowski, zauważą szybko, że z oryginałów zostało tu niewiele. Ale też nazwa projektu – *residue* oznacza pozostałości, resztki – na to naprowadza.

– *Nigdy nie grałem Chopina na scenie, ale słucham różnej muzyki i zdarzyło mi się już prywatnie do muzyki Chopina podgrywać* – mówi Ranaldo. Na razie usłyszała go w tej roli nowojorska publiczność, z dziennikarzami miejscowych mediów i postaciami ▶

eprasa.pl 796dd59b18

▶ z branży muzycznej zgromadzonymi we Fridman Gallery. Ale gdy płyta „Chopin Residue" (na niej znacznie więcej nazwisk zaskakujących gości) się ukaże – już niebawem, 28 listopada – efekt tego spotkania poznają wszyscy.

Sukces z zaskoczenia

Amerykanów nie trzeba było szczególnie zapraszać na koncert Hani Rani, która wystąpiła na Unsoundzie pod nowym szyldem Chilling Bambino. Polska pianistka, laureatka Paszportu POLITYKI sprzed dwóch lat, ma od dawna markę międzynarodową. Już w kwietniu doczekała się obszernego sylwetkowego tekstu na łamach „New York Timesa" („Tęskni za robieniem czegoś więcej niż tylko pięknej muzyki" – pisali). O muzyce występującego tego samego dnia Piotra Kurka anglojęzyczny serwis Pitchfork – numer jeden w dziedzinie opinii o muzyce rozrywkowej od lat – pisał w entuzjastycznej recenzji, że przypomina labirynt.

Zaproszona do USA orkiestra Sinfonietta Cracovia też błyszczała, a właściwie błyskała. W utworze „Thoughts Are Born" Miki Levi (brytyjskiej kompozytorki, dziś topowej autorki muzyki do filmów) partia solowa wiolonczeli grana była w absolutnych ciemnościach, przerywanych na moment efektowną i głośną interwencją całej orkiestry w momentach, które dyrygentka Katarzyna Tomala-Jedynak akcentowała gwałtownym rozbłyskiem świateł. Zapewne miało to dać efekt tytułowej iluminacji, ale w Halloween – a przez Nowy Jork przechodziły właśnie parady duchów i zombie – kojarzyło się z gwałtownymi scenami z horrorów, tzw. jumpscare'ami. Orkiestra wykonała premierowo kompozycję Levi „Kochajmy się" (poszczególne części też mają polskie tytuły). A jeszcze lepiej wypadł prezentowany już wcześniej na Sacrum Profanum utwór Aleksandry Słyż – nominowanej niedawno do Paszportu POLITYKI – subtelne „Pure Voices". Byłoby zaskoczeniem, gdyby nie dostała po nim jakiegoś zamówienia ze Stanów Zjednoczonych.

Jako prezentacja polskich artystów miało to sens – jedni ciągną tu na afiszu drugich. Tym skuteczniej, że wszystkie tegoroczne koncerty były wyprzedane. Największy odbył się w niedzielę 2 listopada. Ukraiński elektronik Heinali, jeszcze niedawno wydający muzykę nagrywaną w kijowskim schronie, wystąpił tu w duecie z wokalistką Andrianą-Yaroslavą Saienko, która łączy fascynację pieśniami Hildegardy z Bingen i tradycyjnym słowiańskim śpiewem. A po nich 83-letni John Cale, współtwórca nowojorskiej legendy The Velvet Underground, zagrał wzruszający koncert ze wspomnieniami Nico i Andy'ego Warhola, kluczowych postaci w jego karierze.

Mat Schulz pierwszy raz widział Johna Cale'a jako nastolatek, w 1986 r. w Sydney. – *Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że po prawie 40 latach sam zorganizuję mu koncert, uznałbym, że przesadził z fantazją* – mówi. Dla pogłębienia nieprawdopodobieństwa dodajmy: ten występ planował jako szef festiwalu powstałego w Krakowie, ze wsparciem polskich instytucji kultury (bo organizacyjnie pomogły Instytut Polski w Nowym Jorku, Instytut Adama Mickiewicza, a także Polska Fundacja Narodowa, która ma dziś lepsze pomysły piarowe niż kupowanie jachtów), i w dodatku w sercu Manhattanu, gdzie Cale – podróżujący ostatnio częściej po Europie niż USA – nie grał od wielu lat.

Festiwal dalej tworzy więc transgraniczne miejsce spotkań i wszystko wskazuje na to, że nowojorczycy mogą się z jego pomocą dowiedzieć także czegoś o muzyce we własnym mieście. I głośno to oklaskiwać.

BARTEK CHACIŃSKI



Armia artystów

Daję ludziom energię i dostaję ją od ludzi. Teraz wszyscy jesteśmy jakby pozbawieni skóry, bardzo wrażliwi i emocjonalni – mówi ukraiński pisarz i muzyk **Serhij Żadan**.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Rozmawiamy w Księgarni Czarnego. Szpera pan po półkach z książkami, co pan znalazł? Ma pan teraz czas na czytanie?**

SERHIJ ŻADAN: – Pisać nie mam czasu i energii, ale czytać muszę. To jest takie ćwiczenie pamięci, umysłu, serca. W księgarni znalazłem wiersze noblistki Louise Glück w polskim przekładzie, „Null" Szczepana Twardocha, którego jeszcze nie czytałem, Różewicza, Celana, którego też tłumaczę na ukraiński. W naszej brygadzie tworzymy Radio Chartia, opowiadamy o książkach, kompletujemy bibliotekę dla żołnierzy. Nasza armia składa się z inżynierów, studentów, lekarzy. Oni chcą czytać. To ciekawy proces. Zacząłem w radiu pracować w czasie pandemii, to był Tryzub fm w Doniecku, i bardzo mi się to spodobało, więc kiedy wstąpiłem do armii, zaproponowałem, żebyśmy stworzyli takie radio, które będzie pomostem między wojskiem a cywilami.

Armia składa się w dużej mierze z artystów?

Mój przyjaciel aktor jest dowódcą i okazał się bardzo dobry w tej roli. Są pisarze, muzycy, reżyserzy, niektórzy są w piechocie, inni kierują dronami. We czterech z zespołu Żadan i Psy jesteśmy

eprasa.pl 796dd59b18



© ARCHIWUM PRYWATNE

Serhij Żadan (ur. 1974 r.) – poeta, pisarz, aktywista, tłumacz z języka niemieckiego, angielskiego, rosyjskiego, polskiego, wokalista zespołu Żadan i Psy. Autor m.in. powieści „Internat", zapisków „W mieście wojna", opowiadań „Arabeski", tomu wierszy „Antena" i „Skrypnykówka". W 2024 r. wstąpił do Gwardii Narodowej Ukrainy.

w armii, dajemy koncerty dla żołnierzy na pierwszej linii frontu, żeby ich wesprzeć, oderwać, żeby mieli energię dalej walczyć. Po tym, jak armia zaczęła się powiększać, składa się w dużej mierze z nieprofesjonalnych żołnierzy. I pojawiło się pytanie o psychiczny odpoczynek, podczas wojny to jest bardzo ważne, żeby były momenty oderwania, oddechu. Dla żołnierzy też istotne jest to, żeby mieli poczucie, że o nich pamiętamy – dlatego jeździmy i po szpitalach, spotykamy się kombatantami, którzy wrócili ranni z frontu. Nie są zapomniani.

To już czwarty rok wojny, trudno nie być zmęczonym i zniechęconym, skąd czerpie pan siłę?

Z miłości i z poczucia odpowiedzialności. To jest proces wzajemny, daję ludziom energię i dostaję ją od ludzi. Teraz wszyscy jesteśmy jakby pozbawieni skóry, bardzo wrażliwi i emocjonalni. Ale trochę jak dzieci na koloniach, kiedy się zmęczymy, to w marszu czerpiemy siły z innych, którzy dają radę. Dla mnie źródłem energii jest inny człowiek. Chodzi o to, żeby nie zawieść, stanąć na wysokości zadania i odpowiednio wygenerować energię, żeby przekazać ją komuś i samemu też móc działać. Jesteśmy za siebie nawzajem odpowiedzialni i to tak działa, że nie można innych zostawić. Wiele osób mnie zna, więc dziś, inaczej niż na początku wojny, muszę kontrolować, co piszę w mediach społecznościowych, żeby to nie zostało wykorzystane przeciwko mojej brygadzie. Nie chcę działać na szkodę. Jest wiele tematów, których nie mogę publicznie poruszać, dlatego milczę. Teraz już nie należę sam do siebie. Jestem cały czas na służbie. Nie żyję swoim życiem.

W Łodzi w czasie Igrzysk Wolności otrzymał pan medal wolności i to wyróżnienie zostało już wystawione na licytację, celem jest zbiórka pieniędzy na armię ukraińską.

Bardzo się cieszę z tego wyróżnienia, ale gromadzenie nagród przypomina tworzenie muzeum, a teraz mamy inne potrzeby. To jest medal wolności i chciałbym, żeby jej służył, bo ukraińscy żołnierze walczą w imię wolności nie tylko Ukrainy, ale też Polski i Europy.

Jest pan w brygadzie Chartia od roku, czym się pan zajmuje?

Koncerty to tylko dodatkowa działalność. Jestem odpowiedzialny za media i dbam o to, żeby wszyscy o nas wiedzieli. To jest praca z ludźmi biznesu, z lokalną i z międzynarodową społecznością. W zeszłym roku napisałem wiersz dla McDonalda i milion hrywien honorarium poszło na potrzeby wojska.

Chyba nie jest łatwo pisać w sytuacji wojennej?

No chyba że płacą za to duże pieniądze, to można się zmobilizować, ale odpowiadając poważnie: nie mam na to zupełnie czasu. Od 2014 r. wojna była, ale nie w takiej formie, i dawała jeszcze przestrzeń na to choćby, żeby napisać taką powieść jak „Internat". Teraz nie podjąłbym się pisania powieści. Dziś mamy w Ukrainie całą wielką bibliotekę książek o wojnie, literatury frontowej, ale to nie są duże powieści. To nic wyjątkowego, bo kiedy patrzymy na pierwszą czy drugą wojnę światową, to powieści pojawiały po pewnym czasie, były pisane z dystansu. To, co teraz się dzieje w ukraińskiej literaturze, przypomina mi sytuację sprzed stu lat, kiedy nastąpiła zmiana nie tylko pokolenia, ale perspektywy patrzenia, języka, bohaterów. Po zakończeniu pierwszej wojny i wojny rosyjsko-ukraińskiej pojawili się znikąd pisarze, którzy zaczęli tworzyć literaturę ukraińską – przyszli z wiosek, nie mieli wykształcenia. I dziś dzieje się coś podobnego, wojna się jeszcze nie skończyła, ale już pojawiła się fala nowych autorów. I to jest inna literatura niż dotychczas, i nie chodzi tylko o to, że autorzy byli w okopach, ale o metafizykę, o inne doświadczenie śmierci.

Wraca pan do swoich książek przedwojennych?

Nie mogę dziś czytać swoich książek sprzed 20 lat ani książek innych pisarzy, bo zmieniliśmy się bardzo. Moje książki wydają mi się napisane przez kogoś zupełnie innego. Za to warto wracać do klasyki ukraińskiej literatury, która niestety nie ma tłumaczeń w Europie i w Polsce. Wielu ludzi uważa, że ukraińska literatura zaczęła się od Andruchowycza i Zabużko. Tymczasem, gdyby czytelnik zagraniczny poznał takich pisarzy jak Mykoła Chwylowy, Wołodymyr Sosiura czy Mychaiło Semenko, mógłby więcej zrozumieć z tego, co się dzisiaj dzieje. My też tę literaturę dziś inaczej rozumiemy z perspektywy nowych doświadczeń. ▶

eprasa.pl 796dd59b18

▶ A wojna cały czas jest opisywana, np. Valeriya Subotina „Nava", obrończyni Mariupola, która była więziona przez Rosjan, opisała to we wstrząsającej książce.

Zbiór pana opowiadań „Arabeski", który powstał w czasie wojny, opowiada o życiu przyfrontowym i o tym, że z wojny się nie wychodzi.

Chciałem pokazać, że wojna stała się zjawiskiem totalnym, które dotyczy i wojskowych, i cywili, nie można od niej uciec. Zwłaszcza dotyczy to tych, którzy mieszkają blisko frontu. Charków jest w strefie przyfrontowej, to miasto przygraniczne, nasza brygada Chartia stacjonuje 20 km od niego. Miasto jest fortecą, cały czas pozostaje w stanie oblężenia, ale ludzie prowadzą normalne życie. Jednak brak wojny jest tylko pozorny. Rano są korki, pełno ludzi, miasto wre, ale w każdej chwili może przylecieć rakieta. Miasto jest dobrze zabezpieczone, lecz to normalne życie jest tylko iluzją, bo wojna daje o sobie znać na każdym kroku.

Czy do wszystkiego można się przyzwyczaić?

Do wszystkiego, ale nie do śmierci. Można się przyzwyczaić do zagrożenia, szczególnie gdy słyszymy alarmy non stop i przestajemy na nie reagować. I to wygląda surrealistycznie, że po ataku na jakąś dzielnicę słychać wybuchy, jedzie straż pożarna i karetki, ale reszta miasta żyje, jakby nic się nie stało. W każdej rodzinie ktoś walczy albo właśnie został zmobilizowany, do tego też się przyzwyczajamy, że bliscy są na froncie. Ale kiedy ktoś ginie, to jest zawsze szok. Tuż przed przyjazdem teraz do Polski byłem na pogrzebie mojego znajomego. Na cmentarzu przy każdym grobie walczących jest flaga i za każdym razem, kiedy tam jestem, widzę, że jest ich więcej. Coraz więcej ludzi ginie, wojskowych i cywili, nawet jeśli cywile starają się być jak najdalej od wojny, to ona nie wybiera. Nika Kożuszko miała 18 lat, była artystką, szła na spotkanie i usiadła w parku z książką. I w tym momencie przyleciała rakieta, która ją zabiła. To jest taka metafora Charkowa, w każdej chwili zginąć może każdy, wszyscy jesteśmy potencjalnymi celami. Niedawno podczas ataku na centrum miasta rosyjskie rakiety trafiły w przedszkole, na szczęście dzieci schowały się w schronie. Do tego nie można się przyzwyczaić.

Ale życie toczy się dalej, zapomina się. Literatura ma służyć temu, żeby pamiętać?

Literatura powinna upamiętniać, wszystko trzeba zapisywać. W miejscach masakr życie toczy się dalej. Byłem w Iziumie i tam w miejscach bombardowań powstał bazar – i to dobrze, że ludzie skupiają się na swoim życiu. Ale zapisywanie i pamiętanie jest niesłychanie ważne. Byliśmy w miejscowości niedaleko Iziumu, gdzie Rosjanie w szkole stworzyli sobie koszary i zostawili głupawe napisy – i to też jest żywa pamięć, nie pomnik, ale ślad zostawiony. Z pamięcią trzeba pracować, sama się nie odtwarza, to jest proces podobny do hodowania rośliny. Ludzie z mojej brygady, którzy dobrowolnie zaciągnęli się do armii, upamiętniają tych, którzy zginęli, wpisując ich imiona na kamieniu, i zostawiają wolne miejsce dla następnych. To mogą być oni sami. Trzeba pamiętać o każdym.

Czy myślicie o przyszłości, jak może wyglądać jutrzejsza Ukraina?

Trudno mówić o przyszłości, kiedy człowiek nie wie, czy jutro się obudzi. Z drugiej strony myśl o przyszłości bardzo nas podtrzymuje, a to jest niezwykle ważne, kiedy widzimy, jak zmęczone jest społeczeństwo, i nie chodzi tylko o zmęczenie fizyczne, ale też emocjonalne. Jeśli człowiek nie widzi jakiejkolwiek przyszłości, to bardzo trudno znaleźć siłę, żeby działać. Więc my podejmujemy ten temat w radiu Chartia, zastanawiamy się, co będzie jutro. Rzeczywistość się rozpadła i ta przyszłość będzie inna niż ta, którą wyobrażaliśmy sobie przed wojną. Nie ma powrotu do świata sprzed wojny, będzie inna polityka, inna gospodarka i oświata. To będzie społeczeństwo złożone w dużej mierze z kombatantów, bo wielu ludzi wróci z wojny i będą musieli się odnaleźć w rzeczywistości powojennej. Zarówno weterani będą musieli się przyzwyczaić na nowo do życia poza frontem, jak i społeczeństwo musi być przygotowane, że wraca do niego milion ludzi. Dlatego musimy o przyszłości mówić dzisiaj. Charków na nowo będzie musiał zbudować swoją filozofię, bo nawet jeśli skończy się wojna, to Rosja wciąż pozostanie blisko, będziemy miastem granicznym, na nowo trzeba będzie wymyślić infrastrukturę, politykę, oświatę. To wielka praca, ale to też szansa, żeby stworzyć coś nowego.

Charków był w dużej mierze rosyjskojęzyczny, to się zmienia?

To się zmieniło w czasie wojny, coraz więcej mieszkańców zaczyna mówić po ukraińsku, nie dlatego, że ktoś ich zmusza, ale dlatego, że to jest naturalny proces, nie chcą mówić językiem wroga. Dla nas ważne jest, żeby wielu ludzi przyjeżdżało do Charkowa, i zależy nam, żeby opisywali to miasto, że tam nadal tętni życie. My, Chartia, zapraszamy gości ze świata, budujemy pomosty.

Śledzi pan media rosyjskie?

Tak, czytam i oglądam, żeby porównywać informacje, i widzę, że media rosyjskie pokazują swoją wersję wojny, w której Rosja już zwyciężyła i zajęła Ukrainę, która się poddała. Rosja nie ma ofiar i wojna lada moment się skończy. Rosja nie może wytłumaczyć swoim obywatelom, jak to możliwe, że przez półtora roku nie mogą przejąć Pokrowska w obwodzie donieckim. Ciekawie jest obserwować, jak pracuje propaganda – biorą jakieś fragmenty, walkę o kawałek drogi, i pokazują jako pełne zwycięstwo i przejęcie całości. Kiedy spojrzy się na mapę, to przez półtora roku niewiele się zmieniło (od kilku dni znowu trwa zmasowany atak Rosjan na Pokrowsk – przyp. red.). Cała ta relacja jest utkana z wielu drobnych kłamstw. Ta choroba dotyczy nie tylko władzy rosyjskiej, ale też społeczeństwa, jego kompleksów i traum. Społeczeństwo, które po rozpadzie Związku Radzieckiego niczego nie przepracowało, nie miało żadnej refleksji, mentalnie jest nadal w stanie zimnej wojny i ma walczyć z wrogami.

I wraca nostalgicznie do stanu sprzed rozpadu ZSRR. W Polsce skutecznie działa propaganda prorosyjska, a zwłaszcza hasło „to nie nasza wojna".

Ja dobrze rozumiem, jakich argumentów używają ludzie w Polsce, którzy mówią: „To nie jest nasza wojna". Proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że w marcu 2022 r. Ukraina nie odparłaby ataków, zmieniłaby się władza i Ukraina stałaby się częścią Rosji. Na granicy między Polską i Ukrainą stałyby rosyjskie czołgi. To by się wydarzyło, gdyby Ukraina przegrała tę wojnę. Oczywiście, jest w tym rodzaj pragmatyzmu i każdy kraj ma swoje cele patriotyczne, ale trzeba rozumieć, że to nie jest tylko wojna ukraińska, to wojna wszystkich. Dobrze też sobie uświadomić, że Rosjanie uważają za wrogów was, Czechów, Litwinów. I nie chodzi o polityków, ale o zwykłych ludzi, którym tę nienawiść się sączy cały czas. Marzyliby, żeby tu znowu być. Hasło „Idziemy na Warszawę!" brzmi dla nich realnie. Ukraina przez 11 lat chroni inne kraje przed Rosją. Więc nie mam dla was dobrych wiadomości. Miejcie świadomość, że ich czołgi nie zatrzymają się w Rawie Ruskiej, tylko pojadą dalej.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 796dd59b18



Falowanie Igi

Sezon 2025 był dla **Igi Świątek** słodko-gorzki: wygrywała po mistrzowsku, przegrywała boleśnie. A łaska kibiców na pstrym koniu jeździ.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Trudno kończyć sezon z podniesioną głową, gdy ostatni mecz się przegrywa. Morale siada. Iga Świątek zawalczyła na finiszu, co rzecz jasna cieszy. Na wynik to się jednak nie przełożyło – Amerykanka Amanda Anisimova wygrała 6:7, 6:4, 6:2, eliminując Polkę z wieńczących tenisowy rok rozgrywek WTA Finals. „To już najwyraźniej nie wystarcza", stwierdziła sama Iga w pomeczowym wywiadzie. „To", czyli fizyczna forma, intensywność gry, zawrotne tempo i wiara w odwrócenie losów meczu. Kiedyś „to" wystarczało. Co się zmieniło?

Bajgle i bagietki

Na papierze nie jest źle, jest nawet więcej niż dobrze. Iga dołożyła do gabloty trzy trofea (Wimbledon, Cincinnati, Seul), ma dopiero 24 lata, a na koncie 25 turniejowych tytułów, w tym sześć wielkoszlemowych. Kończy rok na drugim miejscu rankingu WTA. Bardzo poprawiła serwis. Posłała na drugą stronę siatki prawie dwa razy więcej (ponad 230) asów niż w poprzednich sezonach. „Powiedzieć, że o samo tempo serwisu chodzi – to by było krzywdzące" – komentowała z uznaniem Amerykanka Madison Keys, którą Iga zmiotła z kortu w Rijadzie. Pierwszy serwis Polki jest kąśliwy, różnorodny, zabójczo szybki. Ale i podwójnych błędów przy podaniu jest dwa razy więcej niż zwykle. To koszt wpisany w takie ryzyko.

A jednak czuć niedosyt, i to głównie u samej Igi. Fani, dopieszczani sukcesami i trochę do nich przyzwyczajeni, dzisiaj śledzą mecze z duszą na ramieniu i w poczuciu dysonansu: Polka bywa nieprzewidywalna. Wimbledon, po roku oczekiwania na kolejny tytuł, to bezprecedensowy, historyczny sukces Igi, która polubiła londyńskie trawniki z wzajemnością. Zresztą pierwszy finał w sezonie też osiągnęła na trawie, w niemieckim Bad Homburg. To był pierwszy zdany test również dla trenera Wima Fissette'a. Bo na ulubionej mączce tak dobrze nie poszło. Nie obroniła tytułów w Madrycie, Rzymie ani Paryżu, teraz mówi, żartując nieco na smutno, że wygrywała najwyraźniej za dużo i karma się mści.

Na papierze wciąż jest znakomicie. Na 79 rozegranych w tym sezonie spotkań (najwięcej w tourze) Iga Świątek wygrała 62 – barierę 60 złamała jeszcze tylko Aryna Sabalenka. A przed nimi: ▶

© ARTUR WIDAK/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 796dd59b18

▶ dopiero Agnieszka Radwańska i Serena Williams w 2013 r. To najsłabszy bilans Igi na przestrzeni ostatnich czterech lat, a dla wielu i tak nieosiągalny. Z kortu Iga schodzi jednak albo w euforii, wzmocniona i zbudowana, albo rozbita, zrezygnowana. Widzowie są w tych samych emocjach. Piszą o żałobie po przegranych meczach, bo bardziej niż wynik martwi styl.

Kiedy pierwszy raz w tym roku Świątek przegrywała 0:6, stwierdziła, że przynajmniej szybko miała to za sobą. Łącznie cztery sety przegrała w tym sezonie do zera (z Keys w Madrycie, z Sabalenką w Paryżu, Emmą Navarro w Pekinie i Jeleną Rybakiną w Rijadzie), czyli oberwała tenisowym „bajglem", którym sama częstowała rywalki w poprzednich latach. Zdarzały się też „bagietki", czyli stan 1:6, jak w dotkliwym starciu z Coco Gauff podczas turnieju Rollanda Garrosa czy niedawno w Wuhanie z Jasmine Paolini, która zagrała akurat swój najlepszy mecz w tym roku. – *Po prawie zakończonym sezonie wiemy jedno: Iga nie jest już najlepszą tenisistką na świecie. I nie chodzi tu tylko o rankingi* – ocenia dziennikarz sportowy Krzysztof Matlak. – *Polka zdała sobie z tego sprawę w Rijadzie, do którego przyjechała nastawiona bardzo optymistycznie. Czuło się bezradność i brak planu B. Mniej grać, a więcej trenować? Ale żadnej pewności powodzenia nie ma.*

Gdy Idze nie idzie

Słynna „piekarnia Igi Świątek" nadal „dowozi" – finałowy mecz Wimbledonu wygrała przecież 6:0, 6:0 – ale coś się w tej maszynerii zacina. Zwłaszcza gdy nie idzie. Kiedy przeciwniczki podnoszą poziom, otrząsają się z oszołomienia po paru gemach czy porażki w pierwszym secie, Polka traci nagle rezon i pewność uderzeń. Bije mocniej, ale bez marginesu. Chce coś udowodnić sobie i rywalce: też umie szybko, też gra siłowo. Zawiesza się, sztywnieje i do końca meczu nic jej z tego stanu już nie wytrąca.

To nowa norma, przykry schemat; kiedyś po wizycie w szatni z kajecikiem pod pachą Iga wracała na kort pewniejsza siebie i wdrażała korekty, sytuacje jak tegoroczne zdarzały się sporadycznie, bajgle i bagietki – dawno. Pamiętam mecz z Wieroniką Kudiermietową w Tokio w 2023 r. – Polka przegrała w trzech setach, w nieco ponad dwie godziny popełniła 50 niewymuszonych błędów (przy 18 *winnerach*). Piłki lądowały gdzieś hen, metry za kortem. To był bolesny dla oka wypadek przy pracy. Dlatego tak pamiętny.

Takich wspomnień będzie w tym roku więcej. W nerwach i pośpiechu Polka nie buduje cierpliwych akcji i nie wdaje się w wymiany, szuka szybkich punktów zza końcowej linii. Co prawda ustawia się do returnu – to tegoroczna nowość – nieco dalej, żeby dać sobie więcej czasu na reakcję, ale gdy sytuacja wymyka się spod kontroli, wraca stare. A naprzeciw stają rywalki, które poruszają się tak swobodnie i grają tak dokładnie, jakby miały do dyspozycji całe futbolowe boisko. – *Rządy Belga wyglądają na bardziej demokratyczne, niż to obserwowaliśmy w czasach Tomasza Wiktorowskiego. Widać to podczas meczów, gdy pokrzykują wszyscy ze ścisłego sztabu* – mówi Krzysztof Matlak. – *Podpowiadają Daria Abramowicz, Maciej Ryszczuk i nawet Tomasz Moczek. Nie jestem pewny, czy tak powinno być. Oczywiście nie wiemy, co dzieje się w środku tego zespołu, bo wiadomości, które się przebijają, są dokładnie wyselekcjonowane.*

W sieci pojawia się mnóstwo łatwych diagnoz tego falowania Igi. Że rywalki się rozwijają, kiedy Polka stoi w miejscu (oczywista nieprawda). Że już wszystkie zawodniczki czytają jej grę i nauczyły się z nią wygrywać (przecież na tym z grubsza tenis polega). Że psycholożkę, a może i cały team, należy wymienić, bo sfera mentalna zawodzi. Że Wim Fissette w roli trenera nadal się nie sprawdza. Że Iga za mało się uśmiecha i nie cieszy tenisem jak kiedyś. Że to przedłużony efekt „afery dopingowej", niespełnionych marzeń o paryskim złocie olimpijskim i utraty prowadzenia w rankingu. Wreszcie: że to już zmierzch naszej umęczonej mistrzyni.

Wróżenie końca zawodniczce, która jest druga na świecie i piąty raz awansowała do WTA Finals dla ósemki najlepszych tenisistek (Radwańska zaliczyła sześć takich występów), to rzecz jasna przesada i samonapędzający się defetyzm – falowanie to jeszcze nie zapaść. Choć w pewnych aspektach gry przydałby się pewnie reset i powrót do ustawień fabrycznych, w innych trening. Opanowanie nowych sztuczek, z których Polka rzadko korzysta – gra spod siatki, slajsy, woleje, skróty – zajmuje miesiące i nie gwarantuje sukcesu, gdy tenis staje się coraz bardziej atletyczny. Trzeba poustawiać priorytety. A najpierw porządnie wypocząć.

Świątek, piątek, niedziela

Jak to wygląda na szerszym tle? W 2022 r. Polka zdobyła osiem tytułów, w 2023 – sześć, w 2024 – cztery, w tym roku trzy. Równia pochyła? Raczej wyrównana stawka. WTA to nie męskie ATP: tu tytuły rozdzielają między sobą Carlos Alcaraz i Jannik Sinner. Iga Świątek wygrała w tym sezonie dziewięć meczów przeciwko tenisistkom z pierwszej dziesiątki rankingu, przegrała osiem. Zrobiło się ciasno. W najlepszym swoim wydaniu Polka jest mocna i w ataku, i w defensywie. Ale góra stawki również jest. I nie powinno dziwić, że po paru latach kariery Iga nie sieje już wśród konkurencji postrachu. Decydują niuanse, nastawienie, kwestie zdrowotne, sportowa żądza odwetu. Czasem „to" nie wystarczy.

Zawodniczki częściej też i coraz głośniej narzekają na upiornie gęsty harmonogram gry. Wychodzą na kort, nomen omen, świątek, piątek i niedziela – nie ma zmiłuj. Tenis to potężny biznes, trybuny mogą świecić pustkami, ale mecze odbyć się muszą. W krajach arabskich widać to szczególnie i na zmiany się nie zanosi – WTA weszło w hojne partnerstwo z PIF, funduszem inwestycyjnym z Arabii Saudyjskiej. Tunezyjka Ons Jabeur właśnie wyznała, że turniejowe tempo wpędziło ją w depresję. Magda Linette i Magdalena Fręch zakończyły sezon nieco wcześniej. Idze fani podpowiadają to samo, ale to luksus. WTA od niedawna wymaga, by zaliczyć sześć turniejów rangi 500 rocznie (albo pięć i United Cup, w którym Iga zwykle uczestniczy). Za niewyrobienie limitu grożą punkty karne, każdy sporo waży, a Świątek po aferze sporo musiała nadrobić. O treningach i meczach mówi, że to „zwykłe dni w biurze", ale dziś to już praca na oparach 24/7. Sprawdza się czasem uświęcona zasada Brada Gilberta, że niekiedy lepiej wygrać brzydko niż wcale (*winning ugly*) i przepychać mecze kolanem. Finał w Seulu Iga też ledwo-ledwo wymęczyła.

I dziś drugie miejsce w rankingu, stety lub niestety, dobrze odzwierciedla aktualną sytuację jej i rywalek. Najbardziej regularna była w tym roku bezsprzecznie Aryna Sabalenka, liderka zestawienia, Białorusinka od lat mieszkająca w Miami, w Polsce nielubiana głównie za górowanie nad Igą, czasem za pochodzenie, jeszcze częściej za dezynwolturę i ogólną hałaśliwość. Świątek i Sabalenka są jak ogień z wodą, nie mogłyby się różnić bardziej. Iga jest „prywatna", introwertyczna, opanowana, „tygrysica Aryna" – nieobliczalna, przebojowa w realu i sieci.

eprasa.pl 796dd59b18



Od niedawna ma zresztą w sztabie specjalistkę do obsługi social mediów. W bezpośrednich pojedynkach nadal to Polka prowadzi (8 do 5), ale gdy spotkały się ostatnio w Paryżu, to Aryna odprawiła Igę z bajglem do szatni.

Sabalence pierwsze miejsce w tej chwili „po prostu się należy" – ma 27 lat i długo wojowała sama ze sobą, od zawsze znana z teatralnych gestów, okrzyków i obwiniania o wszystko ludzi z teamu. Dziś stara się pohamować i efekty są. W 2025 r. wygrała US Open, wystąpiła w trzech finałach turniejów wielkoszlemowych, serwuje sprytniej, nauczyła się skrótów, choć po prawdzie wystarczy, że huknie rakietą w dowolnym kierunku. Prawie nie ma na nią mocnych. I choć polskich kibiców to boli, minął jej na tronie okrągły rok.

Reszta czołówki też może mówić raczej o falowaniu i dobrze o tym pamiętać, gdy pomstuje się na formę Igi. Coco Gauff, rankingowa trójka, ma potężne problemy z serwisem – w tym roku wpadło jej na konto ponad 400 podwójnych błędów. A rodaczki dyszą w kark. WTA Finals to były derby Ameryki – do turnieju zakwalifikowały się aż cztery reprezentantki USA, dziś to najsilniejsza liczebnie grupa w pierwszej setce rankingu. Anisimova zaliczyła dwa wielkoszlemowe finały, ma najmocniejszy bekhend na świecie, choć też zalicza przestoje. Jessica Pegula gra inteligentnie, ale zawsze jest o włos od największych sukcesów. Madison Keys poza Australian Open mocniej nie zaistniała. Kto jeszcze? Włoszka Jasmine Paolini miewała raptem przebłyski (gra jeszcze debla), nastoletnia Mirra Andriejewa z Rosji dobrze zaczęła sezon i przepadła, Chinka Zheng Qinwen, złota medalistka z Paryża, mocuje się z kontuzjami. Kazaszka Jelena Rybakina dziś wygląda świetnie, ale miała kłopoty ze zdrowiem i sztabem, przełamała się dopiero jesienią. I tak dalej, i tak dalej.

Odczepcie się od Igi!

Wydaje się zarazem, że Polce w Polsce wybacza się mniej niż, dajmy na to, Amerykankom w Ameryce. Coco Gauff nikt uprzejmie nie wysyła na kurs serwowania ani na sportową emeryturę. Być może – jak makaron z truskawkami – to nasza specjalność? Od znawców specyfiki USA słyszymy, że mają wielu bohaterów, a my głównie tę jedną Igę – i mocno na niej „wisimy" ze wszystkimi narodowymi kompleksami. Robert Lewandowski mógłby jej pewnie przybić piątkę. Presja jest ogromna i usztywnia. Za porażki Świątek odpowiada przed samą sobą, surową dla siebie perfekcjonistką, i przed zbiorowym sądem kibiców. „Odczepcie się od Igi Świątek!", apelowała w social mediach Monika Olejnik, też fanka tenisa, po którejś porażce. „Porażki Igi Świątek trzeba przyjąć i nie robić z nich narodowej tragedii", mówił „Gazecie Wyborczej" tenisista Marcin Matkowski.

Wielu oczywiście Idze sprzyja, ale złośliwość niesie się skuteczniej. A hejt jest przytłaczający nawet dla bezstronnych odbiorców. Polka umieściła w sieci planszę z wybranymi komentarzami – większość nie nadaje się do powtórzenia.

Kiedyś hejt w sporcie łączono z zakładami bukmacherskimi – internauci chcieli sobie powetować porażki. Ale dziś, o zgrozo i co gorsza, dużo w tym bezinteresownej złośliwości, dziwnej satysfakcji, nieproszonych porad, prostackich inwektyw. Polka przegrywa? Szerzą się pod postami reakcje: „Ha, ha" i komentarze w stylu: „No i pięknie :)". „Tysiące ekspertów od życia w piżamie odkrywa w sobie talent do psychologii – pisze w social mediach Racjonalny Psycholog. – Od razu wiedzą, że »psychicznie nie dojechała«, »słaba głowa«, »za dużo reklam«. (...) Hejt to nie opinia. To mechanizm regulacji emocji. (...) Na ekranie mecz, a w komentarzach psychodrama zbiorowej zazdrości. Ludzie nie piszą o Idze. Piszą o sobie, tylko w trzeciej osobie liczby pojedynczej".

Magda Linette stwierdziła w jednym z wywiadów, że zawiodły również media, które zachłysnęły się triumfami Igi, ale „nie edukowały", nie wyjaśniały, na czym polega fenomen jej stabilności, dlaczego mecze nie zawsze idą po jej myśli i o co w tym tenisie tak naprawdę chodzi. W zamian analizują, komu nie podała ręki, co krzyknęła do trenera i jak zachowała się w szatni. Duża część narracji sportowej jest w Polsce tabloidowa i plotkarska. W tym sezonie Iga pierwszy raz tak bezceremonialnie obchodzi się z mediami, trzyma gardę wysoko podczas konferencji prasowych, odpowiada zdawkowo (w sieci nagłówki: Iga dorosła, „przestała być miła"). Słynne pytanie o koraliki we włosach na US Open przejdzie do annałów i sportu, i dziennikarstwa.

Iga marzy pewnie raczej o urlopie niż o zgłębianiu przyczyn zwłaszcza tych dotkliwych porażek, dobrze by też było nie zlekceważyć przy okazji znaczących osiągnięć. Ale wakacje dopiero za moment: Polka zagra jeszcze w kwalifikacjach do turnieju drużynowego Billie Jean King Cup w Gorzowie Wielkopolskim (oblężenie miasta zapowiada się na miarę Taylor Swift). Kibice pytają: no i po co to sobie robi, podobno jest zmęczona? Bo w pewnym sensie musi. Kadra narodowa też na niej wisi.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© CHARLY TRIBALLEAU/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 796dd59b18



Proste jak drut

Królowa celebrytów Kim Kardashian zadeklarowała się ostatnio jako zwolenniczka teorii spiskowej o sfałszowaniu lądowania na Księżycu. Uwielbiam tę teorię, więc skorzystam z pretekstu, by o niej napisać. A uwielbiam ją nie dlatego, że mnie przekonuje, tylko przeciwnie – jest tak idiotyczna, że niezmiernie mnie fascynuje, co mają w głowie ludzie dający się na to nabrać. A jest ich przecież sporo, w Ameryce według sondaży ten odsetek zwiększył się w bieżącym stuleciu od kilku procent do kilkudziesięciu, o co najprawdopodobniej obwiniać należy tę straszliwą machinę do ogłupiania ludzi zwaną internetem.

Kim Kardashian wymieniła w wywiadzie dwa niezbite dowody przemawiające za spiskiem. Otóż na Księżycu „nie ma grawitacji" (sic!), a więc czemu flaga powiewa na zdjęciach? Szach-mat! A czemu na tych zdjęciach nie widać gwiazd? Makao i po makale! Kim Kardashian prawdopodobnie pomyliła atmosferę i grawitację, na Księżycu rzeczywiście praktycznie nie ma tej pierwszej, choć ta druga oczywiście jest. Inaczej dopiero mielibyśmy spisek (jak można wylądować na obiekcie, który nie ma grawitacji?). Brak atmosfery rzeczywiście sprawiałby jednak, że zwykła flaga wyglądałaby na zdjęciach jak zwiędły flak. Amerykanie zastosowali więc pionierską technologię zwaną „usztywnieniem na drucik".

Wracamy na Księżyc. W 2026 r. ma polecieć pierwsza załoga, na razie bez lądowania. Co na to powie Kim Kardashian?

Pytanie „czemu nie widać gwiazd?" może zadać tylko ktoś, kto nie oglądał innych zdjęć kosmicznych obiektów. Gwiazd na nich z reguły nie widać z podobnego powodu, dla którego w biały dzień gwiazd nie widać na ziemskim niebie. Po prostu, jeśli na tym zdjęciu widać jakikolwiek obiekt (niech to będzie statek kosmiczny, astronauta albo powierzchnia Księżyca), to jest on zbyt jasny. Żeby naświetlić gwiazdy na tyle, by stały się widoczne, najlepiej poczekać, aż Słońce się za czymś schowa, a wtedy astronauta, flaga i statek Apollo będą kiepsko widoczne.

W ludziach wierzących w tę teorię fascynuje mnie to, że z jednej strony ten temat interesuje ich na tyle, że im się chciało godzinami oglądać spiskowe filmiki na TikToku i YouTube (bo to one przecież ich ogłupiły). Z drugiej strony nie interesuje ich na tyle, żeby np. samodzielnie obejrzeć różne zdjęcia z kosmosu i zauważyć, że na nich też nie zawsze widać gwiazdy. Chciałbym zrozumieć, jak ci ludzie sobie wyobrażają funkcjonowanie całego świata, nie tylko programu Apollo. Większość zdaje się myśleć, że było tylko jedno lądowanie na Księżycu, tymczasem było ich sześć (od Apollo 11 do Apollo 17, z misją Apollo 13 przerwaną przez awarię i słynne „Houston, mamy problem"). Czy sfałszowano tylko jedno z nich (w takim razie – po co?), czy wszystkie?

Jeśli wszystkie, to co z misjami Apolla innymi niż księżycowe? Na przykład ze wspólnym radziecko-amerykańskim lotem Sojuz-Apollo z 1975 r.? Czyżby Amerykanie zbudowali statek kosmiczny zdolny do lotu na Księżyc (a tak uważali nie tylko obsługujący go amerykańscy astronauci, lecz także kosmonauci z wrogiego mocarstwa), ale z jakiegoś powodu nie chcieli nawet sprawdzić, czy działa?

Ten spisek idzie dalej. Poprzednie amerykańskie misje kosmiczne Gemini i Mercury służyły testowaniu technologii wykorzystanych w projekcie Apollo. W późniejszych misjach, np. wahadłowców z serii STS, wykorzystywano z kolei doświadczenie zgromadzone przy jego okazji. Praktycznie cała amerykańska wiedza dotycząca operacji dokowania jednego pojazdu do drugiego pochodziła z pracy nad projektem Apollo. Jakim cudem udało się przy tym ukryć, że tak poza tym go w ogóle nie było? Może żaden Amerykanin nigdy nie poleciał w kosmos? To by dużo wyjaśniało. A Rosjanie? Muszą należeć do spisku, skoro go nie zdemaskowali, a w dodatku uczestniczyli w fejkowej misji Sojuz-Apollo. Jedyne logiczne wyjaśnienie jest takie, że wszystkie loty kosmiczne to jedna wielka ściema.

Ludzie wierzący w kosmiczny spisek robią zabawny błąd. Z jednej strony uważają, że to niemożliwe, żeby w NASA tak po prostu zawczasu pomyślano o usztywnieniu flagi drutem. Albo o zamontowaniu kamery na zewnątrz lądownika (widywałem często dramatyczne pytanie: „Skoro Neil Armstrong był pierwszy na Księżycu, to skąd tam się przed nim wziął jego kamerzysta?"). Z drugiej jednak strony przepotężny spisek jest tak niekompetentny, że zapomniano domalować gwiazdy do tła. To tym zabawniejsze, że miał za to odpowiadać perfekcjonista Kubrick. „– Stanley, ale wtopa! – Nie szkodzi, może nikt nie zauważy".

Ci ludzie mają więc zdumiewający deficyt poznawczy powodujący, że łatwo przychodzi im uwierzyć w gigantyczne, nieprawdopodobne spiski, a odrzucają wyjaśnienia proste jak kawałek drutu. Nie jest to zwykła głupota, bo przecież niedawno w Polsce wiarę w księżycowy spisek wyraził pewien ekonomista w stopniu doktora. Cóż, za sprawą programu Artemis właśnie wracamy na Księżyc. W 2026 r. ma polecieć pierwsza załoga, na razie jeszcze bez lądowania. Co wtedy powiedzą Kim Kardashian i nasz pan doktor?

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 796dd59b18



Polityka personalna

Polityką rządzą wielkie procesy społeczne i kulturowe, a jednostka, choćby nie wiedzieć, jaką miała władzę, to jedynie narzędzie nieubłaganego toku dziejów. Tak głosi heglowska doktryna chytrości rozumu, szerzej znana w formie porzekadła „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi". Jednak przy całej swej chytrości rozum, czyli Duch świata, musi mieć swoich ludzkich współpracowników. Odnoszę wrażenie, że w naszej prowincji Duch obrał sobie czterech mężów silnych charakterem, aby w jego imieniu ziścili jego cele. Jakie to cele, tego nie możemy jeszcze wiedzieć, albowiem sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu, mądrząc się raczej o dniu minionym, niźli o następnym.

Przekładając to na nasze przyziemne konkrety, nie wiemy, kto za dwa lata wygra wybory parlamentarne, a za cztery – prezydenckie. Wiemy natomiast, kto z kim toczyć będzie boje. Jeszcze niedawno mieliśmy jedną parę bojowników, a teraz jest ciekawiej, gdyż pary są dwie. I nie jest to dobra wiadomość dla Jarosława Kaczyńskiego, bo nie dość, że jest dziś zaledwie jednym z czterech, to w dodatku powoli wypada z całej gry.

Zbyt wiele łączy trzech „charyzmatyków" polskiej polityki, by ten czwarty mógł zwyciężyć. W parze jest z Donaldem Tuskiem, nieco młodszym i znaczenie bardziej witalnym. Istny z niego Lis Witalis. W drugiej zaś parze kozak nad kozaki Radosław Sikorski boksuje z młodym sparingpartnerem Karolem Nawrockim. Początkujący, choć jakże ambitny, Karol trenuje ze swoim mentorem i rywalem w przyszłym pojedynku prezydenckim, ucząc się od niego międzynarodowej polityki i manier. Jakaż to piękna więź! Karol jest bystry i do nauki chętny – może nawet opanuje język angielski? A kto wie, czy nie polski! Dla niego wszak nie ma rzeczy niemożliwych.

> Jak bardzo zależymy od wielkich cnót i małych, a podstępnych wad dwóch porywczych sześćdziesięciolatków!

Na swoją zgubę wydźwignął go z nizin i wyniósł na szczyty cyniczny demiurg polskiej polityki. Nawrocki nie ma żadnego powodu słuchać się Kaczyńskiego. No, może jeszcze dziś, ale za rok? Z całej duszy jest przecież „konfiarski" i „dziadki z PiS", na czele z Jarkiem (jakże nieopatrznie prezes pozwolił się młodemu tykać!), do niczego mu za cztery lata nie będą potrzebne. Snus im w dziąsło!

Nie mogę się już doczekać tych dwóch nieuchronnie czekających nas pojedynków. Wierzę, że Duch dziejów umyślił sobie, że ten pierwszy, parlamentarno-rządowy, wygrać ma Donald, a drugi, prezydencki, Radek. Choć jeśli stanie się to pierwsze, to o to drugie zwycięstwo będzie trudno, bardzo trudno. Albowiem twardy i prosty jest Karol. Urodził się, by być pierwszym na dzielni, i taki się ludziom podoba. Pod blokiem wytrzepany, pełnokrwisty i swój. A przecież z Radkiem nie inaczej! Choć z niego pan, to przecież wszystko musiał sobie wywalczyć, gdy opuścił bydgoskie blokowisko, udając się na podbój świata, od Oxfordu po Kabul. Osiedlowa to więc będzie solówka. Młody ciężką ma rękę, a przy tym jest zwinny, lecz stary ma więcej sprytu i doświadczenia. Nic nie jest przesądzone w tym pojedynku, zakontraktowanym na rok 2030.

A Jarek nie dość, że musi patrzeć bezradnie, jak mu się jego adoptowane dziecko ulicy narowi, to jeszcze czeka go pojedynek na gołe pięści z chłopakiem z kolejarskich bloków. Bo maski dawno już opadły, stawką jest wolność albo więzień, więc nie ma zmiłuj! Jakże w takich warunkach ciepłe kluski z bogatej dzielnicy mają dać sobie radę? Jak może ktoś, kto życia nie dotknął, wygrać pojedynek na śmierć i życie z przeciwnikiem, którego życie od małego hartowało? Psychologia nie zna takich przypadków.

Znamy już chyba wielkiego przegranego tego dziejowego dubla, którego będziemy świadkami. Kaczyński ma aż trzech przeciwników – młodszych i zwinniejszych. Marne jego szanse. Ale co z pozostałymi? Jeśli Tusk z Sikorskim zdołają stworzyć harmonijny i pewny tandem, to pokonają wielogłowego smoka Konfederacji. Jeśli jednak zakradnie się między tych dzielnych wojów zwątpienie albo, co gorsza, nieufność, wszystko przepadnie!

Jak bardzo zależymy od wielkich cnót i małych, a podstępnych wad tych dwóch porywczych sześćdziesięciolatków! I jakaż wielka spoczywa na nich odpowiedzialność, by nie potknąć się o byle niesnaskę, mały resentyment czy urazik. Małostkowość zbyt łatwo wygrywa z odpowiedzialnością i wspaniałomyślnością. Test, który czeka Tuska i Sikorskiego, nie jest egzaminem z polityki, lecz z cnoty. No i pięknie!

* * *

Àpropos porywczości. Ostatnio głośno było o pośle Franciszku Sterczewskim, który popłynął do Gazy w słynnej flotylli Sumud. Na swoim prywatnym koncie na Facebooku życzyłem mu, aby za udział we flotylli stanął przed sądem i posiedział gdzieś na Negewie w celi z Palestyńczykami, a może zrozumiałby wówczas, czym jest powodująca terrorystami mordercza nienawiść do Żydów. Był to okrutny i zły komentarz. Żałuję, że uniosłem się gniewem. Po lekturze wywiadów z posłem Sterczewskim wiem, że jest człowiekiem dobrej woli i złorzeczyć mu było rzeczą niesprawiedliwą. Przepraszam. A każdego, kto chciałby zapoznać się z moją oceną, by tak rzec, wizerunkowej sytuacji Izraela i Żydów, zapraszam na swój blog.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 796dd59b18

FELIETON

Passent



Siekiera

Nowy Smarzol w kinach. Technologie się zmieniają, ale Wojciech Smarzowski ze skrzynki z narzędziami wciąż wyjmuje siekierę. Wolę drwali w sztuce niż w lesie. Wycinka polskich lasów trwa w najlepsze i tu po dwóch latach rządów koalicji nie zauważyłam żadnej zmiany, a do puszcz zapuszczam się regularnie. Przedstawiciele Lasów Państwowych mantrę o „gospodarce leśnej" mają wpojoną głęboko. Tak głęboko wpojone modlitwy mają absolwentki szkół u sióstr. Niby wyrosły na najgłośniejsze aktywistki Strajku Kobiet, ale w domu rządzi małżonek. Ale dość już tego feminizmu, bo teraz przecież pochylamy się nad losem białych mężczyzn, ich poczuciem utraconej dumy, cukrzycą, nieprzerobionymi problemami z mamusią.

Smarzol jednak w szeregu pochylonych nie chce stać, za patriarchatem nie tęskni. I wie, że przemocy instytucjonalnej, systemowej, tak wbitej pod paznokcie, że żadnym manikiurem się tego nie usunie, inaczej niż „mocno" pokazywać nie ma sensu. „Dom dobry" to prawdziwe kino familijne. Rodzina jest tu najważniejsza, jest w centrum. A to stół rodzinny, a to Wigilia, a to ślub, a to chrzciny. Oto piękna, mądra, wykształcona, znająca angielski żona trofeum, jak na pocztówce z Teneryfy, na stole w prosektorium też będzie ładnie przykryta.

„Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego to prawdziwe kino familijne. Rodzina jest tu najważniejsza, jest w centrum.

Owszem, „Dom dobry" zrobiony jest siekierą, więc przemoc pokazano tu, że tak powiem, w pełnej krasie, od psychicznej i finansowej po gwałt, bicie, upokarzanie, kontrolę. To już przynajmniej drugi, po „Pod mocnym aniołem", film Smarzowskiego o tym, że jedynym sposobem (nie zawsze skutecznym) zerwania z takim „cyklem" jest terapia grupowa. Cykl, jak to cykl, kręci się w kółko, pije i bije się na okrągło, a powtarzalność w kinie jest nudna. Smarzol jednak wchodzi z kamerą do głowy ofiary i tu się zaczyna *rollercoaster*. Przemiana w ruchach i mimice Gośki (znakomita Agata Turkot!) zdradza nam, ile to małżeństwo już może trwać. Od eterycznej, zjawiskowo ślicznej brunetki po kobietę w depresji, zombie.

Jednocześnie Smarzowskiemu udało się zrobić film o macierzyństwie. Sądzę, że gdyby Gośka nie miała dziecka, nie wydostałaby się z tej matni. Jest ono jej motywacją i – jakkolwiek by to zabrzmiało – podporą. Nawet matka pobita do nieprzytomności, gdy mózg udaje się na emigrację (bo to, co jest do pomyślenia, jest nie do przyjęcia), nie zostawi dziecka bez kaszki. Dziecko ofiara – i dziecko świadek. Gaworząc, przejeżdża na swym rowerku-chodziku nad ciałem mamusi, której kochający tatuś nie chce opuścić.

Takim dzieckiem był ten kochający mąż i dlatego to głównie nad swoim trudnym losem się pochyli i nad swoimi męskimi troskami oczekuje rozczulenia. Z przemocowego domu pochodzi i Gośka. Matka alkoholiczka zgotowała córkom dom, z którego mogą tylko uciekać, ale nie mają dokąd. Pieniądze może były, ale na pewno mamusia przepiła, a alimenty są jak wirusy – nikt ich w Niepodległej nie widzi. Im bardziej Agata Turkot w roli Gośki chudnie, im bardziej siwieje ze stresu, tym lepiej ma się świeżo odprasowana słodycz zakochanego po uszy męża i taty: koszula nowa, wykrochmalona, włos bujny, wyżelowany, rośnie brzuszek misiowaty, aż miło dać przytulaska. Taki zadbany chłop z teczką to i na kredyt zasłuży, i przetarg niejeden wygra, bo wzbudza zaufanie.

Genialny Tomasz Schuchardt aż do sceny finałowej nie traci fasonu. Jest wymarzonym kandydatem na męża: biznesmen, z fantazją, oczytany, z mieszkaniem w nowym budownictwie, ciepły blondasek, różowy prosiaczek. Kręcimy się w cyklu przemocy, ale pierwsze sygnały rejestrujemy. Gośka też je rejestruje, ale ufa, nie wierzy w to, co może nadejść. A on, cwana gapa, wybrał kobietę z zasobami: pracującą, młodą, zdrową, ufną. Połowa narodu polskiego wypisała się z edukacji zdrowotnej i lekcji o przygotowaniu do życia w rodzinie. Wciąż nie mogę uwierzyć w gotowość rodziców do destrukcji własnych dzieci! Może od razu wystawiać je gołe na parapet ósmego piętra – i niech się hartują?

Jeśli nie w szkole, to może chociaż w kinie zaczerpniemy lekcję o tym, jak należy przygotować się do ślubu. Chcesz spokoju w małżeństwie, szykuj się do wojny. Pod welonem warto mieć pełny rynsztunek używany przez trumpowych agentów ICE do walki z nielegalnie zatrudnionymi nianiami. Noktowizor, gogle, w staniku intercyza, jakiś kolega agent od wywiadu gospodarczego, bo fircyk w zalotach z bukietem może mieć długi, być alimenciarzem poszukiwanym przez byłą małżonkę. Sejf na własne, nawet drobne finanse, bo ani się obejrzysz, a on za twoją kasę zarobioną na korepetycjach, „zaprosi" cię na Kanary i weźmie kredyt na własną nieudaną działalność. Ponieważ twoje najlepsze przyjaciółki goguś małżonek skutecznie wypchnie z waszego gniazda, zostaniesz sama. Samotna żona łatwiejsza jest i milsza w obyciu. Lecąc w podróż poślubną, nie zapomnij zawiadomić o tym swojego prawnika. I to dobrego. Podobno młodzież kocha filmy o wampirach, to polecam „Dom dobry".

AGATA PASSENT

eprasa.pl 796dd59b18

FELIETON

Chutnik Plebanek



Śpiąc z mężczyznami

Bracia Goncourtowie powiedzieli podobno: „Kobiety mogą zrobić coś wybitnego, tylko śpiąc z wieloma mężczyznami i niejako wysysając ich duchowo: pani Sand, pani de Staël...". Długi jest żywot mizoginii, skoro o „pani Sand", czyli George Sand, do dziś mówi się przede wszystkim jako o partnerce Fryderyka Chopina. Co prawda tylko w Polsce, bo we Francji bierze się pod uwagę, że dzieło jej życia to nie opieka nad pianistą, ale 70 powieści, wiele opowiadań, sztuk teatralnych, artykułów i listów, a także styl bycia, który otworzył horyzonty myślowe potomnym. Nieco zmienia to spojrzenie film Michała Kwiecińskiego, ale stereotyp i tak trzyma się mocno.

W czasach Sand rozwód kosztował kobietę nie tylko utratę środków do życia, lecz przede wszystkim prawa do wychowywania własnych dzieci. Pisarka po odejściu od męża tak właśnie została ukarana. A jednak przetrwała. Zarobiła na siebie pisaniem, z synem i córką kontakty utrzymała, jednocześnie walcząc o własną podmiotowość.

Tymczasem Goncourtowie ufundowali nagrodę literacką, którą w Europie uważa się za najbardziej prestiżową. Nic dziwnego, francuskie jury zwykle wychwytuje trendy, które przekładają się na dobrą sprzedaż, oraz wskazuje dzieła, które ujawniają, co nam w duszy gra. Spośród czworga tegorocznych finalistów uwagę zwracają książki dwóch pisarek i pisarza o rodzinnej ciszy, która staje się narzędziem wykluczenia. Wspólnym mianownikiem jest poszukiwanie przodków, których istnienie pamięć rodzinna zepchnęła w milczenie. Ważna jest forma tych dzieł, nietradycyjna, łącząca reportaż z autobiografizmem, intymistykę z polityką.

> Długi jest żywot mizoginii, skoro o George Sand do dziś mówi się u nas głównie jako o partnerce Fryderyka Chopina.

Belgijka Caroline Lamarche przerywa rodzinne milczenie wokół przodka, który przecież był bohaterem, w mieście Liège nawet wystawiono mu pomnik. Śledztwo autorki ujawnia prawdę – był też homoseksualistą. Zapytana, dlaczego o nim napisała, odparła, że chciała „zająć się nim jak synem, zrozumieć jego historię i samotność, zagubienie w czasach, gdy nie wymawiano nawet słowa »homoseksualizm«".

Równolegle snuje Lamarche opowieść o swoim mężu. Również nieheteronormatywnym, ale wyautowanym, kochanym. Tytuł „Le Bel Obscur" (Piękny Mroczny) zaczerpnęła z wiersza Francisa Ponge'a jako aluzję do ciała homoseksualnego mężczyzny, symbol tej części tożsamości każdego z nas, która wyraża niezgodę na narzucany porządek. Cisza jest dziś najwyrazistszym tematem przewodnim premier literackich we Francji. Historię rodzinnego milczenia opisuje również laureat tegorocznej Nagrody Gouncourtów Laurent Mauvignier w książce „La maison vide" (Pusty dom). A finalistka Nathacha Appanah w „La nuit au coeur" (Noc w sercu) pokazuje uwikłanie trzech kobiet w przemoc małżeńską. W tym przypadku cisza zapewnia bezkarność oprawcom. Wszystko zostaje w rodzinie. Brzmi znajomo, rzec by można: ponadnarodowo.

Appanah podkreśla, że opisała historie przemocy, by dać głos tym, które powszechnie uważa się za bezwolne ofiary. Sam akt pisania jest już upodmiotowieniem człowieka potraktowanego przedmiotowo. Wiedziała o tym George Sand. Zostawiła po sobie wiele dzieł, jej głos wciąż brzmi mocno. Otworzyła drzwi tym, które piszą dziś.

Szkoda tylko kobiet, które się na to nie odważyły. Ciężko się czyta o losie Anny Iwaszkiewiczowej, którą mizoginia pozbawiła wiary w siebie. Sylwia Góra w książce „W stronę Anny" opisuje jej zmagania o własną niezależność w konfrontacji z zaborczością bliskich mężczyzn. „Uważam Hanię za moją niepodzielną własność" – deklaruje ojciec Anny (zwanej Hanią). Gdy jego żona wystąpiła o rozwód, odmówił jej możliwości widywania córki. Parę dekad później mąż Anny, Jarosław Iwaszkiewicz, napisze do niej w liście: „obowiązkiem żony jest być razem z mężem. I na to nie ma żadnych tłumaczeń ani określeń. Wszystko inne jest egoizmem lub pychą".

Przetrącona mizoginią Anna nie tylko nie odważa się pisać, ale boi się nawet tłumaczyć. Prousta przekłada po cichu, owszem, ale poproszona o tłumaczenie ostatniego tomu po śmierci Tadeusza Boya-Żeleńskiego odmawia. „Niemożność twórczości, a i na taką nawet półtwórczość bałabym się zdobyć. Zanadto rozumiem, że tłumaczem wielkiego pisarza powinien być też wielki pisarz". Czytaj: prawdziwym artystą może być tylko mężczyzna.

W tym punkcie Anna Iwaszkiewicz, z domu Lilpop, nie okazała się wizjonerką, chociaż ciągle kobiety, które tworzą, muszą udowadniać, że mają talent i mogą poruszać tematy uniwersalne. Potrzebują jednak niezależności mentalnej i ekonomicznej, o której pisała Virginia Woolf w eseju „Własny pokój": spokojna przestrzeń do pisania i kilka groszy na przetrwanie. Tyle i aż tyle.

Optymizmem napawają dzieła autorek i autorów wytypowanych w tym roku przez jury Nagrody Goncourtów. Wszyscy oni piszą o zabójczej roli stereotypów i wąsko pojętej tożsamości. Pokazują mechanizmy opresji, która zaczyna się w samym sercu miejsca uważanego za najbezpieczniejsze – w domu rodzinnym.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 796dd59b18



Wyciszanie polowaniem

W Wielkiej Brytanii doszło do omyłkowego zwolnienia dwóch skazanych – Brytyjczyka i Algierczyka – odsiadujących karę więzienia za groźne przestępstwa. Pięć dni wcześniej z innego zakładu zwolniono przez pomyłkę przebywającego tam obywatela Etiopii. Do wspomnianych pomyłek doszło niedługo po tym, jak tamtejszy minister sprawiedliwości w celu wyeliminowania takich kompromitujących zdarzeń ogłosił zaostrzenie kontroli zwolnień więźniów z brytyjskich zakładów karnych.

U nas więziennictwo stoi na wyższym poziomie i nikogo przez pomyłkę z więzienia się nie wypuszcza. Każdy, nawet jeśli jest niewinny, musi swoje odsiedzieć. Omyłkowo można co najwyżej zostać zamkniętym i trzeba powiedzieć, że jest to rozwiązanie lepsze od omyłkowego zwalniania o tyle, że dzięki niemu wszyscy, z wyjątkiem tych omyłkowo zamkniętych, czują się bezpieczniej.

To, czy zamknięcie nastąpiło przez pomyłkę, czy nie, jest zresztą sprawą względną. Niektórzy uważają, że w przypadku zamykania osób pochodzących z Etiopii czy Algierii w ogóle trudno mówić o pomyłce. Panuje opinia, że ich pochodzenie i wygląd na tyle uprawdopodabniają okropne czyny, których mogą się dopuścić, że najbezpieczniej jest te osoby zamykać, zanim do nich dojdzie. Jedyną pomyłką jest ich wpuszczanie do Polski.

Przebywający na Węgrzech Marcin Romanowski i Zbigniew Ziobro nie chcą wracać do kraju, gdyż boją się, że mimo iż są niewinni, po powrocie zostaną skazani i zamknięci. Prokuratura uspokaja, że omyłkowe skazanie im nie grozi, bo zarzuty przeciwko nim są liczne i dobrze udokumentowane. Niestety, Ziobry i Romanowskiego takie zapewnienia nie przekonują. Nie dziwię im się, trudno żeby mieli zaufanie do prokuratury, którą nie oni kierują.

„Zamierzam się bronić, używać prawdy" – grozi Ziobro. Prawda, której użył w ostatnim wpisie internetowym, jest taka, że Tusk nie tylko łamie konstytucję i usiłuje dokonać na nim zemsty politycznej, ale „celowo urządził igrzyska bezprawia z polowaniem na mnie, żeby medialnie wyciszyć kryzys onkologii".

Żeby było jasne: mam do Ziobry wiele zastrzeżeń, ale brutalne wykorzystywanie go do wyciszania kryzysów w służbie zdrowia uważam za polityczny cynizm i przejaw instrumentalnego traktowania. Niech sobie Tusk wycisza kryzysy kim innym, a nie wiceprezesem PiS. Miejmy nadzieję, że Ziobro nie da sobą dłużej niczego wyciszać i wkrótce powróci do kraju, sprawiając, że zarządzone w ramach igrzysk bezprawia polowanie na niego dobiegnie końca, a o wszystkich kryzysach, o których na razie jest cicho, wreszcie zrobi się głośno.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Lepa

eprasa.pl 796dd59b18

KĄCIK ADOPCYJNY im. STANISŁAWA TYMA

Dobry zwierzak szuka dobrego człowieka

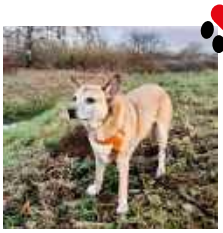

Rusza

Warszawa, suczka, 11 lat, 15 kg, średnio aktywna, zaszczepiona.

Niewielka suczka, która uciekła przed wojną w Ukrainie. Spokojna, ostrożna i bardzo oddana. Sporo śpi, ma kanapowy temperament. Nie sprawia problemów.

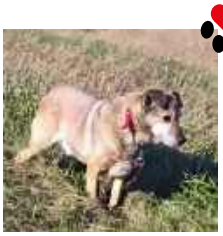

Lesio

Radzymin, pies, 8 lat, 12 kg, średnio aktywny, zaszczepiony.

Niewielki nieśmiały psiak, który nieźle radzi sobie na smyczy i załatwia potrzeby na dworze. Zawsze stara się dopasować do sytuacji. Akceptuje inne zwierzęta, również koty. Jest cierpliwy wobec dzieci.

Za materiał do naszego kącika dziękujemy Adopciakom, grupie wolontariuszy działających w ramach Fundacji Viva!

Kontakt w sprawie adopcji (za pośrednictwem Adopciaków): tel. **665 892 773** lub **574 186 683**.
Adres mailowy:
tpz.opoczno@gmail.com
Na naszej stronie internetowej utworzyliśmy również specjalną zakładkę, gdzie publikujemy historie tych i innych zwierząt szukających dobrego domu:
www.polityka.pl/zwierzeta

© TPZ OPOCZNO



Graf

Warszawa, pies, 7 lat, 20 kg, średnio aktywny, zaszczepiony.

Poważny pies, któremu nie w głowie głupstwa. Pięknie kroczy na smyczy u boku człowieka. Uciekinier z Ukrainy. Ma swoje trudne historie; doświadczył utraty domu oraz głodu. Powoli przyzwyczaja się do myśli, że wokół może być dobrze i bezpiecznie. Słucha i rozumie, czego się od niego oczekuje. Dobrze czuje się w towarzystwie dzieci. Będzie wiernym kompanem.



Norwid

Warszawa, kot, 5 lat, 3 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wysterylizowany.

Przyjazny, łaciaty, biało-czarny kot, który został znaleziony na ulicy w krytycznym stanie zdrowia. Szybko doszedł do formy i okazał się przyjaznym, cierpliwym zwierzakiem. Potrzebuje tzw. domu niewychodzącego, najlepiej z zabezpieczonymi oknami. Może mieszkać z dziećmi.
Typ mrucząco-przytulaśny.

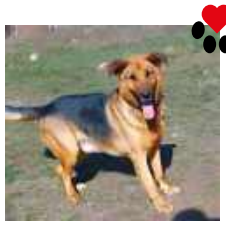

Bruno

Poznań, pies, 5 lat, 20 kg, średnio aktywny, zaszczepiony.

Chłopak w typie owczarka. Łagodny, przyjazny, ale żywiołowy. W miejscu, w którym znajdzie się czas na spacery i zabawę, będzie cudownym domownikiem. Przyjazny wobec dzieci, akceptuje wszystkie zwierzęta. Po spacerach zamienia się w typowego kanapowca.



Fela

Sieradz, kotka, 3 lata, 4 kg, średnio aktywna, odrobaczona, wysterylizowana, zaczipowana.

Biała kotka z łaciatym pyszczkiem i przymilnym charakterem. Trochę nieśmiała, potrzebuje cierpliwego towarzysza. Lubi dzieci i potrafi znaleźć z nimi wspólny język. Zdrowa (testy FIV/Felv ujemne), mieszka w domu tymczasowym z dziećmi i psami – i doskonale sobie radzi. Byłoby dobrze, gdyby mogła zamieszkać ze swoją mamą Arią.

Bezpieczna dawka Mizerskiego

Przez dłuższy czas nie miałem możliwości czytania na bieżąco POLITYKI (uspakajam – nie siedziałem „we więźniu") i teraz nadrabiam zaległości, korzystając z aplikacji elektronicznej. Ale ad rem. O ile czytanie felietonów red. Sławomira Mizerskiego raz na tydzień udaje się przejść bez poważnego uszczerbku na zdrowiu, tak czytanie ich hurtowo (nadrabiam zaległości z całego roku) nie jest już takie bezpieczne. Długotrwały chichot i towarzyszący mu łzotok prowadzą do bólu brzucha i „suchości oka", co zmusza mnie do zakupu stosownych medykamentów, oczywiście po zasięgnięciu opinii lekarza lub farmaceuty.

Nie wspomnę już o coraz bardziej podejrzliwych spojrzeniach członków rodziny zastanawiających się, czy aby ze mną wszystko w porządku (…).

Dlatego też zwracam się z wnioskiem do szanownej redakcji o podanie w dziale „Felietony" ostrzeżenia: jaka jest dopuszczalna, bezpieczna dla zdrowia dawka felietonów redaktora (w określonym czasie).

BOGUMIŁ CIOŁKO

Od redakcji: Dziękujemy za zwrócenie uwagi na skutki uboczne przedawkowania felietonów Sławomira Mizerskiego. W trosce o zdrowie czytelników rozważymy umieszczenie stosownych ostrzeżeń. Może na początek: „Czytanie Mizerskiego powoduje długotrwały chichot i zwiększa ryzyko powstawania zmarszczek mimicznych".

eprasa.pl 796dd59b18



Poczytaj mi w Egipcie

Rzecz o tym, jak literatura stała się tematem przewodnim zorganizowanych wycieczek.

PODRÓŻE

Literatura to nieodłączny element wypoczynku. Półki wielu plażowych restauracji uginają się pod zaczytanymi egzemplarzami bagpackerskich klasyków: „Niebiańskiej plaży" Alexa Garlanda czy „Shantaram" Gregory'ego Davida Robertsa oraz wciągających kryminałów, które pozwalają urlopowiczom oderwać się od problemów życia codziennego.

Literatura to także nieodłączny element wypraw w stronę innych kultur. Są ludzie, który dobierają lektury na wyjazd z podobną starannością, z jaką inni dobierają garderobę: „Bóg rzeczy małych" Arundhati Roy w indyjskiej Kerali, „Genialna przyjaciółka" Eleny Ferrante w Neapolu, felietony Fran Lebowitz w Nowym Jorku.

Od niedawna literatura to także temat przewodni zorganizowanych wyjazdów grupowych. Może dlatego, że czytanie to aktywność samotnicza tylko w teorii i przyjemniej czyta się w pięknej scenerii, w towarzystwie innych maniaków? A może dlatego, że w codziennym życiu jest coraz mniej czasu, żeby skupić się na książce? Natychmiast wkrada się poczucie winy, że jednak trzeba posprzątać w kuchni, odrobić z dzieckiem lekcje albo pójść w końcu na siłownię. Nie mówiąc już o niekończących się powiadomieniach z telefonu.

Wyjazdy książkowe zapewniają luksus całkowitej koncentracji na literaturze. Czasem polegają na tym, że grupa kilkunastu osób po prostu wyjeżdża razem do przytulnego pensjonatu w górach albo nad morzem. Każdy czyta, kiedy chce i co mu się podoba. Organizatorzy zachęcają, żeby zostawić telefony w domu albo przynajmniej oddać je do czasowego depozytu. To wielu osobom wystarcza, a sam akt wspólnego czytania ma w sobie coś magicznego.

Są jednak też takie wyjazdy, których organizatorzy sugerują lekturę, a podczas wspólnych posiłków (często specjalnie dobranych do klimatu fabuły) toczą się dyskusje o konkretnej książce. Na niektóre zaprasza się nawet autora, by opowiedział grupie o swoim procesie twórczym. Na przykład firma **Ladies Who Lit** organizuje wyjazdy z książką dla kobiet i osób niebinarnych. Zaczęła działalność po prostu jako klub czytelniczy, który spotykał się online (wino nieobowiązkowe, ale zalecane!), jednak szybko pojawiła się potrzeba bliższego kontaktu. Dziś uczestniczki razem czytają i dyskutują o książkach na jachcie na Ibizie albo we włoskiej willi, a czas umila im prywatny kucharz i tematyczne wieczory filmowe.

Wreszcie są i takie wyjazdy, które zakładają lekturę książek w miejscach, gdzie rozgrywa się ich akcja. Brytyjskie Books in Places organizuje czytelnicze wyjazdy tematyczne na Kretę, do Egiptu czy Włoch. Uczestnicy czytają „Ślepca z Sewilli" Roberta Wilsona w Hiszpanii czy „Śmierć na Nilu" Agathy Christie w Egipcie. Założyciel, który wcześniej organizował klub książki w Bristolu, zapewnia, że czytanie książek w miejscach, w których rozgrywa się fabuła, pogłębia doświadczenie podróży. I odwrotnie. Słowa i zdania ożywają podczas spacerów po klimatycznych uliczkach miast, kolacji w lokalnych restauracjach i w sceneriach, które skłaniają do zadumy.

Z kolei Page Break z Nowego Jorku organizuje wyjazdy, podczas których przez weekend uczestnicy wspólnie czytają jedną książkę. I to na głos. Każdy po kolei odczytuje fragment, a reszta uważnie słucha. Czasem robią przerwy na dyskusje wokół poruszanych tematów. Być może brzmi to nieco sztywniacko, ale okazuje się, że wspólna lektura zbliża ludzi. Jak twierdzi pomysłodawca przedsięwzięcia, aż 94 proc. uczestników deklaruje, że nawiązało podczas wyjazdu nową przyjaźń. Zgadzają się z nim inni maniacy podróży i literatury.

„Myślę, że jeden z powodów, dla których wyjazdy książkowe są teraz tak popularne, jest taki, że to świetny sposób, by introwertycy poznali innych introwertyków" – powiedziała w rozmowie z CN Traveller Daisy Buchanan, autorka książki „Read Yourself Happy", która również niedawno zaczęła organizować wyjazdy czytelnicze. Bo może są modne wcale nie ze względu na inspirującą scenerię czy nieograniczony czas na czytanie. Po prostu – literatura daje pretekst, by zrezygnować ze small talku i od razu przejść do rozmów o śmierci, miłości oraz problemach współczesnego świata. I może właśnie takich rozmów bardzo nam dzisiaj brakuje. ■



Urszula Jabłońska – reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© LADIES WHO LIT, ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK, YOUTUBE.COM/C/MORDORMUZIK

eprasa.pl 796dd59b18

WIRAL

Boska przekąska



Jeśli powiemy po prostu „jogurt”, możemy się narazić na gniew rzeszy fanów, dla których ta islandzka odmiana jogurtu naturalnego urosła do rangi stylu życia, a wręcz kultu. – *Dla mnie to napój bogów* – mówi Maciej, który skyra pije codziennie. **Skyr** jest spełnieniem marzeń fitnessowych pasjonatów – dużo białka, mało tłuszczu, potencjalnie mało cukru. O jego uzależniających właściwościach przekonał się w 2012 r. Russell Crowe, który przyznał na platformie X: „Wygląda na to, że opuściłem Islandię z uzależnieniem od Skyru... czy można go kupić gdziekolwiek indziej na świecie?”. Posiłek to nie tylko boski, ale zdolny zaspokoić nawet gladiatora.

Skyr wywodzi się z Islandii, w historii tego kraju pojawił się już ponad dziesięć wieków temu. Dziś jest wytwarzany z mleka krowiego, pierwotnie powstawał z mleka owczego. Stąd też wywodzi się nazwa: od słowa „strzyc” i procesu, w którym mleko rozwarstwia się na serwatkę i skyr. Konsystencją przypomina zwykły jogurt, ale jest bardziej kremowy i naturalnie słodszy. Najbliżej mu do greckiego *labnehu*. Można go pić lub jeść, nawet w obliczu nietolerancji, bo występuje też w wersji bez laktozy.

Ekspansję z Islandii rozpoczął na początku XXI w. Najpierw trafił do Danii, Szkocji i Stanów, ale największą karierę zrobił w Finlandii. W Polsce jest produkowany i sprzedawany przez największe firmy nabiałowe – każda ma własny skyr: Piątnica, Bakoma, Mlekovita, Fruvita (Biedronka), Pilos (Lidl)... O popularności skyra świadczy też powszechne zainteresowanie branży fitness, traktującej go jako suplement uzupełniający białko. Z jednej strony to prosta przekąska – można go jeść samego, z musami, owocami, owsianką – z drugiej strony to zdrowszy odpowiednik składników wielu potraw. W sieci roi się od przepisów na skyrniki (serniki), skyrowe placuszki, omlety, a nawet pizzę.

W 2023 r. na rynku skyrów zanotowano ponad 60-procentowy ilościowy i ponad 70-procentowy wartościowy wzrost. Zdaniem badaczy wkrótce mogą one zastąpić niskotłuszczowe jogurty.

Gdyby Taco Hemingway nagrywał utwór „Białkoholicy” w 2015 r., pewnie zaczynałby tak: „Słuchaj, ziomek, nie chcę żadnej wymówki / Jeśli robisz omlet, gotuj tylko skyrówki”. – *Wygląda na to, że jestem skyroholikiem* – mówi Maciej, i szybko dodaje: – *Ale nie jestem w tym sam!*

MICHAŁ TOMASIK

SŁOWO

Cichosza



Niemcy wybrali swoje młodzieżowe słowo roku i została nim niemiecko-angielska zbitka „das crazy”, określenie czegoś szalonego. I nie będzie szaleństwem przepowiadać dziś, że w czołówce analogicznego polskiego plebiscytu też znajdzie się jakieś angielskie słowo. Bo co roku się znajduje, wokół czego zresztą nie ma sensu robić wielkiego zamieszania, lepiej to przyjąć naturalnie, na spokojnie. Na to wszystko też jest zresztą angielskie określenie: *lowkey*. Anglicy już to słowo zidentyfikowali jako część tiktokowego slangu: *lowkey* opisuje, że chcemy coś zrobić dyskretnie, bez afiszowania się, a *highkey* – przeciwnie: że chcielibyśmy, żeby cały świat wiedział, że chcemy. To jak z kostiumem ze „Squid Game”, który jakaś internautka zamówiła przez internet przed Halloween, i tłumaczy się koleżance: „Ale to jest takie lowkey, wiesz, nadal się zastanawiam, czy dzisiaj później założyć”. Czyli ma wątpliwości, bo nie chciałaby się zbytnio afiszować – choćby na tym co do zasady polegały przebieranki na Halloween.

A kiedy polska grupa **Mordor Muzik** rapowała „W nocy na dzielni jest oki/ Sprawy załatwia się lowkey”, oznaczało to z grubsza to samo: rodzaj dyskrecji, załatwiania spraw po cichu, bez rozgłosu.

Jest przykład dla bardziej zaawansowanych. Taki oto dialog, autentyczny, z platformy X: „Imagine, że jesteście czyimś hallway crushem i ubieracie się jak gówno, a ta osoba myśli: wow, ale candid”. „Jezu, ja na pewno jestem czyimś hallway crushem uczelnianym”. „Ej, to lowkey ja. Znaczy ja nw, ale tak sb wyobrażam, że tak jest”.

W skrócie *hallway crush* to osoba, w której ktoś się po cichu podkochuje (w szkole, na uczelni, choć *hallway* – korytarz – nie tylko tam występuje), *candid* to ktoś szczery, nieupozowany. Ostatnią linijkę wypada w całości przełożyć: „Ej, to ja, ale o tym sza. W sumie to nie wiem, ale wyobrażam sobie, że tak jest”. Wychodzi na to, że po angielsku w polszczyźnie nie tylko się wychodzi. Różne rzeczy się robi w cichości, bez rozgłosu i potajemnie, czyli *lowkey*.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Dla kurażu zarzuciłem cheat meal,
Wziąłem naleśniki – to był git deal
PRO8L3M, Bar Bambino, 2025 r.
cheat meal – niezdrowy posiłek, który łamie zasady stosowanej diety

eprasa.pl 796dd59b18

Oliwkowy. Ale i limonkowy, pistacjowy, miętowy czy w odcieniu „brudnego Martini". Jesienna moda ma nas ukoić.



W tonacji spokoju

TREND

O tym, że oliwkowy jest „the new black", czyli „nową czernią", napisał ostatnio brytyjski „Vogue" (a w branży trudno o większy komplement, bo to właśnie czerń uważana jest za wiecznie pożądaną i na miejscu). Po prawdzie jednak dotyczy to większości odcieni zielonego, kojarzonych z lasem, ziołami i – jeśli dobrze się zastanowić – krajobrazami i kuchnią Italii. Stąd też najwięcej go właśnie w kolekcjach marek włoskich.

W Guccim znajdziemy w tym sezonie płaszcze typu *peacoat* czy lakierowane retroczółenka typu Mary Jane, w Pradzie – zdekonstruowane sukienki i peleryny, w Toďsie – garnitury z przeskalowanymi ramionami. Wszędzie zieleń i co wymyślniejsze odnośniki jej tembrów i tonów. U Bottegi Venety paski do zegarków zostały wręcz „odświeżone w odcieniu cyprysowym", jak zauważył branżowy portal Real Leather.

Oczywiście zieleń proponuje cały modny świat od Erdema, poprzez Loewe, aż po Manolo Blahnika. Znajdziemy ją też w damskiej modzie sportowej. W samym tylko **New Balance** – ponad 60 zielonych modeli butów, w tym te najbardziej pożądane, z linii Made in USA, zgodnie z metką szyte za oceanem, łączące tonizujące odcienie mięty i turkusu czy khaki i kaktusa.





Michał Zaczyński – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

Nie żeby dominująca pozycja zieleni w akcesoriach i ubiorach była nowością. Daleko nie sięgając, ubiegły rok należał przecież do „brat green", odcienia wypromowanego przez piosenkarkę Charli XCX za sprawą okładki jej płyty „Brat" [z ang. bachor lub smarkacz], zielonej właśnie. Tyle że zgodnie z tytułem ów odcień był agresywny, rozwrzeszczany. Tymczasem tej jesieni się uspokajamy.

Powód? Po pierwsze, zieleń regeneruje i wycisza, co przydatne w dzisiejszej sytuacji politycznej czy w kryzysie klimatycznym. Ale ważne jest też to, że pokolenie Z, które staje się głównym konsumentem także mody, powszechnie skarży się na wypalenie i przebodźcowanie. A zieleń łagodzi niczym listek babki. Po drugie, bo nieco znużyła nas monotonna paleta wiodącego trendu ostatnich sezonów, czyli cichego luksusu. Zieleń go urozmaiciła i na nowo uczyniła atrakcyjnym. Mimo że część modowych mediów już zdążyła go spisać na straty.

– *Jesteśmy w trakcie rewolucji kolorystycznej w modzie, tak duża i zaskakująca zmiana zdarza się naprawdę rzadko* – zauważa Patrycja Cierocka-Szumichora, dyrektorka zarządzająca marki Patrizia Aryton. – *Zwykle z szarości i granatów przechodziliśmy w beże i tzw. camele. I z powrotem. Tymczasem obecnie, jeśli beże, to lekko zawilgocone, jeśli szarości, to nasycone, niemalże mokre; jeśli biel – to głucha, niedominująca. A na to wszystko nałożyła się m.in. właśnie cała paleta zieleni: subtelna pistacja, szałwia, zieleń militarna i wszystkie trudne do określenia odcienie powstałe z połączenia w różnych proporcjach beżu czy brązu. Przy szarościach wyglądają jak brąz, przy brązie jak zieleń, przy zieleni jak szarość* – analizuje szefowa Patrizii Aryton. W najnowszej kampanii marki aktorkę **Maję Ostaszewską** spowijają te właśnie barwy.

W przeciwieństwie do bazowych, neutralnych kolorów nie tak łatwo jest zieleń ze sobą zestawiać. – *Nie jest łatwa* – potwierdza Karolina Limbach, stylistka magazynu „Elle". – *Dużym plusem akcesoriów w jej odcieniach jest to, że zwracają uwagę i powodują, że stylizacja staje się ciekawsza, wyróżnia nas z szaroczarnego, jesiennego tłumu. Jeśli ktoś czuje się dobrze w mocnych kolorach, to polecam mieszać odcienie zieleni: butelkowozielony płaszcz z oliwkową torbą lub pistacjowymi butami. Wersja odważna, ale będzie robić wrażenie.*

A jeśli dopiero zaczynamy naszą przygodę z tymi kolorami? Bezpieczne będą takie połączenia kolorystyczne, jakie występują w naturze. – *Można sobie pomyśleć o lesie czy parku i połączyć zieleń z brązem, odcieniami żółci i karmelu. Warto eksperymentować i sprawdzać, w czym czujemy się i wyglądamy dobrze* – radzi ekspertka.

A co w przyszłym roku? Też zielony, lecz z domieszką niebieskości. WGSN, wiodąca agencja prognozująca trendy, barwą roku ogłosiła „Transformative Teal" (po polsku – morski), który „uspokoi nas i wyciszy". Czyli na świecie nadal będzie nerwowo. ■

© MATERIAŁY PRASOWE (2), ARCHIWUM PRYWATNE, MIELŻYŃSKI, AZIENDA AGRICOLA FORADORI, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 796dd59b18

Spotkałem Elisabettę Foradori pierwszy raz w 2002 r. i była to jedna z winnych degustacji, których się nie zapomina.

Wino bez makijażu

WINO





Elisabetta była już wówczas jedną z najjaśniejszych gwiazd włoskiego winiarstwa. Właściwie w pojedynkę uratowała od zagłady szczep teroldego, uprawiany od stuleci we włoskim Trydencie (Trentino). W latach 70. ta z trudem dojrzewająca i dlatego mało ceniona odmiana szybko traciła teren. W 1984 r. Elisabetta, świeżo upieczona absolwentka enologii, przejęła stery rodzinnej posiadłości po przedwcześnie zmarłym ojcu. Dwa lata później po raz pierwszy zabutelkowała ambitne wino czerwone w stylu czołowych bordeaux. Nazwała je Granato – od owocu symbolizującego w starożytnych kulturach życie i płodność, którego zapach pojawia się także w winach z teroldego.

Granato prędko weszło do włoskiego panteonu. Do opisu kolejnych roczników krytykom brakowało superlatywów. Mistrzowski 1998. mieszał gorzką czekoladę i konfiturę z czarnej porzeczki, a faktura była czystym jedwabiem. W 2000 r. pojawiały się cudne nuty kwiatowe. 1999. smakował jak superbordeaux: sosnowy, mentolowy, lukrecjowy, zarazem był jakże włoski w swoim zapachu świeżo palonej kawy. Wszystkie przebiło jednak Granato 2004, wino dekady we Włoszech, o gładkiej jak tafla wieczornego jeziora fakturze. Wyznawcą Granato stałem się i ja.

Elisabetcie to jednak nie wystarczało. Styl „międzynarodowy", nawet oparty na lokalnym teroldego, coraz bardziej jej ciążył. Interesowała się praźródłami wina – jako jedna z pierwszych sprowadziła z Gruzji amfory kwewri. Przeszła na uprawę biodynamiczną – jej wyborami w coraz większym stopniu kierowało holistyczne podejście do winnicy. Zdeklasowała swoje butelki do kategorii wina regionalnego, bo nie chciała mieć nic wspólnego z chemicznymi ekscesami dominujących w Trydencie spółdzielni. Zamiast poszukiwania kolejnych nagród w przewodnikach pojawił się wątek nieskomplikowanego, codziennego picia (wino 1 Litro w takiej właśnie butelce). Do firmy dołączyły dzieci Elisabetty: Emilio zajmuje się winifikacją, Theo – sprzedażą i zarządzaniem, Myrtha zaś rozwija uprawę ziół, hodowlę krów i produkcję serów – bo jak na biodynamiczne gospodarstwo przystało, bioróżnorodność i dywersyfikacja produkcji stały się tu tematem numer jeden.

Zmieniały się także same wina. Beczkowe bogactwo i miękkość zastąpiła naturalistyczna ekspresja pełna nut zielonych („botanicznych"), korzennych. Elizabetta swoje teroldego przeniosła z dębowych beczek do rzeczonych amfor, co od razu przełożyło się na ostrzejszy smak: kwasowość hasała w nich bez karcącego bata nowej dębiny, w uderzających korzenno-kwiatowych bukietach pojawiły się dziwne nuty ceglanej mączki, charakterystyczne dla win leżakujących w glinie.

Elisabetta po raz pierwszy zaprezentowała ten nowy styl w Polsce w 2012 r. – i pamiętam, że wywołał we mnie bunt. Nie były to z pewnością wina gorsze, ale zupełnie inne, do których trzeba się przyzwyczaić. Minęło 12 lat i znowu mieliśmy okazję gościć Elisabettę Foradori w Warszawie. Na stole pojawiły się naturalistyczne, macerowane pomarańcze z odmian nosiola, manzoni i pinot grigio (pyszne). A potem bateria teroldego, od codziennego, krewkiego, rzeczywiście „granatowego" Lezèr, które należy podawać z lodówki, aż po selekcje z najlepszych dwóch działek Sgarzon i Morei. No i flagowe Granato w kilku rocznikach.

Foradori ma w Polsce status kultowy, więc kilku winomanów przyniosło na degustację starsze butelki z własnych zbiorów, aż po 1999. z podwójnego magnum (3 litry). Elisabetta była wzruszona, ale tego wszystkiego nie rozumiała, bo nigdy nie uważała się za gwiazdę. W ogóle nie lubi zanadto mówić o własnych winach, ich aromatach, smakach, sposobie produkcji. Oczy jej się natomiast rozświetliły, gdy opowiadała o nowo zasadzonej działce na wysokości 600 m i zupełnie innym słońcu, jakie tam świeci. Albo o harmonii z naturą, w jakiej żyją jej winorośle rosnące pomiędzy jabłoniami i orzechami, wśród których chodzą krowy i owce. To była niespotykanie szczera, głęboka opowieść o życiu dla wina i w przyrodzie.

A ja poczułem ulgę, bo tym razem jej wina smakowały mi w sposób absolutny – zwłaszcza te z amfory. ■



Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Foradori Nosiola Fontanabianca 2024, 191 zł (mielzynski.pl)
Foradori Lezèr 2024, 95 zł (mielzynski.pl)
Foradori Teroldego 2022, 117 zł (mielzynski.pl)
Foradori Sgarzon Cilindrica 2021, 205 zł (mielzynski.pl)
Foradori Granato 2020, 322 zł (mielzynski.pl)

eprasa.pl 796dd59b18

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

„Heweliusz" naprawdę



O tym podkaście nasi widzowie piszą, że jest lepszy niż sam serial Netflixa. Wierzymy! W „Polityce o historii" Roman Czejarek, gość Marcina Zaremby, wyjaśnia, jak doszło do katastrofy „Heweliusza". Dlaczego Brytyjczycy przewidzieli sztorm, a rodzime służby meteorologiczne nie poinformowały, że nadciąga? I dlaczego Polacy spóźnili się z reakcją? Przerażający, ale pasjonujący odcinek do wysłuchania i obejrzenia na YouTube.

„Heweliusz" na ekranie



O serialowym „Heweliuszu" rozmawiamy z kolei w naszym kulturalnym podkaście. Scenarzysta Kasper Bajon ujawnia kulisy produkcji, która ma hollywoodzki rozmach, choć polskim „Titanikiem" nie jest i nie miała być. Dla twórcy to też historia o transformacji, przeklętej polskiej nieodpowiedzialności i o poszukiwaniu kozła ofiarnego. Rozmowę prowadzi Janusz Wróblewski.



Co zmieni Mamdani

Zohran Mamdani wygrał wybory na burmistrza Nowego Jorku. Czyli zadowolona powinna być Partia Demokratyczna, która go wystawiła, a Donald Trump wręcz przeciwnie? To nie takie proste. Sam Trump mówi o nim pobłażliwie: „mój mały komunista". I może go przewrotnie wykorzystać. O tych niuansach opowiada w swoim podkaście Łukasz Wójcik.



Co się klika, czyli internet zmienia politykę

W „Polskim demo", wspólnym projekcie POLITYKI i Fundacji Batorego, gościmy Michała Fedorowicza, szefa Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura. Czy dziś prawdziwe jest tylko to, co wskaże algorytm i ma największe zasięgi? W rozmowie analizujemy najnowsze wydarzenia: afery wokół Bogdana Rymanowskiego, immunitetu Zbigniewa Ziobry, działki CPK. Wnioski? Groźne.

In vitro: sukces, ale...



Teraz dopiero widać, jak duże było w Polsce zapotrzebowanie na in vitro. Od momentu uruchomienia programu, na który przewidziano 500 mln zł do 2028 r., urodziło się już ponad 6 tys. dzieci i zakwalifikowano do niego 39 tys. par. Problem w tym, że pieniądze właśnie zaczynają się kończyć. „Osiem lat głodu podczas rządów PiS stworzyło zapotrzebowanie, które przekroczyło wszelkie, nawet te półmiliardowe oczekiwania", pisze na polityka.pl Paweł Walewski.

© PAP/JERZY UNDRO, ROBERT PAŁKA, CHRISTIAN MONTERROSA/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 796dd59b18

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 796dd59b18

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE

SkyFlow

Żaluzje fasadowe



Szymon Marciniak

ALUPROF
GRAMY FAIR Z NATURĄ

www.aluprof.com/dom